

**ZBIGNIEW NIENACKI**

**PIERWSZA PRZYGODA  
PANA SAMOCHODZIKA**

1996

**TMN**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

**TAJEMNICZA KARTKA • ZAGADKOWY ALBAZIN • ROZPOCZYNAM  
POSZUKIWANIA • OGŁOSZENIE • PIECZĘĆ WAROWNI SYBERYJSKIEJ  
• DZIWNY LEŚNIK • SKARB KORSARZA KIDDA • ZŁOTO ALBAZINA •  
AMUR • POZWOLENIE NA PRZYWÓZ LWA**

Przyczyną wszystkiego stała się mała, zadrukowana kartka, którą w kwietniu 1960 roku znalazłem na podłodze w swoim pokoju.

Rano sprzątaczką ze spółdzielni „Czystość” umyła mi podłogę i zażądała gazet do rozścielenia ich na wyszorowanym parkiecie. Gazet w domu nie miałem. Udałem się więc do punktu skupu makulatury i kupiłem paczkę starych gazet, które rozłożyłem na podłodze. Wieczorem, gdy zasiadłem przy biurku do pracy, podłoga wyglądała jak nowoczesna malarska kompozycja z białych figur geometrycznych. Przeważały wielkie prostokąty *Timesów* i *Izwestii*, ale nie brakło także niewielkich płacht gazet prowincjonalnych, tu i ówdzie zaznaczających się smugą czerwonego tytułu.

Rzucił mi się w oczy malutki prostokącik – kartka wyrwana z książki. Leżała tuż obok biurka i ciągle miałem ją przed oczami. Raziła mnie jej obecność, od dziecka bowiem wpajano we mnie szacunek dla książki. Coraz trudniej było mi pracować. Pisałem właśnie artykuł o miłości do książek i ta samotna, zdeptana kartka wydawała mi się jakby żywym tworem, zadającym kłam moim słowom. Dlatego wreszcie pochyliłem się, podniosłem ją z podłogi, zdmuchnąłem z niej kurz.

Zauważyłem, że wyrwano ją z rosyjskiej książki. Przeczytałem pierwsze zdanie:

*24 marta 1684 goda w Albazinie była połączona gramota ot kitajskiego  
impieratora z priedłożenijem o sdacze, napisana na mandżurskom,  
mongolskom i polskom jazykach.*

W tłumaczeniu brzmiało to następująco:

*24 marca 1684 roku w Ałbazinie otrzymano list od chińskiego cesarza z żądaniem poddania się, napisany w językach: mandżurskim, mongolskim i polskim.*

Po polsku?

Pośpiesznie czytałem dalej. Ale następne zdania nie przynosiły wyjaśnienia. Zawierały tylko skromną wiadomość, że mieszkańcy Ałbazina poczęli się gotować do obrony. 4 czerwca 1685 roku nadciągnęły pod Ałbazin pierwsze oddziały wojsk chińskich. Potem lądem nadeszła ogromna armia: 10 000 konnych wojowników, 100 dział lekkich i dział ciężkich. Rzeką przyплыnęło 100 wielkich łodzi, a na każdej z nich znajdowało się 50 żołnierzy.

11 czerwca 1685 roku komendant wojsk chińskich jeszcze raz zaproponował obrońcom Ałbazina poddanie warowni.

I tu kończyła się stronica. A choć po wielokroć obracałem kartkę w rękę i czytałem od nowa – nie dowiedziałem się jednak nic więcej nad to, co zostało na niej wydrukowane.

Jakie były dalsze losy obrońców Ałbazina? Gdzie był ów Ałbazin i dlaczego władze chińskie pisały po polsku do jego obrońców? Malutka kartka nosząca porządkowe liczby „41” i „42” – milczała.

Nazajutrz znowu poszedłem do tego samego punktu skupu makulatury i prawie pół dnia spędziłem na przetrząsaniu zebranych tam papierzysek, starych gazet i nikomu już niepotrzebnych książek, aby odnaleźć tę, z której pochodziła wyrwana kartka. Była to zresztą tylko próżna mitręga. Nie znalazłem ani jednej. I do dziś, choć od tamtej chwili minęło wiele czasu – odbyłem ogromną podróż i zaznałem dziesiątków przygód – do dziś nie wiem, z jakiej książki pochodziła malutka karteczka podniesiona z podłogi w moim pokoju.

Ale nie jest chyba najważniejsze, jakiego kształtu i koloru był kamyk, który spowodował lawinę.

Wysilałem pamięć, próbowałem zaglądać do poważnych dzieł historycznych. Nigdzie jednak nie natrafiłem na wiadomość, że w drugiej połowie XVII wieku Polska uczestniczyła w walce z Chinami, lub że w wojnie z Chińczykami brali udział Polacy. Żadna ze znanych mi książek nie wymieniała także nazwy „Ałbazin”.

A przecież było napisane wyraźnie: „24 marca 1684 roku w Ałbazinie otrzymano list od chińskiego cesarza z żądaniem poddania się, napisany w językach: mandżurskim, mongolskim i polskim”.

„A może ten wyraz – polskim – powstał z drukarskiego błędu?” – Zastanawiałem się, nie potrafiąc wyjaśnić zagadki.

Gdyby chociaż wiadomo było, gdzie leży ów Ałbazin! Ale i w tym względzie kartka nie dawała najdrobniejszej wskazówki. Pod Ałbazina przybyło lądem 10 000 wojowników, rzeką

zaś przyплыło 100 wielkich łodzi. Albazin leżał więc nad jakąś rzeką. Niestety, nazwa rzeki pozostała dla mnie nieznana.

Chiny, Mandżuria, Mongolia – sąsiadujące ze sobą kraje. Dziwnie i obco brzmi słowo „Albazin”. Czy nie znaczy to, że Albazina należy szukać aż gdzieś, hen, na Dalekim Wschodzie? Dlaczego jednak do albazińskiej warowni Chińczycy pisali nie tylko po mongolsku i mandżursku, lecz także po polsku?

Był to problem dla poważnego naukowca, a nie studenta historii sztuki, który dorabiał do swego stypendium pracą na pół etatu w redakcji czasopisma, zajmując się informowaniem o zabytkowych obrazach w starych kościołach lub o odkryciach dokonywanych przez historyków sztuki i archeologów. Dotychczas zawsze współpracowałem ze specjalistami. Teraz – wobec dziwnej sprawy Albazina – pozostawałem samotny. Historycy, do których zwracałem się o pomoc, wzruszali ramionami lub proponowali mi zajęcie się problemami, jakie ich samych frapowały. Lecz mnie trapiła zagadka Albazina, choć – poczynałem pojmować – chyba przerastała ona moje możliwości. Zrezygnowałem z niej, starałem się o niej nie myśleć. Ale ilekroć po pracy w redakcji wracałem do domu i stawałem w progu swego pokoju – natychmiast przypominałem sobie chwilę, gdy podniosłem z podłogi małą zadrukowaną kartkę. I choć nie jestem człowiekiem przesadnym, to przecież nie potrafiłem wyzwolić się od myśli: a może to Los podrzucił mi tę sprawę, abym się nią zajął? A może to jest właśnie ta jedna jedyna w życiu „wielka szansa”, obok której nie wolno przejść obojętnie? Dałem do gazety ogłoszenie:

*Poszukuje się wiadomości, wskazówek i książek związanych z historią istniejącej w drugiej połowie XVII wieku warowni Albazin.*

***Zgłoszenia prosimy kierować do działu reportażu naszej gazety.***

Minął jeden, drugi, trzeci dzień. Przeszedł tydzień. Nikt się nie zgłosił. Ponowiłem ogłoszenie. I znowu bezskutecznie. Koledzy poczęli sobie ze mnie podrzywać. Na tablicy komunikatów, wiszącej na korytarzu redakcji, przeczytałem wiadomość:

*Rozsądek pilnie poszukiwany. Zgłoszenia prosimy kierować do działu reportażu, do redaktora Albazin.*

Uznałem, że nadeszła najwyższa pora, abym przestał zaprzętać sobie głowę zagadką Albazina. Lecz właśnie wówczas listonosz doręczył mi dużą szarą kopertę nadaną w Krakowie. Zawierała fotokopie jakby jakiegoś medalu z malutkim uszkiem i krótki list od znanego polskiego numizmatyka:

*Szanowny Panie Redaktorze!*

*Nie znam historii warowni Ałbazin. Jestem natomiast w posiadaniu dość rzadkiej chyba książeczki: «Zapiski Priamurskiego Otdiela Obszczestwa Wostokowiedienija», wydanej w Błagowieszczeńsku w 1915 roku. W książeczce tej widnieje odbitka pieczęci warowni Ałbazin i bardzo krótka wzmianka, że oryginał pieczęci znajduje się w muzeum Ermitaż. „W Piotrogradzie na dorocznym zebraniu członków Rosyjskiego Towarzystwa Genealogicznego – wspomina się w „Zapiskach” – S. P. Trojnicki wygłosił referat: «Pieczęć warowni ałbazińskiej». Pieczęć ta jest rzadkim i ciekawym zabytkiem heraldycznym, ponieważ podważa ona rozpowszechnioną opinię, jakoby znaki heraldyczne nie były znane w XVII stuleciu. Ulubionymi znakami heraldycznymi na pieczęciach osiedli syberyjskich – a do takich należy również znajdująca się w Ermitażu pieczęć warowni ałbazińskiej – były figury zwierząt i ptaków, zamieszkujących olbrzymie leśne połacie Syberii”.*

*Dalej następuje dokładny opis pieczęci. Przesyłam Panu fotokopie interesującego Pana fragmentu tekstu, a także fotografię odbitki pieczęci. Być może okażą się one pomocne dla poznania historii warowni Ałbazin.*

*Z poważaniem  
dr K. W.*

Długo wpatrywałem się w fotografię pieczęci. A więc Ałbazin jest jednak czymś realnie istniejącym, a nie tworem mej wyobraźni – jak począłem mniemać.

Wiem już, gdzie leży tajemniczy Ałbazin. Na Syberii.

W kilkanaście dni później odwiedził mnie w redakcji młody, trzydziestoletni mężczyzna w mundurze leśnika.

– Ja w sprawie ogłoszenia – powiedział. A ponieważ nie bardzo mogłem pojąć, o jakie ogłoszenie mu chodzi, nie kojarzyłem bowiem osoby młodego leśnika z historią siedemnastowiecznego Ałbazina, leśnik zapytał:

– To pan ogłosił, że szuka się wskazówek o Ałbazinie?

– Tak, ja.

Usiadł na krześle przed moim biurkiem. Wyjął z kieszeni blaszane pudełko z pięknym bosmanem na wieczku. Ułamał połówkę papierosa i osadził ją w prostej wiśniowej cygarniczce. Jak zahipnotyzowany wiodłem wzrokiem za każdym ruchem jego dłoni.

– Nazywam się Antoni Szulc. Pracuję we wsi Kamionki.

– Taaak

– Czy mogę liczyć na pańską dyskrecję? – zapytał nieoczekiwanie.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie rozumiem

– Pragnę panu powiedzieć w zaufaniu o poważnej sprawie. Myślę, że dojdziemy do porozumienia. Jeśli jednak stanie się inaczej, czy mogę liczyć, że to, co panu powiem, nie zostanie nikomu ujawnione?

Zbliżył do mnie twarz. Mówił półgłosem. Papieros, który położył na popielniczce, dymił okropnie. Dym uchodził w górę cienkim słupkiem i na wysokości głowy mojego rozmówcy wirował tajemniczo.

Skinałem głową:

– Może pan liczyć na moją dyskrecję.

Rozsiadł się wygodniej, założył nogę na nogę, zaciągnął się papierosem.

– Mam dwa stare plany. Jeden to plan warowni Ałbazin, jej umocnień i fortyfikacji, drugi plan, proszę pana, przedstawia miejsce, gdzie został zakopany skarb. Złoto.

– Oczywiście interesuje mnie wyłącznie ten pierwszy plan – rzekłem pośpiesznie.

– A skarb? Złoto? – zawołał. I aż zerwał się z krzesła. Nachylił się ku mnie i mówił gorączkowo: – Ja wiem, że Ałbazin znajduje się bardzo daleko stąd. Za granicą. Ale pan jest nie tylko studentem, ale i dziennikarzem. Znajdzie pan jakiś powód, żeby pojechać w tamte odległe strony, trafić do Ałbazina i odnaleźć złoto. Skarbem z Ałbazina podzielimy się. Zawrzemy umowę na piśmie. Pan otrzyma ode mnie plany, odnajdzie skarb i weźmie sobie połowę. A ja dostanę drugą połowę. Nie mogę panu dać tylko jednego planu, bo może obydwie są od siebie w jakiś sposób uzależnione.

Położyłem mu ręce na ramionach i posadziłem na krześle.

– Czy wie pan, gdzie leży Ałbazin? – zapytałem uprzejmie.

– Niezbyt dokładnie. To gdzieś bardzo daleko. Nad Amurem, proszę pana.

– Bagatelka!

– Pan jest dziennikarzem. Może pan wystarać się o pozwolenie na taką daleką podróż.

Żał mi było tego człowieka. Wyglądał na maniaka Maniak w mundurze leśnika!

– Będę musiał pana rozczarować – rzekłem. – Ałbazinem interesuję się wyłącznie dlatego, że chcę wiedzieć, dlaczego w drugiej połowie XVII wieku Chińczycy po polsku pisali list do obrońców ałbazińskiej warowni. Złoto Ałbazina zupełnie mnie nic pociąga. W najbliższej przyszłości nie zamierzam także brać udziału w jakichkolwiek poszukiwaniach ukrytych skarbów.

– Ale tam jest złoto. Czy pan rozumie? Złoto – wołał.

Westchnąłem ciężko.

– Proszę pana, istnieje Międzynarodowy Klub Poszukiwaczy Skarbów, który ma swą siedzibę w Paryżu. Co pewien czas specjalny biuletyn wydawany przez Klub przynosi wprost rewelacyjne informacje i wskazówki o skarbach rozsianych po całej kuli ziemskiej. Informacje te nie są zmyślone, lecz oparte o materiały historyczne, ba, nawet o dokładne

plany, które właściwie odczytane pozwolą uzyskać milionowe fortuny. Czy dużo jest złota w Ałbazynie?

– Worek. Pełen worek.

– Tylko tyle? Ja wiem przynajmniej o czterdziestu skarbach, których wartość jest tak wielka, że po prostu nie sposób jej określić. Znam miejsca, gdzie leży nie jeden worek, ale całe tony złota i klejnotów. A jednak jak pan sam widzi, nie należę do milionerów.

Leśnik milczał, a ja wyszedłem zza biurka i przechadzając się po swym pokoju opowiadałem ironicznie:

– Czy pan wie, że w głębi zatoki Matanzas na Kubie spoczywa jedenaście galeonów admirała Rodryga Fartana? Zatonęły one wraz z ogromnym ładunkiem złota. Czy pan słyszał, że dwadzieścia pięć galeonów gubernatora Bobadilla rozbiło się w 1502 roku o skały przylądka Engano koło San Domingo? Razem z galeonami zatonął ładunek składający się z bezcennych kruszców, klejnotów oraz szczerego złota wagi trzy i pół tysiąca funtów! Na wyspie Aruba w Wenezueli, w podziemnej grocie Gerrita Colorado suspendowany<sup>1</sup> ksiądz Domingo Mungoz i jego przyjaciółka Wanda ukryli kosztowności pochodzące z korsarstwa. Czy słyszał pan o wspaniałym skarbie zakonu jezuitów ukrytym w Boliwii w XVIII wieku? W 1903 roku Anglik Prodggers znalazł dokument sporządzony przez jezuitów, wskazujący drogę do skarbcza. Niestety, skarbcza jeszcze nie odnaleziono. Wiem o wyspie w archipelagu Galapagos, na której korsarz francuski Dasamret z Dieppe zakopał w 1673 roku swój ogromny łup. Znane są miejsca ukrycia bogactw zrabowanych przez takich korsarzy, jak: Kidd, Wafer, Davies, Dampier, nie jesteśmy jednak w stanie trafić do kryjówek pełnych złota. W grocie góry Ora, w dorzeczu rzeki Adygi we Włoszech, oddział hitlerowskich żołnierzy schował w 1945 roku manierki wypełnione złotem. Złota tego jest tam około pięciuset kilogramów, wszyscy żołnierze tego oddziału zginęli i dotąd nie ujawniono schowka ze skarbem. W 1938 roku w okolicy Saint Moritz w Szwajcarii rozbił się niemiecki Junkers-81 wiozący ładunek złota ośmiomiliardowej wartości. Nie odnaleziono ani ładunku, ani szczątków samolotu. W zatoce jednej z wysp Markizów ukryty jest łup wojenny hitlerowskiego kapitana łodzi podwodnej U-435, Helmuta. Skarb ten składa się z dużej ilości klejnotów, złota oraz trzech obrazów pędzla van Dycka. Na wyspie Grigan w archipelagu Marianów angielski korsarz Robertson ukrył w 1872 roku dwa miliony złotych piastrów, zrabowanych z dwumasztowca „Perivian” stojącego na redzie portu Callac. Robertson, ujęty przez kapitana Pacheco, popełnił samobójstwo. Skarbu, jak dotąd, nie odkryto... Złota waza z ośmioma szmaragdami, dwa kilogramy platyny, pięćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów i dwa miliony funtów tureckich zakopał w 1917 roku w Armenii, niedaleko granicy perskiej, dowódca białych kozaków, Czerniawski... Czy mam dalej wyliczać?

Młody leśnik uśmiechnął się smutnie. Postanowiłem go ostatecznie pognać.

– W domu szuflady mojego biurka pełne są fotokopii planów prowadzących do miliardowych fortun. Niestety, plany te zrobione były na chybcika i niedokładnie. W tym leży

<sup>1</sup> Suspendowany (z łac.) – zawieszony w czynnościach.

zasadnicza trudność. Ja wiem o skarbach miliardowych, a pan proponuje mi Ałbazin i woreczek ze złotem. A poza tym zapomniał pan o jednym. Ałbazin znajduje się na Syberii, albo, jak pan mówi, na Dalekim Wschodzie. To ziemie należące do Rosji. Istnieje prawo, które głosi, że skarb znaleziony na jakimś terenie jest własnością państwa, które włada tym terytorium. Zaś szmugiel złota przez granicę to już nie moja specjalność...

Szulc milczał. Ja również. Wypaliliśmy po papierosie.

Potem on wstał i pożegnał się ze mną.

– Przepraszam, że okazałem się człowiekiem pozbawionym fantazji i nieskłonny do przygód – powiedziałem

– A może jednak pan się zastanowi? – nie tracił nadziei.

– Może

– Niech pan na wszelki wypadek zapisze sobie mój adres: Antoni Szulc, wieś Kamionki.

Zapisałem w notesie adres leśnika. Uczyniłem to przez uprzejmość. Nie zamierzałem bowiem poszukiwać skarbów Ałbazina. Zależało mi jedynie na planie starych fortyfikacji warowni. Ale nie widziałem sposobu, w jaki mógłbym je od leśnika wydostać, skoro w grę wchodziło złoto.

Po powrocie do domu rozłożyłem na stole atlas geograficzny. Duża okrągła lupa poczęła sunąć po mapie, wydobywając niebieskie żyłki rzek, czerwone nitki kolei i dróg, żółte płaskowyzę, buraczkowe łańcuchy gór.

Amur – graniczna rzeka między Mandzurią, należącą do Chin, i Rosją. Wypływający z Mongolii Arguń łączy się z Szyłką i jako Czarna Rzeka – Amur – płynie do Morza Ochockiego, mijając Błagowieszczeńsk, Chabarowsk, Komsomolsk, Nikolajewsk.

...Po mandżursku, mongolsku i po polsku pisały władze chińskie do obrońców warowni ałbazińskiej.

Sunąłem lupą wzdłuż grubej nitki Amuru. Odczytywałem nazwy nielicznych miast i osad. Niektóre z nich brzmiały bardzo dźwięcznie, lecz nie znalazłem Ałbazina.

A może Ałbazin jednak nie znajduje się nad Amurem? W takim razie czemu ałbazińska pieczęć widnieje w *Zapiskach Priamurskiego Otdiela Obszczestwa Wostokowiedienija*?

Kto wie, jaki był los warowni? Może na skutek walk została ona na zawsze zmieciona z powierzchni ziemi i nazwa jej nie figuruje na współczesnych mapach? A może jest teraz tylko małą wioską zapomnianą przez kartografów?

Przypisy na końcu atlasu lakonicznie informowały, że Amur liczy sobie 4354 kilometry. Jest dłuższy od Leny, Obu, Jeniseju, Wołgi i Irtyszu. Proszę bardzo, szukajcie na przestrzeni czterech tysięcy kilometrów miejscowości o nazwie Ałbazin!



W Klubie Dziennikarzy sprzedawano wino o pięknej nazwie *Samos*. Piliśmy je z moim przyjacielem, poetą Robertem. Przyjaciół był gruby, jowialny i przypominał raczej poczciwego sklepikarza.

Robert próbował mnie pocieszać:

– Wszystko to, co piszesz i co zazwyczaj przeżywasz, podobne jest, nie obraż się, do tekturowej gry, którą posiadałem w dzieciństwie. Gra ta nazywała się: *Pozwolenie na przywóz lwa*. Uczestnicy gry postanawiali sprowadzić lwa. Żywego, prawdziwego lwa. Ale przywóz lwa nie był łatwy. Żądano specjalnych kwitów, zaświadczeń, opłat. Piętrzyły się coraz to nowe przeszkody i trudności. Jeśli rzuciło się kostką szczęśliwie, pionek – czyli grający – wchodził do gabinetu wysoko postawionych osób i uzyskiwał potrzebne zezwolenie. Jeśli zaś rzuciło się kostką nieszczęśliwie, okazywało się, że znów brakuje jakichś papierków, albo że na morzu rozszalała się burza i statek ze lwem o mało nie zatonął. Istniał w tej grze niebezpieczny punkt: gdy pionek nań trafił, lew umierał na zaraźliwą chorobę i wszystko należało zaczynać od początku. Ale istniało także i inne miejsce. Grający łączył się telefonicznie z samym premierem, a ten wspaniałomyślnie zezwalał na przywóz lwa. I odtąd nie było żadnych przeszkód. Gra kończyła się zwycięsko.

– Chcesz powiedzieć, że i w sprawie Ałbazina jest jedno takie szczęśliwe miejsce? Wystarczy jeden telefon i będę wszystko wiedział, a może nawet odwiedzę tajemniczy Ałbazin?

Robert skinął głową.

– Uważam, że musisz wytrwale rzucać kostką i nie martwić się. Z pewnością trafisz na szczęśliwą chwilę. A wtedy sprowadzisz sobie pięknego, żywego lwa.

## ROZDZIAŁ DRUGI

**MISTRZ KLASY MIĘDZYNARODOWEJ • KAMIŁA CHCE DO AŁBAZINA  
• JÓZEF I PUTYFAROWA • PANIENKA Z BIBLIOTEKI • AŁBAZIN,  
URSUS I EGZOTYCZNA KOBIETA • DUŃCZYK ANONIM, PUŁKOWNIK-  
POLAK I OKRUTNY WOJEWODA • LIST Z KAMIONEK • JADĘ PO  
ŻYWEGO LWA**

Zajmowaliśmy w trójkę wygodne, trzypokojowe mieszkanie z hallem, kuchnią i łazienką. Jeden pokój należał do mnie, drugi – do szachowego mistrza klasy międzynarodowej, pana Ludwika P., trzeci zaś zajmowała panna Kamila, śpiewaczka z operetki. Mistrz szachowy miał już sześćdziesiąt lat; w dzień spał, a w nocy grywał ze sobą w szachy, sam z sobą dyskutował i pił wino. Kamila była młodą, dwudziestodwuletnią dziewczyną, dość ładną i bardzo zgrabną. Nie znałem się na śpiewie i trudno mi było ustalić skalę jej talentu.

Tych dwoje ludzi znało wiele moich tajemnic. Wobec nich złamałem przyrzeczenie o dyskrecji i podczas kolacji, w kuchni, opowiedziałem o odwiedzinach leśnika i o złocie ukrytym w Ałbazinie.

Nazajutrz wczesnym wieczorem Kamila zaczepiła mnie w hallu.

– Chciałabym, żeby mnie pan zabrał ze sobą. Na dworze taka piękna wiosna, w mieście dym i kurz. Mam cerę bladą jak obrany kartofel.

– Dokąd panią zabrać? Do Ałbazina?

– O, nie. O tym nawet nie śmiem myśleć. Do tego leśnika

– Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek mówił o wyjeździe do leśnika.

– Przecież on posiada plany ukrytego skarbu! Nie chce pan zostać bogatym?

– Czy pani mówi to serio?

– Oczywiście. Przyjemnie wyobrazić sobie, że mógłby pan wrócić z workiem złota. Może wówczas pożyczyłby mi pan dużo pieniędzy

– I co?

– Nic. W teatrze, żeby coś znaczyć, trzeba udawać, że się ma dużo pieniędzy, że się jest rozrywany, że się ciągle nie ma czasu. Wtedy sami przychodzą i proponują, żeby wziąć udział w jakimś przedstawieniu czy koncercie. Im częściej się odmawia, tłumacząc się brakiem czasu, tym częściej przychodzą i proszą. A ja... widzi pan. Ja mam ciągle dużo czasu.

– I dlatego myśli pani o Ałbazinie?

– O, nie tylko ja. Mistrz też myśli. Wczoraj zwierzył mi się. „Zobaczy pani, że gdy Tomasz odnajdzie swój Ałbazin, to i w moim życiu wszystko się odmieni na lepsze, zacznę wygrywać”.

Potem udała się do kuchni, żeby przyrządzić wieczorny posiłek, a w dziesięć minut później do drzwi naszego mieszkania zadzwonił poeta Robert.

Przyszedł jak zwykle – zadyszany, zziębnięty. Jak zwykle powiedział cicho, poufnie:

– Gonili mnie. Cały Związek Literatów Polskich i pracownicy redakcji. Ścigali mnie, chcieli mi wydrzeć moje wiersze. Ale ja kluczyłem ulicami, zmieniałem taksówki, znikałem w przechodnich bramach. Wołali za mną: „Robercie, oddaj swój wiersz, będziemy go natychmiast drukować”. Ja jednak tutaj przybiegłem. Uratowany...

Tak lubił żartować poeta Robert. Albowiem bardzo rzadko proponowano mu druk jego wierszy.

Zapytałem, czy chciałby zjeść ze mną kolację. Kiwnął głową, zaprowadziłem go więc do kuchni, gdzie Kamila, przybrana w malutki, biały fartuszek, krzątała się przy piecu gazowym i smażyła sznycle cielęce.

Robert aż sapnął ze strachu. Mruczając jak rozgniewany niedźwiedź niechętnie usadowił się na wysokim krzeselku. Był to bowiem dość dziwny poeta: nie lubił kobiet. Odstraszała go od nich wrodzona, wprost chorobliwa nieśmiałość. Wystarczyła jedna moja żartobliwa uwaga, że tworzyliby razem bardzo ładną parę, aby Robert zaczął mnie odwiedzać tylko wtedy, gdy okna w pokoju Kamili czerniały mrokiem. Sądzę, że i teraz zmylił go brak światła w jej pokoju. Pośpieszył więc do mnie z wizytą i spotkał Kamilę w kuchni.

Irytowała mnie nieśmiałość Roberta. Przypuszczałem, że po prostu boi się Kamili. Niekiedy bywałem złośliwy i robiłem wszystko, żeby pozostawić ich sam na sam. Opowiadała mi potem Kamila, że wówczas Robert milczał ponuro i aż pocił się biedak, nie wiedząc co z sobą począć. Teraz także dojrzałem strach w jego oczach. Powiedziałem ironicznie:

– Putyfarowo, przyszedł twój nieśmiały Józef.

Kamila zarumieniła się.

– Nie jestem Putyfarową.

– Nieee? – udałem zdziwienie.

Robert kilkakrotnie chrząknął nerwowo. Jakby chcąc mnie przebłagać, obwieścił głośno:

– Tajemniczy jest Ałbazin.

– Ałbazin, Ałbazin, Ałbazin – gniewnie przedrzeźniała go Kamila. – Nie macie żadnych zmartwień i kłopotów, więc je sobie wymyślcie. Niech mi pan powie prawdę – zwróciła się do mnie.

– Jaką?

– Dlaczego interesuje pana jakiś tam Ałbazin?

Wzruszyłem ramionami.

– Ba, żebym to ja sam wiedział

– Nie wie pan?

– Nie wiem. I na tym polega chyba urok tej sprawy. Robert pragnąłby, żeby wszyscy wydawcy na świecie drukowali jego wiersze, żeby zamiast grubych powieści pisano małe miniatury prozą, w których byłaby mowa o dziwnych ludziach i jeszcze dziwniejszych historyjkach. Pan Ludwik pragnąłby ciągle zwyciężać w grze w szachy. Ja chciałbym dowiedzieć się, dlaczego w XVII wieku Chińczycy pisali po polsku do mieszkańców Ałbazina.

– Każdy ma taki Ałbazin, na jaki sobie zasłużył – dodał Robert.

Mistrz szachowy pan Ludwik P. przegrywał partię za partią, o czym codziennie informowały gazety. Kamila miała wciąż dużo wolnego czasu i przesiadywała w domu, nie odwiedzał mnie więc poeta Robert. Niekiedy widywałem go w Klubie Dziennikarzy, przysiadł się do mojego stolika, w milczeniu wypijał filiżankę czarnej kawy lub szklaneczkę soku pomarańczowego – i odchodził. Byłem pewien, że ma do mnie żal, ponieważ Kamilę nazwałem Putyfarową, a jego Józefem.

Przeprowadziłem dla swojej gazety długi wywiad z dyrektorem Biblioteki Publicznej. Napisałem o jej nowych nabytkach oraz o jej skarbach – białych krukach. W zamian za to dyrektor – człowiek przemiły i mądry – pozwolił mi do woli i poza godzinami na ten cel przeznaczonymi grzebać we wszystkich katalogach, a także wyznaczył mi do pomocy panią, która niedawno ukończyła szkołę bibliotekarską.

Młoda panią miała bardzo ładną buzię i śliczne czarne włosy, lecz szpecił ją sposób układania warkoczy w dużą, śmieszoną koronę – zwyczaj moich starych ciotek. Dziewczyna liczyła sobie najwyżej dwadzieścia lat, a jednak już teraz załatywało od niej staropanieńskim zaniedbaniem. Nosila brzydką, szarą sukienkę, podobną do zakonnego habitu, a pod szyją, jak pensjonarka klasztornej szkółki, uczepiła sobie biały, koronkowy kołnierzyk. Była nieciekawa i szara jak kartki katalogu.

Wydawało mi się, że panią odznaczała się bujną wyobraźnią, która pozwalała jej uciec od własnej szarości i monotonii półek z rzędami sztywno stojących tomów. Zauważyłem, że niekiedy z rozmarzeniem patrzy w okna, w oczach ma jakby delikatną mgiełkę i zupełnie machinalnie przebiera palcami karteczki katalogu. Być może właśnie wtedy przedstawiała sobie mój Ałbazin jako wielkiego rosłego mężczyznę, atletę z węzłami muskułów, który

porywa ją i unosi jak Ursus piękną Ligię. Zapewne niekiedy Ałbazin utożsamiał się w jej wyobrażeniu z piękną egzotyczną kobietą – wówczas kartki katalogu przeglądała szybko, rzucając mi niechętnie, złośliwe spojrzenie. Uznałem za stosowne jeszcze raz wyjaśnić jej dokładnie:

– Jest to stara warownia, istniejąca w drugiej połowie siedemnastego wieku.

Kiwnęła głową. Odczułem jednak, że nie uwierzyła moim słowom.

– Czy dla starej warowni traciłby pan aż tyle czasu? – odpowiedziała podejrzliwie.

Pewnego razu, usłyszawszy taką odpowiedź, przysunąłem swoje krzesło do krzesła panienki. Usiadłem obok niej, chwyciłem gwałtownie jej rękę.

– Ha, ha – zawołałem tragicznie. – Pani mnie zdemaskowała! Taaak, Ałbazin nie jest starą warownią. Któż by tracił czas na szukanie warowni?

Odsunąłem krzesło, przesiadłem się na dawne miejsce i znowu zacząłem przeglądać katalog.

Panienka siedziała nieruchomo. Wydawała mi się przerażona, a już co najmniej bardzo wstrząśnięta. Minęło kilka minut, zanim zabrała się do pracy. Ale od tamtej chwili nareszcie wykonywała swe zajęcie bez wyobrażeń, uważnie i bardzo pilnie.

Interesowały mnie tylko książki dotyczące Syberii i Dalekiego Wschodu. Szukałem dzieł starych, szacownych – do nowszych autorów nie miałem jakoś zaufania. Nie wskazały mi przecież Ałbazina współczesne atlasy, nie było o nim nawet wzmianki w encyklopediach, słownikach geograficznych, współcześnie opracowanych historiach.

– *Sibirskij Wiestnik*, czy to pana ciekawi? – zapytała mnie nagle panienka, wyciągając z katalogu jedną z kartek.

– Który rok wydania?

– Tysiąc osiemset dwudziesty drugi.

Poprosiłem, żeby wypisała numer książki i postarała się przynieść ją z księgozbioru.

Przyniosła. Dwa nieduże tomy, w których było osiemnaście części.

Otworzyłem książkę niedbale, na pierwszej lepszej stronicy. Przypadek, że właśnie na tej, a nie innej? Tak. Ale o takim przypadku opowie wam każdy oficer śledczy tropiący ślad przestępcy. Opowie wam archeolog, który, jakby intuicją wiedziony, zatrzymał się przypadkiem obok wykopu pod fundamenty nowej fabryki i odkrył stare zapomniane cmentarzysko. O takim przypadku opowie także historyk, który ze stosu starych dokumentów wyłowi od razu ten jeden, ten najciekawszy.

Zapewne prędzej lub później i tak odnalazłbym ową ważną stronicę, zamierzałem bowiem *Sibirskij Wiestnik* wypożyczyć do domu. Ale faktem jest, że ledwie książkę dotknąłem, skierowałem wzrok na to jedyne, najwłaściwsze miejsce. Na stronę 87.

...w gorodie Jenisiejskie był odin połkownik polak.

I natychmiast oczy moje wychwyciły w szarym, monotennie zadrukowanym tekście słowo, które zdawało się aż krzyczeć: Ałbazin!

*...postroili Ałbazinskuju krepost.*

Pułkownik-Polak? Zbudowali ałbazińską twierdzę?

Uścisnąłem panienkę, pocałowałem ją. Pośpiesznie wypisałem rewers na wypożyczenie *Sybirskiego Wiestnika*.

– Ach, proszę pani! Nareszcie będę wszystko wiedział! – wołałem.

I na odchodnym obwieściłem panience:

– Nareszcie sprowadzę sobie lwa.

Z *Sybirskiego Wiestnika* dowiedziałem się że, w Petersburgu, w Bibliotece Publicznej, znajdowały się – a być może znajdują się tam jeszcze – dwa bardzo stare rękopisy dotyczące Syberii, napisane w języku łacińskim.

Wydawca *Sybirskiego Wiestnika* nazwiskiem Spaski odnalazł rękopisy, przetłumaczył je na rosyjski i w 1822 roku opublikował w swoim periodyku poświęconym Syberii.

Pierwszy z rękopisów (opracowany prawdopodobnie około 1684 roku) pochodzi ze zbiorów Załuskiego i nosił bardzo długi tytuł, który przełożony na język polski brzmi:

*Opowieść o Syberii zawierająca wiadomość o tym kraju i brzegach Lodowatego i Wschodniego Oceanu od archangielskiego portu do Chin, czyli Kitaja*

Drugi zaś rękopis (opracowany prawdopodobnie około 1680 roku) pochodzi ze zbiorów Dąbrowskiego.

*Historia Syberii, czyli wiadomości o carstwie syberyjskim i brzegach Lodowatego i Wschodniego Oceanu*

Obydwa te rękopisy pod względem zawartych w nich treści nie różnią się od siebie. Opracowane jednak zostały przez różnych ludzi – pierwszy z rękopisów napisany jest pięknym charakterem pisma, drugi zaś bardzo brzydkim.

Kim byli ich autorzy?

Nie wiadomo. Sądząc po dedykacji na pierwszej stronie rękopisu, skierowanej do króla duńskiego, autorem tych pierwszych wiadomości o Syberii był jakiś poseł duński przy dworze cara moskiewskiego. Nazwisko jego nie jest nam jednak znane, są to relacje anonimowe.

Pierwsze wiadomości o Polsce pozostawił nie znany z imienia Galijczyk, któremu naukowcy nadali imię „Gall Anonim”, i który pod tym imieniem figuruje dziś na kartkach poważny rozpraw historyków.

Anonimowego autora pierwszych relacji o Syberii nazwijmy więc „Duńczyk Anonim”. Jest to imię tak dobre, jak każde inne.

Duńczyk Anonim opisał ogromną ziemię leżącą aż hen, za Uralem – góry wysokie, niezbrodzone rzeki, puszcze pełne dzikiego zwierza – i plemiona zamieszkujące ten rozległy kraj od Oceanu Lodowatego aż po Czarną Rzekę, Amur. Opowiedział o nielicznych grodach zbudowanych przez przybyszów z Europy, o ich odważnych wyprawach w celu zbadania Dalekiego Wschodu i Północy. Przytaczał relacje o ciekawych wypadkach, które zdarzały się w tamtych stronach:

*W grodzie Jenisejsk żył pułkownik-Polak. Kiedy pewien wojewoda zniewolił jego siostrę-dziewicę, powodowany oburzeniem za ten podły postępek nakłonił swych towarzyszy do spisku. A potem, po zabójstwie wojewody i rozgrabieniu kupieckich straganów, opuścili oni gród i skierowali się na wschód. Przewędrowawszy wiele dni rzeką, zbudowali ałbazińską warownię.*

*I gdy w ciągu 10 lat umocnili tam swój byt, posławszy do Moskwy podarunki prosili Cesarską Wysokość, żeby wybaczył im dokonane przestępstwo i obiecali corocznie zbierać od tubylców daninę i do Cesarza ją posyłać.*

*I tak car, wybaczywszy im, wyżej wymienionego pułkownika zaszczycił tytułem wojewody i rozkazał jenisejskiemu wojewodzie zaopatrywać go we wszystko potrzebne, czego będą brak odczuwać...*

Duńczyk Anonim nie podawał dokładnej daty owego wydarzenia. Opowiadał jednak najprawdopodobniej o sprawach sobie współczesnych lub o wypadkach, które zdarzyły się bardzo niedawno i które znał „z pierwszych ust”. Może będąc na dworze cara moskiewskiego był świadkiem ułaskawienia pułkownika-Polaka i jego towarzyszy?

Duńczyk Anonim pisał w latach 1680-1684.

W 1684 roku cesarz chiński zwrócił się po polsku do mieszkańców ałbazińskiej warowni... Po polsku, bo przecież budowniczym ałbazińskiej warowni był Polak.

Te dwa zdarzenia przylegały do siebie jak dwa tryby w dobrze dopasowanej maszynie.

Nie wiedziałem jeszcze dokładnie, gdzie leży Ałbazin, nie znałem nazwiska pułkownika-Polaka, ale oto powoli wyjaśniała się tajemnica chińskiego listu, pisanego w języku polskim.

Po głowie snuła mi się historia, jakby wyjęta ze starego romansu.

Nad ogromną, dziką rzeką Jenisej na Syberii żyje pułkownik-Polak i jego siostra precudnej urody. Dziewczyna kocha pięknego młodzieńca, ale oto zwrócił na nią uwagę okrutny i brzydki wojewoda. Zaloty wojewody budzą w dziewczynie tylko obrzydzenie i wstręt, wojewoda nie widzi więc innej rady, jak siłą zmusić dziewczynę do miłości. Porywa ją i zabija młodzieńca, który stanął w obronie ukochanej dziewczyny. Wówczas brat jej, pułkownik, stał się mścicielem. Zabił wojewodę, lecz lękając się zemsty władz, zebrał grupę towarzyszy i umknął z nimi na wschód, w niezbadane i nieogarnięte ostępy tajgi syberyjskiej. Zbudował twierdzę Ałbazin i odtąd wraz z grupą swych towarzyszy począł prowadzić życie wolne i sprawiedliwe. Wkrótce zwrócił się do cara z prośbą o łaskę, a car, pomny zasług pułkownika, który podbił dla niego nowe terytoria i poszerzył granicę moskiewskiego państwa, w niepamięć puścił zabójstwo okrutnego wojewody, obdarzył pułkownika-Polaka tytułem wojewody i na zdobytych przez niego ziemiach pozwolił sprawować rządy.

Piękna, romantyczna historia. Jak z bajki.

– Tylko – u licha! – skąd się w Jenisejsku znalazł polski pułkownik wraz ze swą piękną siostrą?

– Jestem pewna, że żaden z was nie okazałby się tak rycerski, jak ten pułkownik – powiedziała Kamila, gdy któregoś wieczoru znowu spotkaliśmy się w kuchni.

– Teraz nie ma wojewodów chętnych do porywania młodych kobiet – stwierdziłem.

A Robert dodał:

– Myślę, że dzisiejsze dziewczęta pragnęłyby, żeby je porywano. Szczególnie gdyby porywaczem był ktoś wpływowy. Ot, na przykład wojewoda.

– Albo reżyser teatralny lub filmowy – dorzuciłem.

Kamila zaczerwieniła się. Lecz całą swoją złość wywarła na Robercie.

– Co pan ma w tej sprawie do powiedzenia? Co pan wie o młodych dziewczętach? Boi się ich pan jak ognia.

Robert skurczył się na krzeselku, które aż zatrzeszczało pod jego ciężarem. Było to zresztą tandetne kuchenne krzesło, a Robert odznaczał się pokaźną tuszą.

Skrzypnęły drzwi w głębi mieszkania. To mistrz szachowy, pan Ludwik P., zbudził się ze swej poobiedniej drzemki. Człapiąc nocnymi pantoflami, zjawił się w kuchni. Miał wielką, łysą głowę, która prześlicznie połyskiwała w świetle żarówki płonącej u sufitu.

Mistrz podał mi list polecony i wyjaśnił zachrypniętym, zaspanym głosem:

– List przyszedł podczas pańskiej nieobecności. Przynieśli go z redakcji, bo podobno cały dzień spędził pan w bibliotece. Odebrałem go, ale potem zasnąłem. Dlatego dopiero teraz go panu doręczam.

Rozerwałem kopertę.

*Szanowny Panie Redaktorze!*

*Długo myślałem o tym, co mi Pan powiedział, gdy rozmawialiśmy w redakcji. I doszedłem do wniosku, że nie warto zaprzętać sobie głowy złotem, które pozostało w Albazinie. Zresztą na tym złocie jest już wiele krwi ludzkiej. Nie chcę bogactwa okupionego krzywdą, łzami i krwią. Ponieważ jednak Pan interesuje się Albazinem i mogą się Panu przydać plany Albazina, które są w moim posiadaniu – proszę do mnie przyjechać i zabrać je sobie. Opowiem Panu wówczas historię albazińskiego skarbu. Może i ta historia na coś się Panu przyda?*

*Czekam Pańskiego przyjazdu i pozdrawiam Pana.*

*Antoni Szulc  
Wieś Kamionki*

– No, teraz pan tam na pewno pojedzie – klasnęła w dłonie Kamila.



– Pojedzie pan do Albazina? – ucieszył się mistrz szachowy. – O, teraz będę z pewnością wygrywał.

– Wrrr, wrrrr – zaczął warczeć Robert, a potem zawył strasznym głosem.

– Jezus Maria, co się panu stało? – przestraszył się mistrz szachowy.

– Zobaczycie, że on przywiezie żywego lwa – rzekł Robert, wskazując na mnie palcem.

## ROZDZIAŁ TRZECI

**ZAGADKOWE BOGACTWO PANA BELZAKA • „KAROL, KTÓRY ZMARTWYCHWSTAŁ” • PONURA OPOWIEŚĆ WŁÓCZĘGI • ROZKAZ ZABÓJSTWA • NIEOCZEKIWANA ZBRODNIA • NOC NA MIEJSCU MORDERSTWA • FOTOGRAFIA MŁODEGO DUDY • GRÓB BELZAKA • OTRZYMUJĘ PLANY ALBAZINA • KIM JEST LEŚNIK**

– Jak to się stało, że znalazł się pan w posiadaniu planów Albazina? – zapytałem Szulca.

– Bardzo zwykła historia. Mam je od Dudy, po którym odziedziczyłem to gospodarstwo. Duda nie żyje od pięciu lat.

– A on skąd je wziął?

– O, to bardzo ciekawa sprawa. Opowiedział mi wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Interesuje to pana?

– Naturalnie.

Staliśmy na wysokiej drewnianej werandzie leśniczówki: Szulc, ja i Kamila, którą przywozłem tutaj na swym skuterze. Otaczał dom niewielki ogród okolony wysokim płotem, tuż za nim stał las pełen wysokich, ciemnych świerków. Wieczór był chłodny, choć mieliśmy już początek maja. Rozmawiając na werandzie widzieliśmy, jak w zachodzącym słońcu szczyty świerków najpierw żółkły, potem stały się złociste, a wreszcie srebrne i granatowe.

W ogrodzie biegały dwa wielkie psy Szulca, owczarki alzackie. Psy poruszały się prawie bezszelestnie – dwa podłużne cienie płaczące się z sobą, migające w oczach jak podługowate stwory w brudnej kropli wody oglądanej pod mikroskopem.

Szulc gwizdnął na psy, a gdy podbiegły, pogłaskał je po łbach. Później zamknął drewniane okiennice leśniczówki i zaprosił nas do wnętrza gościnnej izby. Było tu chłodno, ale w ogrzanej kuchni żona Szulca właśnie kąpała dziecko. Szulc zapalił naftową lampę i postawił ją na stole pokrytym pluszową serwetą, podobną do kapy na łóżko. W izbie znajdował się staroświecki szezlong w stylu empire i wielka kanapa, drewniana etażerka, wiklinowy fotel-bujak i kilka niewygodnych krzeseł. Na ścianach wykpionych brzydką,

ciemną tapetą wisiały trzy duże fotografie w złotych ramach i zjedzona przez mole głowa niedźwiedzia – białe, jakby na co dzień szorowane szczoteczką do zębów.

– Żona umyje dzieciaka, położy spać i wtedy przygotuje dla nas kolację. A tymczasem opowiem o starym Dudzie i panu Bełzaku. Czy pan wie, kto to był Bełzak?

Przecząco pokręciłem głową. Kamila ułożyła się wygodnie na szezlongu; zmarzła podczas podróży do leśniczówki i teraz skora była do drzemki. Szulc przyniósł włochaty koc, Kamila wtuliła się w niego i natychmiast zasnęła. A może tylko udawała, że śpi?

Czekało mnie wysłuchanie zapewne bardzo długiej i nieciekawej historii. Interesowały mnie wyłącznie plany Ałbazina, a przede wszystkim plan warowni ałbazińskiej. Ale Szulc jakby zapomniał o tym, co w liście napisał. Wydawało mi się nietaktem zaraz po przyjeździe dopominać się o plany. Niechże się więc wygada.

Przyniósł karafkę z miętową wódką. Wypiliśmy po kieliszku.

– Stanisław Bełzak przybył w tejsze okolice podobno w 1890 roku. Mówię „podobno”, bo całą tę historię znam tylko z opowiadań starego Dudy, po którym odziedziczyłem ten dom i gospodarstwo w lesie.

– Wiem, wiem – mruknąłem.

– Pan Bełzak przybył w te strony tylko z dwoma walizkami i nie wyglądał na bogatego człowieka. Podobno przyjechał tu z Rosji, gdzie jego ojciec, Polak, inżynier, pracował przy wytyczeniu transsyberyjskiej kolei

– Którą zaczęto budować w 1891 roku, a ukończono w 1916 – wyrecytowałem, wspomniawszy lekcje geografii.

– Pan Bełzak opowiadał, że po śmierci rodziców zdecydował się wrócić do Polski i tutaj rozpocząć nowe życie. Jak się wkrótce okazało, miał w banku ogromny majątek, kupił folwark Kamionki, wspaniałe dwór oraz ogromną połąć lasów. To właśnie na folwarku Bełzaka ojciec starego Dudy pracował jako fernal. Duda był żonaty, miał jedno dziecko, syna. Kiedy ten chłopak doszedł do siedemnastu lat, zainteresował się nim pan Bełzak i przyjął go do siebie jako lokajczyka, a potem lokaja. Warto nadmienić, że Bełzak nigdy się nie ożenił, żył samotnie i na starość zupełnie zdziwaczał. Swemu lokajowi, to znaczy Dudzie, raz mówił, że majątku dorobił się w Chinach, innym razem, że w Mandżurii, a nawet w Indiach. Rzeczywiście, podobno bardzo ciekawie opowiadał o zwyczajach Mandżurów, Chińczyków, Samojedów. A gdy się upił, co często mu się zdarzało, kazał się ludziom nazywać prezydentem.

– Prezydentem? – zdumiałem się.

– Tak. Po pijanemu mówił, że był prezydentem Żółtugińskiej Republiki.

– Nigdy o takiej republice nie słyszałem. To były chyba tylko pijackie majaczenia.

– Być może. Ale jak opowiadał mi Duda, chyba w 1912 roku pan Bełzak otrzymał list z Moskwy. A gdy Duda podał mu ten list i pan Bełzak go przeczytał, to zbladł i zapytał Dudę: „Ty, młodzieńcze, umiesz strzelać?” „Nie, panie dziedzicu” – odrzekł Duda. Wówczas pan

Bełzak pojechał do miasta i kupił dwie strzelby: dla siebie i dla swego lokaja. Potem obydwaj chodzili do lasu i uczyli się strzelać. Duda nieraz próbował podpytać Bełzaka, czego się obawia, ale Bełzak zawsze dawał wymijające odpowiedzi... I pewnego dnia na schodach pałacu pana Bełzaka zjawił się włóczęga. Brudny, obszarpany, głodny. Pan wie, gdzie się znajdował dwór Bełzaka?

– Nie

– Zaraz za wsią Kamionki, niedaleko lasu. Teraz tam już tylko krzaki rosną, bo po śmierci pana Bełzaka jego majątek rozprzedano chłopom. Dwór był podobno bardzo piękny: trzydzieści pokoi, wielka brama wjazdowa, szerokie schody aż do drzwi wejściowych. I na tych schodach spotkał Duda owego dziwnego człowieka. Włóczęga rzekł do Dudy, że chciałby się zaraz zobaczyć z panem Bełzakiem, żeby więc Duda poszedł do pana Bełzaka i oświadczył, iż, przed drzwiami czeka „Karol, który zmartwychwstał”. Tak się wyraził. Duda, oczywiście, spełnił żądanie i powiedział Bełzakowi, że przed drzwiami jego pałacu czeka „Karol, który zmartwychwstał”. Pan Bełzak odrzekł tylko: „Wiedziałem, że jednak przyjdzie...” i kazał podać sobie strzelbę. Następnie usiadł w fotelu w swoim gabinecie, strzelbę położył na stoliku obok fotela i ozwał się do Dudy: „Wprowadź tego Karola, ale uzbrój się także w strzelbę i stój przy drzwiach mego gabinetu. Jeśli usłyszał moje wołanie, wbiegnij do gabinetu i ratuj mnie przed tym zbirem...”

– Pan to tak dokładnie opowiada, jakby to pan był właśnie owym Dudą – nieoczekiwanie odezwała się Kamila.

– Pani nie spała? – zdziwił się leśniczy.

– Nie. To bardzo ciekawe, co pan mówi.

– Przyjechałem do Kamionki przed dwunastu laty. I aż do czasu śmierci Dudy, to jest przez osiem lat, pracowałem tutaj i mieszkałem razem z nim. Nie było dnia, żeby mi nie powtarzał historii pana Bełzaka. Znam ją rzeczywiście tak dokładnie, jakbym sam był Dudą.

Na chwilę pobiegł do kuchni. Przyniósł jeszcze jeden kieliszek. Dla Kamili. Wypiliśmy, zapaliliśmy papierosy. Kamila już nie udawała, że śpi. A mnie historia pana Bełzaka ciągle wydawała się mało interesująca.

– Duda miał wówczas dziewiętnaście lat, odznaczał się jednak dużym sprytem – Szulc ciągnął swe opowiadanie. – Był bardzo ciekawy, czego też chce od jego pana ów dziwny Karol, który zmartwychwstał. Nie domknął więc drzwi do gabinetu i słuchał, o czym ci dwaj będą mówić. A oni z początku rozmawiali bardzo spokojnie, ba, wesoło. Karol jakby cieszył się z faktu, że pan Bełzak ma taki piękny majątek, że mieszka w tak pięknym dworze, wśród pięknych mebli i obrazów. „Przecież połowa tego, co posiadasz, jest moją własnością” – powiedział. I krzyknął do pana Bełzaka: „Ty łotrze, na żer krukowi i sępom mnie pozostawiłeś na skałach, a sam ze złotem uciekłeś i żyjesz tu jak hrabia. A ja? A ja ledwo z ran się wylizałem, jak bezdomny pies po świecie się włoczyłem, z głodu zdychałem, wszy mnie żarły”. I ten Karol zapłakał. Podobno naprawdę zapłakał...

Szulcowi zadrgał głos, jakby wzruszył się historią, którą opowiadał. Głośno przełknął ślinę.

– Zapłakał – powtórzył cicho.

Rzekłem:

– Pan Bełzak nie chciał się podzielić z Karolem swoim majątkiem.

– Tak, panie redaktorze. Słusznie pan odgadł. Wyciągnął z biurka papier, narysował na nim coś i rzekł do Karola: „Część naszego złota pozostawiłem w Ałbazinie. Tu jest plan miejsca, w którym je ukryłem. Jedź sobie do Ałbazinga, wykop worek ze złotym piaskiem. Będzie on twoją wyłączną własnością. Nie musisz się nim dzielić ani ze mną, ani z Boulainem”. Lecz Karol cisnął plan ałbazińskiego skarbu w twarz panu Bełzakowi, a potem rzucił się na niego i chciał go udusić, tak był rozgniewany. Pan Bełzak krzyknął rozpaczliwie, do gabinetu wpadł Duda, uderzył kolbą Karola i ogłuszonego wywłócił do ogrodu. A gdy Karol oprzytomniał, precz go wypędził. Potem pan Bełzak wezwał do siebie Dudę. „Musisz zabić tego włóczęgę, bo on nigdy mi już nie da spokoju – powiedział. Jestem dość bogaty, aby uchronić cię przed policją. Usuniesz z mojej drogi Karola, ale tak, aby już więcej nie zmartwychwstał. Wyrobię ci paszport na inne nazwisko, pojedziesz do Ałbazinga i z pomocą mojego planu znajdziesz złoto, które tam ukryłem.”

– I co? Duda zgodził się zabić Karola?

– Nie, odmówił. Powiedział, że nie jest w stanie zastrzelić bezbronnego włóczęgi. Wtedy pan Bełzak bardzo się na Dudę rozgniewał, zagroził mu nawet wyrzuceniem z pracy, co bardzo przerażyło Dudę, gdyż zamierzał się ożenić i założyć rodzinę, a w całej okolicy nie było innej pracy poza tą u Bełzaka. Jednak mimo tej groźby Duda nie podjął się zabicia Karola. Zresztą, pan Bełzak szybko ochłonął z gniewu i wymyślił inny plan. Postanowił osobiście, ze swojej strzelby pozbawić życia Karola. Ale na miejsce zabójstwa nie nadawał się przecież dwór pana Bełzaka, gdyż policja rozpoczęłaby śledztwo, dlatego to trup Karola znalazł się we dworze. Tak więc na miejsce zabójstwa Karola wybrał Bełzak leśniczówkę, która stała pusta w jego lesie. Do tej leśniczówki Duda miał sprowadzić Karola, obiecując mu, że Bełzak wręczy mu tam część zdobytego przez nich złota.

– I co było dalej? – zaciekałem się.

– Nadszedł wieczór. Ciemny deszczowy wieczór. Dudzie doniesiono, że Karol pije wódkę w karczmie w Kamionkach, na lewo i prawo opowiada o swej krzywdzie doznanej od Bełzaka i grozi mu zemstą. Duda obiecał Bełzakowi, że postara się wyciągnąć z karczmy Karola i doprowadzi go do pustej leśniczówki, gdzie będzie czekał pan Bełzak ze strzelbą. Śmierć Karola w pustej leśniczówce można było zwać na jakichś bandytów, bo pan Bełzak przygotował sobie tak zwane alibi, niby to, że przez cały czas znajdował się w swoim dworze, a nie w leśniczówce.

– I Duda poszedł do karczmy?

– Tak. Ale bez broni, gdyż to nie on miał zabić Karola. Poszedł więc Duda pod karczmę. Zobaczył Karola pijącego wódkę przy szynkwacie. Obok Karola stało trzech chłopów, ciekawych obcego człowieka, który o ich jaśnie panu dziedzicu opowiadał najstraszniejsze historie. Postawili mu nawet kilka kieliszków gorzałki, a ten pił i gadał. Gadał coraz więcej. O tym, że gdzieś tam w Azji zdobyli ogromną ilość złota, to znaczy złotego piasku i złotych samorodków. Było tego, jak mówił Karol, aż 25 pudów, to jest prawie pół tony. Niestety, na miejscowość, w której żyli, napadli Chińczycy i Bełzak, Karol i ten trzeci nazwiskiem Boulain musieli uciekać. Na szczęście mieszkali nad dużą rzeką, pół tony złota w workach załadowali na dużą łódź i uciekli z prądem rzeki. Ale w obawie, że Chińczycy ich dogonią, a oni sobie nie poradzą z tak wielką ilością złota, postanowili ukryć gdzieś 400 kilogramów złotego kruszcu. Zakopali go w jakiejś wsi o nazwie Albazin. Pozostałe 100 kilogramów, czy też było tego trochę mniej, podzielili między siebie i objuczeni workami z bogactwem, porzucili łódź i zaczęli uciekać lądem w bezpieczne okolice. Napadli na nich jednak bandyci i w potyczce z nimi Karol został ranny. Lecz zamiast ratować kolegę pan Bełzak i ów Boulain pozostawili umierającego na skałach, zabierając mu jego woreczek ze złotym kruszczem. Lecz Karol, choć długo chorował, wreszcie powrócił do zdrowia. Potem przez kilkanaście lat szukał tego Boulaina i pana Bełzaka, bo będąc ranny i prawie nieprzytomny nie pamiętał, w którym miejscu na brzegu rzeki we wsi Albazin ukryte zostało złoto. W końcu odnalazł Boulaina. Ale okazało się, że przepił on cały swój majątek i stał się zupełnym żebrakiem, ruiną człowieka. Wódka zaćmiła jego pamięć i Karol nie łudził się, że Boulain będzie mógł mu pomóc w odnalezieniu zakopanego w Albazinie złota. Boulain dał jednak Karolowi adres pana Bełzaka. W ten sposób Karol trafił do pana Bełzaka, zjawił się przed nim jako włóczęga, żebrak, gdy Bełzak żył jak wielki pan. W pewnej chwili Duda zbliżył się do pijącego w karczmie Karola i szepnął mu, że Bełzak gotów jest dokonać podziału swego majątku i on, Duda, poprowadzi go do niego. Pijany Karol dał się zwabić w pułapkę. Poszedł z Dudą w las i gdy byli już blisko leśniczówki, Duda wskazał mu ją, oświadczył, że tam właśnie czeka pan Bełzak, a następnie, nie chcąc być świadkiem morderstwa, poszedł prosto do dworu. Tam usiadł w fotelu przy kominku i czekał na powrót pana Bełzaka. Niestety, aż do rana pan Bełzak nie powrócił do siebie. Wówczas zaniepokojony Duda poszedł do leśniczówki, gdzie zastał Bełzaka, zabitego z własnej strzelby.

– Zabił go Karol? – spytałem.

– Tak twierdziła policja na podstawie tego, że Karol groził w karczmie zemstą na Bełzaku, a potem gdzieś zniknął. Znalaziono go rano, śpiącego w stogu siana, tuż obok pustej leśniczówki. I choć Karol przysięgał, że do leśniczówki nie doszedł, bo był bardzo pijany i nie widział się z Bełzakiem, bo zaszył się w stogu siana, gdzie zasnął, policja aresztowała go i zaprowadziła do celi w cyrkule. Co prawda przy Karolu nie znaleziono ani pieniędzy, ani złota, o którym tyle opowiadał w karczmie, lecz dla policji było oczywiste, że po zabójstwie Bełzaka zapewne gdzieś to wszystko ukrył.

– Co się potem stało z Karolem?

– Nazajutrz uciekł z cyrkułu i ślad po nim zaginął.

Obudziła się we mnie detektywistyczna żyłka. Powiedziałem:

– To Duda dopomógł Karolowi w ucieczce z cyrkułu, prawda?

– Skąd pan o tym wie? – zdumiał się Szulc. – Rzeczywiście to Duda dopomógł Karolowi w ucieczce, bojąc się, że Karol wyzna policji, że pod leśniczówkę zaprowadził go właśnie Duda, a wtedy i on stanie się podejrzany, a może nawet zostanie aresztowany, gdyż będzie musiał zdradzić policji plan Bełzaka i swój w nim udział.

– I to wszystko?

– Tak. To cała prawda o tej historii – przytaknął Szulc.

Jedliśmy kolację w towarzystwie żony Szulca. Wypiliśmy jeszcze buteleczkę miętowej wódki. Podczas posiłku Szulc unikał rozmowy o zabójstwie Bełzaka. Nie wspomniał także o planach Ałbazina. Nie jest przyjemnie dyskutować przy jedzeniu o morderstwie. Ale czy mogłem liczyć się z delikatnością Szulca, skoro udawał, że nie pamięta już, po co do niego przybyłem? Dlatego niegrzecznie zadałem mu kilka pytań związanych ze sprawą śmierci pana Bełzaka. Odpowiedział krótko, niechętnie, unikając wyraźnie spojrzenia swej żony.

Ogarniał mnie coraz większy niepokój. Dlaczego Szulc jest tak przejęty historią tego zabójstwa? Czemu napisał w liście, że chce mi dać plany Ałbazina, a teraz ani o tym wspomni?

Po kolacji (była już jedenasta w nocy) Szulc przyniósł pościel do pokoju, gdzie niedawno rozmawialiśmy o morderstwie. Posłał Kamili na wielkiej kanapie, a mnie na niewygodnym szezlongu. Szulcowie mieli spać w kuchni. W kuchni było ciepło, a tu – w pokoju – bardzo zimno. Kamila usiadła na kanapie pośród pościeli i trzęsła się z chłodu. Przez cały czas kolacji milczała, wydawało mi się – pilnie o czymś rozmyślała. Nie myliłem się. Teraz jakby ocknęła się i zapytała ostrożnie:

– Gdzie jest leśniczówka, w której zabito pana Bełzaka? To chyba niedaleko stąd, prawda?

– O, bardzo niedaleko – ironicznie odrzekł Szulc. – Właśnie się w niej pani znajduje.

– Tutaj?! – Kamila z przerażeniem rozglądała się po pokoju.

– Tak. W tym miejscu zabito Bełzaka – obojętnie przytaknął Szulc.

Odciągnął mnie na stronę i szepnął:

– Jutro otrzyma pan plany.

Powiedział głośno: „Dobranoc” i wyszedł z pokoju, pozostawiając na stole zapaloną lampę naftową.

Za oknami zawył pies. Jeden, a później drugi. Płomień lampy zaczął filować i sztuczne oczy w zawieszonym na ścianie łbie niedźwiedzia zaśniły czerwono.

Zapaliłem papierosa i usiadłem na szezlongu tyłem do Kamili, aby mogła się swobodnie rozebrać. Byłem zły na siebie: po jakie licho zabrałem ze sobą tę dziewczynę? Znaleźliśmy się obydwoje w dość niezręcznej sytuacji.

Szulc wyszedł na ganek i usłyszałem, jak ucisza psy. Potem skrzypnęły sprężyny kanapy – Kamila ułożyła się do snu. Chciałem zdmuchnąć lampę i także rozebrać się, ale Kamila krzyknęła:

– Błagam pana, niech pan nie gasi światła. Będę się strasznie bała.

– No, to niech się pani odwróci twarzą do ściany – burknąłem. Zdawałem sobie sprawę, że sytuacja jest komiczna i że staję się śmieszny w oczach własnych i w oczach tej dziewczyny. A niczego na świecie nie bałem się tak, jak śmieszności.

Wlazłem pod kołdrę i natychmiast zamknąłem oczy.

– Pan jest bardzo dziwnym człowiekiem – odezwała się Kamila.

– Taaak? – ziewnąłem.

Westchnęła:

– Robert też jest dziwny

– Dlatego, że podkochuje się w pani?

– Czyżby? – powiedziała z udanym niedowierzaniem.

– On jest bardzo nieśmiały. Musi pani znaleźć jakiś sposób, żeby go ośmielić. Jestem pewien, że wówczas wyzna pani miłość. Będziecie bardzo ładną parą.

– W swata się pan bawi? Znałam jednego, który również chciał wyswatać swego przyjaciela i sam się zakochał w swatanej pannie.

Milczałem. Powiedziała:

– Pan wymyślił sobie jakiś Ałbazin. Wymyślił go pan. Bo w rzeczywistości nie ma żadnego Ałbazina. Nie ma! Słyszysz pan?

Nie odpowiedziałem. Mówiła dalej:

– Robert udaje, że szuka z panem Ałbazina. Ale to nieprawda. Leśnik kłamie, że posiada plany Ałbazina. Każdy pod pojęcie „Ałbazin” podkłada sobie inną treść. Tak robi i mistrz Ludwik. Ale tylko pan pragnie odnaleźć ten prawdziwy Ałbazin. Dlatego pan jest dziwny. I śmieszny

– A pani?

– Ja? Mnie nic a nic nie obchodzi pański Ałbazin.

– Więc po co pani tu przyjechała?

– Chciałam się przewietrzyć. Choć na jeden dzień wymknąć się z miasta. Na dziś wieczór zapowiedział swą wizytę reżyser, którego pan tak nie lubi. Ależ zrobi minę, gdy się dowie, że wyjechałam z panem na wycieczkę.

– Mam nadzieję, że będzie pani dyskretna. Mogą powstać nieprzyjemne plotki.

– Aktorce plotki nie szkodzą. A poza tym nie lubię robić tajemnic ze swoich postępów.



Po chwili zasnęła, a ja ciągle czuwałem, dręczony światłem lampy naftowej. Na dworze od czasu do czasu wyły psy, oczy niedźwiedzia lśniły czerwono, z portretu na ścianie nieustannie patrzył na mnie młody człowiek w carskim mundurze. Był to Duda, któremu pan Bełzak rozkazał zabić dziwnego włóczęgę. Całe to mieszkanie wraz z jego wyposażeniem: kanapą, staroświeckim szezlongiem, głową niedźwiedzia i starym portretem – przejął Szulc po śmierci Dudy.

Bełzak został zabity w 1912 roku. Duda miał wtedy dziewiętnaście lat. W 1914 roku wybuchła pierwsza wojna światowa i najpewniej Duda, jako obywatela zaboru rosyjskiego, wcielono do armii. Na ten fakt wskazywała też jego fotografia, którą pokazał mi Szulc. Właśnie ta pozółkła fotografia w ramkach i za szkłem, wisząca w pokoju, gdzie spałem z Kamilą. Na tym zdjęciu widać było Dudę w mundurze rosyjskiego żołnierza. Twarz Dudy była charakterystyczna i łatwa do zapamiętania, a to dlatego, że miał tak bardzo zadarty nos, że widać było chrząstki.

Obojętnie popatrzyłem na jego fotografię. Tak naprawdę nic mnie nie obchodziła jego osoba, a jedynie plany warowni Ałbazina, zbudowanej przez Polaka-pułkownika. O złocie ukrytym w Ałbazinie przez Bełzaka, Karola i Boulaina nie chciałem myśleć.

Zdecydowałem się wstać z szezlonga i zgasić lampę. Ciemność przyniosła mi ulgę. W ciszy nocnej słyszałem spokojny oddech Kamili, niekiedy zaszczekał pies. Potem nic już nie słyszałem. Zasnąłem.

Rano oświadczyłem Szulcowi, że w południe muszę być w domu i wobec tego powinienem natychmiast odjechać. W milczeniu przyniósł mi dużą szarą kopertę z niewielką zawartością. Znalazłem w niej stare podanie Dudy skierowane do jakichś władz z prośbą o przydział papy na pokrycie dachu jego domu, kilka listów pisanych po rosyjsku oraz dwie złożone we czworo kartki z wykreślonymi na nich wyblakłym atramentem planami malutkiej miejscowości.

– Te wszystkie papiery pozostawił mi Duda tuż przed swą śmiercią. Powiedział, że jeśli odnajdę kryjówkę ze złotem, stanę się bogatym człowiekiem. Panu, być może uda się dotrzeć do Ałbazina i trafić na ślad zakopanego złotego kruszcu. Jest tam tego tak wiele, że nie zdoła go pan wywieźć z Rosji. Ale podobno za samo znaleźne władze ofiarowują dziesięć procent wartości skarbu. To i tak będzie dużo i dla pana, i dla mnie.

A więc o to chodziło Szulcowi. Aby mi pomógł stać się bogatym i sam się trochę obłowił. Chyba w ogóle nie zrozumiał, dlaczego szukam Ałbazina. Interesował mnie nie złoty skarb, ale rozwiązanie historycznej zagadki. Lecz czy zdoła to pojąć? Nie chciało mi się mu tego tłumaczyć. Chłodno podziękowałem za kopertę z planami Ałbazina i chciałem wyruszyć w powrotną drogę do domu.

Przyjrzałem się pobieżnie obydwu planom. Na pierwszym z nich, wykonanym na bardzo starym papierze, ktoś nakreślił atramentem plany prostokątnej fortyfikacji z wieżą strażniczą i

sześcioma rowami okalającymi obronne ściany. Obok warowni zaznaczono dwoma kreskami chyba brzeg rzeki.

Na drugim planie – wykonanym na znacznie młodszym kartonie – widziało się podobny do tego, co na pierwszym duży kwadrat i w prawym jego rogu coś na kształt cerkiewki czy kapliczki zwieńczonej krzyżykiem. To do ściany tego obiektu prowadziła strzałka z napisem: ZŁOTO.

Na pierwszym planie zostało napisane cyrylicą: PLAN AŁBAZINSKIEJ WAROWNI, zaś na drugim – chyba robionym pośpiesznie – takiego napisu nie było. Zapewne ci, którzy wykonali ten plan, robili to w popłochu, a nazwa miejscowości miała pozostać tajemnicą tych, co złoto zakopali. Różniła te plany owa mała cerkiewka z krzyżem, ale prawdopodobnie po pewnym czasie ałbazińska warownia wzbogaciła się o jakiś sakralny przybytek. Obok prostokąta, stanowiącego chyba plan warowni, również przebiegały dwie pionowe kreski, prawdopodobnie wskazujące nurt rzeki.

– To plan warowni Ałbazin oraz miejsce ukrycia złota – uroczyście oświadczył mi Szulc.

Upaął się, żeby przed moim odjazdem pokazać mi ruiny dworu pana Bełzaka. Padał drobny deszcz, byłem niewyspany, marzyłem o filiżance mocnej czarnej kawy, którą każdego ranka parzyłem sobie w domu. Przygotowałem do drogi skuter, kazałem Kamili poczekać w ciepłej kuchni i razem z Szulcem poszedłem leśną drogą aż na skraj lasu. Dalej rozpoczynały się łąki, a za nimi widać było dachy wioski Kamionki.

Dwór stał kiedyś pośród łąk, na niewielkim wzgórzu. Między krzakami głogu, w grubym kożuchu rudej trawy, szarzało kilka kamiennych stopni. Były to schody prowadzące donikąd, ale Szulc potrafił miejsce to zapelnąć ludźmi, którzy ongiś tu żyli.

– Łąki, otaczające ruiny dworu, przecinała wąska ścieżka biegnąca aż do lasu. Tą ścieżką szedł z dworu pan Bełzak, żeby w leśniczówce czekać na Dudę – opowiadał. – A tam pod lasem, tuż przy ścieżce, podobno stał stóg siana, gdzie schwytano śpiącego Karola.

Po chwili dodał:

– Nie wiem, czy wspomniałem panu, że po śmierci Bełzaka, jako że nie miał żadnych krewnych, jego majątek przejęło państwo. Lecz, tak jak to zwykle bywa, gdy brakuje gospodarza, chłopci dwór rozgrabili i nic po nim nie pozostało. Lasy zaś stały się własnością skarbu państwa. Co do Dudy zaś, to jak chyba nadmieniłem panu, on po śmierci Bełzaka powrócił do jego dworu i zabrał z biurka trochę papierów, a wśród nich plan Ałbazina ze wskazówką, gdzie zostało ukryte złoto. Jak mi mówił, zamierzał ten plan wręczyć Karolowi, którego uważał za niewinnego śmierci Bełzaka. Dopomógł mu w ucieczce, ale planu już nie zdążył doręczyć, ponieważ Karol, po swej ucieczce z aresztu, przepadł gdzieś bez śladu.

– I Duda nigdy nie próbował wyruszyć do Ałbazina, aby odnaleźć złoty skarb?

– Mówiłem panu, że założył rodzinę. Urodził mu się syn, wkrótce jednak dziecko zmarło. Potem zaś wzięto Dudę do wojska i powrócił do Kamionek dopiero po rewolucji w Rosji, w 1919 roku. Dwór Bełzaka był już wtedy rozgrabiony, ale pozostała stara leśniczówka, gdzie

Bełzak zginął. Duda kupił od państwa tę leśniczówkę oraz kawał lasu. Część drzew wyciął i zaczął na tej ziemi gospodarować jako rolnik.

– Czy nie zastanowiło pana, że powracający z wojny człowiek ma dość pieniędzy, aby odkupić starą leśniczówkę i kawał lasu?

– Pytałem o to Dudę. Wyjaśnił mi, że przez krótki czas był nawet w Armii Czerwonej, a ona grabiła kościoły i dwory. On też to i owo sobie przywłaszczył i za uzyskane z grabieży pieniądze kupił właśnie leśniczówkę i las.

Skierowaliśmy się ścieżką z powrotem do leśniczówki. Szliśmy drogą, po której pan Bełzak wędrował na spotkanie śmierci. Może zaufał Karolowi i za tę krótką chwilę słabości zapłacił własnym życiem? Nie żałowałem Bełzaka. To był drań, skoro pozostawił na skałach ранego kolegę, a potem za złoto będące ich wspólną własnością kupił majątek. A gdy Karol zjawił się po swój udział w bogactwie, wypędził go od siebie i kazał zabić.

Szulc chwycił mnie za ramię.

– Skręcimy jeszcze w tę stronę. Kilkanaście kroków. Tam jest cmentarz. Zobacz pan grobowiec Bełzaka.

Weszliśmy w bramę cmentarną. Był to mały wiejski cmentarzyk, ogrodzony krzywym drewnianym płotem. Zapępniały go malutkie, zapadłe w ziemię mogiły, nad którymi stały pochylone krzyże. Bliżej bramy zółciły się świeże kopce, pokryte zeschniętymi wieńcami, dalej cmentarz zarastały krzaki i drzewa. Błaznane wieńce pobrzękiwały cichutko nawet pod najłżejszym powiewem wiatru. Ta brzęcząca cicha muzyka cmentarna wydawała mi się ponura i nieprzyjemna.

W najstarszej części cmentarza, w prawym rogu, stał nieduży murowany grobowiec. Miał kształt kwadratowego pudła, z przodu zamkniętego płytą opatrzoną ciężkim żelaznym kółkiem. Dach na grobowcu wznosił się trójkątnie, tkwił na nim żelazny krzyżyk.

– W tym grobowcu leży pan Bełzak, a obok niego stary Duda – poinformował mnie Szulc.

– Co takiego? Obydwaj w jednym grobowcu? – zdumiałem się.

– A tak. To przecież stary Duda, na kilka lat przed swoją śmiercią, za własne pieniądze, kazał wybudować ten grobowiec. Sam czuwał nad pracą murarzy, a niekiedy nawet osobiście murował go. Potem do grobowca polecił wnieść trumnę Bełzaka, zakopaną na cmentarzu i zalecił mi, aby po jego śmierci obok Bełzaka położyć i jego trumnę.

– Dziwne – powiedziałem. – Aż tak bardzo kochał swego dawnego pana? A czy pozostawił panu jeszcze jakieś polecenia albo rady?

– Owszem. Często powtarzał mi, że, „złoto szczęścia nie daje i zawsze na nim krew ludzka spoczywa”. Radził mi też, abym jeśli znajdę się kiedyś w biedzie, skorzystał z planu ukrytego skarbu, który panu wręczyłem. Ale ja przecież nigdy nie zamierzałem się wybrać do Ałbazina, bo nawet nie wiem, gdzie on leży. Zastanawiałem się długą chwilę, a potem wprost zapytałem Szulca:

– Jakie nazwisko nosił ów Karol. Bo ciągle operujemy tylko jego imieniem

– Nazywał się Szulc. I był moim ojcem.

– Tak się też i domyślałem – kiwnąłem głową.

A Szulc zaczął się tłumaczyć:

– Nie powiedziałem panu całej prawdy. Mój ojciec nie przepadł bez śladu. Po ucieczce, w której dopomógł mu Duda, osiadł na Śląsku, gdzie ożenił się z wdową po górniku. Wdowa miała dziecko i Karol je zaadoptował. To byłem ja – wyznał. – Szulc pokochał mnie jak prawdziwego syna. I ja też go pokochałem jak prawdziwego ojca. Potem w latach dwudziestych, gdy o sprawie śmierci Bełzaka już w Kamionkach zapomniano, mój ojciec, Karol Szulc, napisał list do Dudy, a ten na niego odpowiedział. I korespondowali ze sobą aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Duda zapraszał ojca do Kamionek, ale ojciec bał się tu przyjechać, gdyż ciągle jeszcze nie było przedawnienia zbrodniczej sprawy. Inna rzecz, że Duda niekiedy pomagał finansowo mojemu ojcu. Podczas wojny ojciec mój umarł, a ja zostałem przymusowo skierowany do pracy w zakładach chemicznych w Oświęcimiu. Straciłem tam zdrowie i byłem w kiepskim stanie, gdy odnalazł mnie Duda i zabrał do Kamionek, abym mógł tutaj w świeżym powietrzu powrócić do zdrowia. Zostałem u niego, ożeniłem się, on przepisał na mnie całe swoje gospodarstwo i przekazał plan ukrytego skarbu. To wszystko, proszę pana. Cała moja tajemnica.

Wracając z Kamilą do miasta, coraz mniej myślałem o złotym skarbie ukrytym w Ałbazinie. Nie interesował mnie złoty kruszec, nie zamierzałem się bogacić odkrywając tego rodzaju skarby. Interesowały mnie skarby naszej kultury oraz rozwiązywanie zagadek historycznych. A taką zagadkę stanowił dla mnie Ałbazin i warownia zbudowana przez Polaka-pułkownika przed prawie trzystu laty.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

**PLAN WAROWNI • PLAN UKRYTEGO SKARBU • NIEDYSKRECJE KAMILI • PODEJRZENIA PANIENKI Z BIBLIOTEKI • ŚLEDZĄ MNIE • ŁASKAWOŚĆ INFULATA ŁASKIEGO • „ALBAZIN” • TRZEJ POECI • JOJNE KOTYLION SZUKA PANA BOGA • ŚMIERĆ ŚWIĘTEGO WOJCIECHA • ALBAZIN ODPLYWA**

Nie wiedziałem, gdzie leży Albazin, czy jest duży czy mały, czy jest to wioska, miasteczko lub wzgórze. Lecz byłem już w posiadaniu dwóch planów Albazina. Przyjrzałem się im ponownie. Jeden z nich przedstawiał szkic umocnień warowni, na drugim zaś widniał obraz miejsca, gdzie ukryto złoto. Pierwszy z nich był wyrysowany na twardym kartonie wielkości dużej zeszytowej kartki i u góry miał starannie wykaligrafowany drukowanymi literami rosyjski napis:

### PLAN ALBAZIŃSKIEGO UMOCNIENIA I CHIŃSKIEGO OBOZU

drugi zaś zawierał tylko jedno słowo: ZŁOTO. Wyrysowano go atramentem na kawałku czystego grubego papieru.

Oczywiście, przede wszystkim zająłem się poznaniem planu umocnień. Jeśli bowiem zawierzyć opowiadaniu Duńczyka Anonima, zbudował je Polak i kryła się za nimi załoga, do której Chińczycy pisali po polsku.

Kartkę planu jakby na dwie połowy dzieliła prostopadle biegnąca linia wielkiej rzeki – Amur. Warownia znajdowała się na lewym brzegu, o czym informowała strzałka wskazująca kierunek nurtu. Amur miał w tym miejscu 250 sążni<sup>2</sup> szerokości.

Umocnienia zbudowane tuż nad rzeką miały kwadratowy kształt, o boku długości 40 sążni. Trudno mi było wywnioskować, czy obwarowania zrobiono z ziemi, gliny, cegły lub

<sup>2</sup> Sążeń – dawna miara długości = 190 cm.

drzewa. We wnętrzu warowni widniało kilka małych, nieregularnie rozrzuconych prostokątów – zapewne jakieś pomieszczenia. I wyraźny napis: AŁBAZIN.

Naprzeciw twierdzy, po drugiej stronie rzeki, widniał podłużny, miejscami nieregularny prostokąt i napis: UMOCNIENIA CHIŃSKIEGO OBOZU. Przedstawiał się on potężnie – posiadał ponad 90 sążni długości, był zaś szeroki na 20-25 sążni. Wypełniały go trzy, a nawet tu i ówdzie cztery rzędy prawie równoległe rozstawionych prostokątów – może w ten sposób zaznaczono kwatery pułków chińskich? Prostokątów w chińskim obozie naliczyłem aż sześćdziesiąt pięć, w kwadracie warowni narysowano ich tylko trzynaście.

Teraz zająłem się planem ałbazińskiego skarbu.

Rzucało się w oczy, że zrobiono go w wielkim pośpiechu, albo też że wykonał go ktoś bardzo niewprawy w rysunku. Na kartce papieru zakresłono atramentem duży kwadrat, prawie identyczny z kwadratem warowni ałbazińskiej na poprzednim planie. Dwie grube krechy miały zapewne przedstawiać rzekę Amur. Miejsce ukrycia skarbu – worka ze złotem – wskazano kółeczkiem i strzałką z napisem: ZŁOTO. Prowadziła ona do ściany starej cerkiewki czy też kapliczki z krzyżem.

Plan przedstawiał Ałbazin w rzucie poziomym, natomiast w lewym rogu kartki dorysowano w rzucie pionowym jeszcze mały prostokątny domeczek, zakończony trójkątnym daszkiem i uwieńczony krzyżykiem. Co miał oznaczać ów domek – małą cerkiewkę, kapliczkę?

Uśmiechnąwszy się z politowaniem, bo nie interesował mnie żaden skarb, wysunąłem szufladę biurka i beztrąsko rzuciłem w nią karteluszek, który wskazywał drogę do skarbu. Niedawno czytałem sprawozdanie z działalności ekspedycji, której zadaniem było odnaleźć trzy skarby kapitana Thompsona, ukryte w 1820 roku na Wyspie Kokosowej na Oceanie Spokojnym, niedaleko wybrzeży Kolumbii. Wielki, wspaniały skarb – złote i srebrne monety, klejnoty, szczerozłote świeczniki, kandelabry inkrustowane rubinami i szmaragdami, relikwiarze, dzieła sztuki, stare księgi. Thompson przekazał szczegółowy opis miejsc ukrycia tych bogactw – opis pełen wskazówek, gdzie trzeba przybić do brzegu, jak głęboka jest w tym miejscu woda, ile trzeba iść kroków po brzegu, w którą stronę. A jednak skarbu nie odnaleziono. Zupełną stratą czasu byłoby poszukiwanie worka ze złotym piaskiem na podstawie kilku gryzmołów, nie wskazujących nawet, gdzie jest północ, gdzie zachód słońca!

Siedziałem przy lśniącem, czarnym jak trumna barze i łagodnie kiwałem się na wysokim stołku, obserwując tańczące pary. Obok mnie, na drugim stołku, kucnął Robert, a tuż za nim Jerzy W. – recenzent teatralny naszej gazety. W Klubie było ciemno od papierosowego dymu, nasze twarze wyglądały szaro i brudno. Robert milczał, jakby obrażony na mnie; tkwił na swoim stołku, ponuro spoglądając w szklanę z sokiem pomarańczowym. Tylko Jerzy W. uśmiechał się do mnie przymilnie. Może dlatego, że od dłuższego już czasu był mi winien sporą sumę pieniędzy; teraz pił bardzo drogi koniak.

W minionym tygodniu na zebraniu kolegium redakcyjnego obstawałem gorąco przy projekcie wysłania Jerzego za granicę na koszt redakcji. Zapewne wiedział już o tym i, być może, stąd także płynął przymilny uśmieszek.

Przestali grać. Ze środka sali pośpieszyła ku nam Kamila. Szła ładnym, drobnym krokiem – wysoka, zgrabna i dziś naprawdę bardzo piękna. Szpeciła ją nieproporcjonalnie mała głowa, zbyt drobna do wysokiej, szczupłej figury. Ale jej oczy – podłużne, lekko skośne – przydawały Kamili wystarczająco dużo uroku i urody.

Kamila położyła mi dłoń na ramieniu i zalotnie zajrzała w twarz. Robert sapnął zazdrośnie.

– I kiedy znów pojedziemy? – zapytała.

– Dokąd? – wtrącił Jerzy.

Uśmiechnęła się.

– Szukaliśmy Ałbazina

– Ałbazina...? – powtórzył drwiąco Jerzy. – Czy mógłbym się dowiedzieć, gdzie leży Ałbazin?

– Nie wiem, gdzie on jest. Byliśmy na wycieczce. Ach, to było fantastyczne. Dokoła straszne lasy, dojechaliśmy do leśniczówki. Zapadła noc. Leśnik, dziwak i maniak, częstował nas wódką i opowiadał potworne historie o morderstwie. Potem nocowaliśmy w pokoju, w którym popełniona została zbrodnia. Myślałam, że umrę ze strachu...

Orkiestra zaczęła grać. Ktoś podszedł i poprosił Kamilę do tańca. Jerzy zauważył ładną dziewczynę, siedzącą samotnie w rogu sali. Zeskoczył ze stołka i przechodząc obok mnie rzucił mi z tym przymilnym uśmieszkiem:

– Sądziłem, że sympatią Kamili jest pewien stary reżyser. A tymczasem ona z tobą jeździ na wycieczki. Bardzo utalentowana aktorka – dodał.

I potem tańczył do taktu, śmiesznie potrząsając głową.

– Z ciebie to jednak kawał łajdaka – odezwał się Robert.

Aż mnie poderwało.

– Dlaczego?

– Psujesz dziewczynie opinię. Co on sobie o niej pomyśli? Kamila jest porządną, uczciwą dziewczyną.

– Ależ Przecież ja nie odezwałem się ani słowem.

– No tak. Ale zabierasz ją na wycieczki.

Wzruszyłem ramionami.

– Ona sama wprosiła się na wycieczkę. Zresztą, zaręczam ci, że między nami nic nie zaszło.

Jednym dużym haustem wypił szklankę soku. Odsapnął.

– W takim razie wyjaśnij mi, dlaczego Kamila daje do zrozumienia, że jesteś jej bliski?

– Nie wiem – odrzekłem szczerze.

A potem dodałem cicho:

– Wydaje mi się, że ona chce w tobie obudzić zazdrość. Chce w ten sposób zmusić cię do przełamania twojej nieśmiałości. Na litość boską, powiedz jej, że ci się podoba!

Zamruczał coś niewyraźnie. Był przerażony moimi słowami. Ale przecież nie zaprzeczył.

– Nie umiem tańczyć – westchnął Robert.

– Na to, niestety, już nic nie mogę poradzić – zareplikowałem.

Patrzyłem na roztańczoną Kamilę. Jakże wielką przyjemność sprawiał mi widok jej rozkołysanej postaci, ruch nóg, ramion i rąk w szybkim tańcu. Suknia jej wirowała, rozchyłała się jak parasol, odsłaniała długie, piękne nogi.

– Tajemniczy jest Ałbazin – powiedział Robert.

Rzekłem z goryczą:

– Udajecie wszyscy, że szukacie ze mną Ałbazina. Ale każdy z was co innego przez to rozumie. I każdy z was odnajdzie swój Ałbazin... Tylko ja, ja go nie odnajdę! Bo ja... ja szukam prawdziwego, rzeczywistego Ałbazina.

Roztkliwiłem się nad sobą. Porzuciłem bar, wysoki stołek i nie opowiadając się nikomu, poszedłem do domu.

Następnego dnia zjawiłem się w Bibliotece Publicznej, aby za poradą pewnego poważnego historyka zapoznać się z książką noszącą tytuł *Świat we wszystkich swych częściach*, napisany w XVIII wieku przez biskupa Łubieńskiego. W palarni biblioteki natknąłem się na panienkę, która dopomogła mi w odnalezieniu *Sybirskiego Wiestnika*.

Powitała mnie z bardzo dziwnym wyrazem twarzy. Było to jakby połączenie kpiny, ironii, podejrzliwości i sprytu.

– No i co, panie redaktorze – rzekła bardzo poufale – sprowadził pan sobie lwa?

– Nie. Tymczasem jeszcze nie.

Roześmiała się sztucznie, kpiąco.

– Mnie nie musi pan nabierać. Nawet goniec w redakcji dobrze wie, że pan od czasu do czasu zajmuje się poszukiwaniem skarbów. Dwie książki o skarbach pan napisał. Teraz także wpadł pan na trop jakiejś ciekawej historii i chce się pan znowu obłowić. A ja, głupia, pomagałam panu bezinteresownie, myślałam, że to dla dobra nauki. *Sibirskij Wiestnik* panu odnalazłam, a pan opowiedział mi głupstwa o sprowadzeniu żywego lwa. Czy ma mnie pan za idiotkę?

Skinałem głową.

– O, tak, oczywiście. Nic innego nie robię, tylko poszukuję skarbów. Majątku się na tych skarbach dorobiłem. Ach, to było zupełnie łatwe. Teraz jednak mam trudny orzech do zgryzienia. Plan miejsca, gdzie skarby zostały ukryte, chce mi wykraść pewien młody poeta i jego przyjaciółka, aktorka operetkowa. Zawziął się na mnie także pewien szachista. Nie wiem, co ze mną będzie. Napastuj mnie dzień w dzień. Oblegają moje mieszkanie, nie ma przed nimi ratunku.



– I co? Co?

Skończyłem papierosa. Śpieszyło mi się do czytelni, gdzie na stoliku pozostawiłem otwartą książkę. Powiedziałem na odczepne:

– Jakoś sobie dam radę...

Schwyciła mnie za rękę:

– Mogę panu dopomóc.

– W jaki sposób?

– No... Mogłabym ukryć u siebie plan skarbów.

Wzruszyłem ramionami.

– I uciekłyby pani z tymi planami? Na dudka chce mnie pani wystrychnąć? Dam sobie radę i bez pani pomocy.

– Pan musi mnie wziąć do spółki. To ja panu dopomogłam odnaleźć *Sibirskij Wiestnik*. Ja też potrzebuję pieniędzy. W bibliotece bardzo mało zarabiam.

– Nie zajmuję się filantropią – rzekłem krótko.

Ukloniłem się Paniencie i szybkim krokiem powędrowałem do czytelni.

Czekała na mnie przy wyjściu z biblioteki.

– O, mnie pan się tak łatwo nie wywinie – powiedziała z wielką pewnością siebie.

Wyszła za mną za ulicę. Naprawdę nie wiedziałem, jak się od niej odczepić. Bezradnie rozglądałem się dookoła, szukając jakiegoś znajomego, którego mógłbym przywołać na ratunek. Lecz nikogo nie było. Obok drzwi wyjściowych z biblioteki stał tylko jakiś grubas z pękiem kwiatów.

Szepnąłem Paniencie bardzo cichutko:

– Na litość boską, niech mnie pan zostawi w spokoju. Śledzą mnie.

– Kkk... to? – zająknęła się.

– Ten gruby pan z kwiatami. Kwiaty to ich znak rozpoznawczy.

Pozostawiłem Panienkę przed biblioteką i drobnym truchtem pobiegłem za tramwajem, który przejeżdżał ulicą. Wskoczyłem na ostatni pomost i przyjaźnie machnąłem Paniencie teczką.

Jest! Jest Ałbazin!

Ujrzałem go w książce Łubieńskiego, na dużej mapie wklejonej między strony 546 i 547.

„Nova Tabula Asiae” – było napisane na mapie. Nowa? Księga Łubieńskiego nosiła rok wydania 1740.

Zobaczyłem czarną niteczkę Amuru i tam, gdzie wedle Łubieńskiego rozciągała się Tartaria Magna, tuż obok kraju o nazwie Dauria, był mały punkcik – A L B A Z I N.

Albazin, a nie Ałbazin. Ale to przecież nie miało znaczenia. Nazwy na mapie zostały wypisane po łacinie, a w łacińskim alfabecie nie ma litery „ł”

Ałbazin – wedle Łubieńskiego – znajdował się gdzieś u początku Amuru, niedaleko miejsca, w którym Szyłka łączy się z Arguniem.

Otoczały Ałbazin kraje o pięknie brzmiących nazwach: Tartaria Magna, Naiada, Calmuki, Tartaria Vagabundorum, Tartaria Chinensis, China extra Muros, a na północy: Syberia, Obdoria, Samoieda. Urzekały mnie te imiona pełne egzotyki i jakiegoś wielkiego czaru, wchłaniałem wzrokiem kształt wielkiej, największej ze wszystkich części świata. Czytałem o niej u pewnego poety, że jest jak ciężkie, brunatne naczynie, którego ucho stanowi Europa.

*Azja – pisał Łubieński – ta część świata największym się zaszczyca awantazem nad inne, bo pierwszego Człowieka i Patriarchę Adama wydała z siebie na rozmnożenie rodzaju ludzkiego, i inne Części Świata osadziła ludźmi.*

*Monarchie najpierwsze u siebie założyła, zacząwszy po potopie od Monarchii Chaldejskiej albo Assyryjskiej, która trwała aż do Sardanapala... Azja najpierwsza jest Nauczycielką Praw, Nauk i Rzemiosł rozmaitych, jako i rozmnożycielką Religii różnych po Świecie błakających się. Wiara Święta najpierw tam zaszczerpiona, a potem Sekta Mahometańska przez Diabła wymyślona w Arabii założona górę wzięła. Wiara Pogańska, Żydowska tam także wzięły swój początek...*

I czytałem dalej u Łubieńskiego:

*...Witsen na swoim atlasie wydanym roku 1687 dzieli Tartarię na trzy Części Generalne: Południową, Średnią i Północną.*

Oczywiście interesowała mnie przede wszystkim Tartaria Północna.

*graniczy ona na południe ze Średnią, na Zachód z Moskwą Północną, a gdzie indziej z Morzem, i ta część jest większa od dwóch pierwszych. Zamyka w sobie Syberię, Tyngolfę, Obdorę, na Północ Rzeki Oby i Pizydę. Między Rzeką Leną i Morzem jest także kraj obszerny, ale pusty i niepoznany dobrze, gdzie Witsen kładzie Daurię, Jugagir, Jakuty, Gilaki, Tuwkwow i Ziembła-Gilet-Zkaja.*

Tam właśnie, w tym kraju obszernym, ale pustym i niepoznanym, leżał Ałbazin.

...Stary, poczciwy ksiądz Władysław Łubieński, scholastyk krakowski, kanonik gnieźnieński, proboszcz infułat łaski, pokazał mi swój Ałbazin, wskazał to, czego nie mogłem znaleźć u współczesnych geografów! Jakże mogłem nie dziękować mu za to dobrodziejstwo i

nie przymknąć oczu na wiele uroczych andronów i głupstw, które napłócił w swej księdze o zachwycającym tytule.<sup>3</sup>

Przeczytałem u Łubieńskiego o Syberii, że ziemia to wielka...

*...napelniona wszystkimi górami i puszciami wielkimi, gdzie Ludzie są jak dzicy, i tylko samymi rybami suszonymi żyją i chlebem z ryb suszonych na mąkę zmeltych, i zwierzyną, pod Niebem zawsze mieszkają Tu największe łowy odprawują na sobolów, których pod utratą życia bić się nie godzi tylko na Skarb Carski, kondemnowani tylko na śmierć i niewolnicy tam posyłani bywają do tych łowów pod dyrekcją Oficerów, tak zaś są doskonali, że dla nieepsucia futra w nos sam utraflają sobola strzałami. Cóż zaś strzelcy tak się zapędzili za tą zwierzyną, że już doszli do rzeki Amur granic Chińskich, gdzie Car Moskiewski wystawić kazał Fortecę zwaną Nerczinkoi na granicach Tartarii Chińskiej, i z tej przyczyny Moskwa miewa kłótnie częste z Chinami.*

Ałbazin znajdował się o wiele dalej na wschód niż Nerczyńsk i o wiele bardziej chyba był solą w oku Chińczyków. Wydawało mi się, że dowiedziałem się już, dlaczego Chińczycy napadli na Ałbazin. Niestety, o samym Ałbazinie nie napisał nic Łubieński. Ale czy można mieć o to pretensje? Zapewne stary infułat nie słyszał nic o dowódcy Ałbazina, Polaku-pułkowniku.

Pod koniec maja 1960 roku napisałem list do ministra kultury i sztuki z prośbą o umożliwienie mi wyjazdu do Rosji w celu odnalezienia tropów pułkownika-Polaka, który nad dalekim Amurem zbudował ałbazińską warownię. W liście swym zaznaczyłem, że z uwagi na bardzo ryzykowny i dość dziwaczny charakter mego przedsięwzięcia jestem gotów ponieść wszelkie koszty finansowe związane z podróżą, proszę tylko o umożliwienie mi uzyskania paszportu i wizy oraz pozwolenie na zakup odpowiedniej ilości dewiz. Wyłuszczyłem także wszystkie wiadomości, jakie do tej pory udało mi się zgromadzić w związku ze sprawą Ałbazina i jego budowniczego.

Pismo włożyłem do najpiękniejszej koperty, jaka była w moim posiadaniu, starannie ją zalepiłem i wysłałem listem poleconym.

„Teraz już na pewno będę mógł sprowadzić sobie żywego lwa” – myślałem wracając z poczty do domu. Ale w głębi duszy nie wierzyłem, że minister zechce mi pomóc.

<sup>3</sup> „Świat we wszystkich swoich częściach większych i mniejszych, to jest w EUROPIE, AZJI, AFRYCE, AMERYCE, w Monarchiach, Królestwach, Xięstwach, Prowincjach, Wyspach y Miastach, geograficznie, chronologicznie y historycznie określony spisaniem Religii, Rządów, Rewolucji, Praw, Zwyczajów, Skarbów, Ciekawości y Granic każdego Kraiu, z Autorów Francuskich, Włoskich, Niemieckich, Polskich zebrany przyozdobiony. Dla ciekawego a nie próżnującego oka Polskiego podany”.

Tropienie śladów tajemniczego pułkownika wymagało zresztą bardzo wielu zabiegów. Nawet podróż palcem po mapie okazuje się kosztowna, wymaga bowiem kupna wielu szczegółowych map. Trzeba mi było pieniędzy na wyjazd do miast, w których istnieją biblioteki zasobne w stare książki. Wyjazdy te pociągały za sobą korzystanie z bezpłatnego urlopu. Byłem zaś w poważnych kłopotach finansowych – moja pensja redaktorska nie zaliczała się do pokaźnych, dla swej gazety pisałem raczej mało, a książka, nad którą pracowałem, została odrzucona przez wydawnictwo.

Zwróciłem się o stypendium do Związku Literatów Polskich – i otrzymałem odpowiedź odmowną. Nawet bez podania powodów.

Rad nierad musiałem więc pewnego dnia, a ściśle 15 czerwca, zapukać do Wydziału Kultury Rady Narodowej w tym wielkim, siedemsettyśiącym mieście.

W Wydziale Kultury pracowało aż trzech dobrze mi znanych poetów, jednym z nich był serdeczny przyjaciel Robert.

Minister z pewnością okaże się wielkim biurokratą – mniemałem – i w ogóle nie zechce odpowiedzieć na mój list. Ale tutaj mam do czynienia z poetami. Któż, jak nie poeta, pojmie moją tęsknotę za Ałbazinem?

Poeta Robert – starszy instruktor kulturalno-oświatowy – przyjął mnie bardzo serdecznie. Bywając codziennie w moim domu, chyba aż do znudzenia znał historię moich poszukiwań. Atoli w Wydziale Kultury on stanowił osobę urzędową, a ja zszedłem do roli zwykłego petenta. Wysłuchawszy więc po raz setny opowieści o Ałbazinie, wydał z siebie pomruk zadowolenia, poklepał mnie po ramieniu, a potem zawiódł przed oblicze nadradcy wydziału – poety S.

Poeta S., przemiły sześćdziesięcioletni staruszek, pochodził ze Stanisławowa.

– U nas, w Stanisławowie – powiedział, gdy przedłożyłem mu swoją sprawę – żył swego czasu niejaki Jojne Kotylin, szewc, człowiek porządny, acz biedny i obciążony liczną rodziną. Wuj Jojne Kotyliona, bardzo bogaty Żyd, umierając darował swemu siostrzeńcowi stary, ale pięknie oprawiony modlitewnik. Pan, drogi redaktorze, odnalazł na podłodze interesującą karteczkę, zaś Jojne Kotylin czytając pewnego dnia modlitewnik natrafił w nim na list, w którym widniały słowa: „Czekam w piątek na moście”. Wziąwszy pod uwagę fakt, że karteczka z tymi słowami znajdowała się w modlitewniku, Jojne Kotylin wywnioskował, że w ten dziwny, acz nieoczekiwany sposób dał mu znak sam Pan Bóg. Jojne Kotylin nie dziwił się, że sam Pan Bóg chce się z nim spotkać w piątek na moście. Zastanawiało go jedno, że Pan Bóg na spotkanie z Jojne Kotylionem wybrał sobie tak nieciekawe miasteczko jak Stanisławów... Jakoż wkrótce niepokój Jojne Kotyliona musiał zniknąć, Pan Bóg bowiem nie przyszedł na most w Stanisławowie, czym chyba wyraźnie dał do zrozumienia, że miał na myśli inny most i inne miasto. Czy dużo jest miast z mostami? Dużo. Toteż Jojne Kotylin zjeździł chyba pół świata i odwiedził setki miast. Podobno był nawet w Londynie, dokąd wysłało go kilku bogatych a pobożnych Żydów ze Stanisławowa. Jojne Kotylin, niestety, nie

spotkał Pana Boga, ale wrócił do Stanisławowa jako człowiek bywały w świecie, a więc bardzo mądry. Jego szewski warsztat wkrótce rozkwitł przepięknie i Jojne Kotylion umarł jako bardzo zamożny człowiek, otoczony ogólnym szacunkiem. Szczęście Jojne Kotyliona nie zostało zamącone pogłoskami kilku złośliwców (ach, gdzież ich nie ma), którzy twierdzili, że córka Jojne Kotyliona, piękna Chaja, miała romans z synalkiem jego bogatego wuja, i że stary modlitewnik służył obojgu młodym jako skrzynka pocztowa...

Tymi słowami zakończywszy swą przypowieść, poeta S., nadradca wydziału, poprowadził mnie przed oblicze pana naczelnika. Poeta-naczelnik miał okragłą, miłą twarz, brzusek, okulary. Lubiłem jego niektóre wiersze liryczne, a szczególnie jeden z nich, zatytułowany „W puszczy”

W puszczy ławeczka  
Twarda, sosnowa  
W dziupli wśród puszczy  
Puszczyk się chowa  
I pohukuje.

W dole na ławce  
Pod jaskrów wiechą  
Usiadł zdrożony  
Święty Wojciechus  
Cicho, cichutko...

Poeta-naczelnik z pełnym zrozumieniem odniósł się do sprawy. Stwierdził jednak z ubolewaniem, że na mej drodze do Ałbazina wyrosło bardzo szkodliwe słowo PRECEDENS. Owo słowo ma to do siebie, że jest bardzo złe, gdy go nie ma i równie złe, kiedy się ono pojawi.

– Nie możemy wam nic pomóc – rzekł poeta-naczelnik – ponieważ jest to sprawa BEZ PRECEDENSU. Jeśli zaś wam pomożemy, to wówczas stworzymy PRECEDENS i jutro zjawi się u nas prozaik Grzegorz i będzie chciał, żebyśmy mu dopomogli w poszukiwaniu Atlantydy, zaś pojutrze odwiedzi nas satyryk Ryszard D. i poprosi o pożyczkę na poszukiwania Yeti. O, gdyby wam było potrzeba stu krzesel do świetlicy, to co innego. Na takie sprawy mamy nawet okazałe fundusze i kredyty.

Cicho, cichutko opuściłem gabinet naczelnika. W pamięci ciągle brzmiał mi jego wiersz:

Lecz oto, oto  
Trawy szeleszczą...  
Głowy wytknęli

Spod kudłów leszczyn...

W słońcu im błyszczą  
Złote trzewiki,  
W górę podnieśli  
Grubaśne piki.

Nie bardzo nimi  
Rozmachiwali,  
Tylko świętego  
Wzięli, zadźgali  
cicho, cichutko...

Wydawało mi się, że mój Albazin jest jak okręt, który odpłynął. Beze mnie.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

**CZERWONE TULIPANY • ŚCIGANY PRZEZ PANIENKĘ Z BIBLIOTEKI •  
AŁBAZIN PRZEMYCA ZEGARKI • ŻMIJE • ROBERCIE, ZWARIOWAŁEŚ  
• NOWE SZCZEGÓŁY O MORDERCY • ZAGADKOWA ŻEŁTUGIŃSKA  
REPUBLIKA • KIM BYŁ BEŁZAK • WYJEŹDŹAM NA URLOP**

Jerzy W. opublikował recenzję z nowego przedstawienia w operetce, bardzo serdecznie pisząc o Kamili:

*Ta młoda aktorka ma naprawdę duży talent i aż dziwne, że jeszcze nie widzimy jej w pierwszoplanowych rolach. Nietrudno zauważyć, że Kamila C. pracuje nad sobą, ciągle doskonali swoje aktorstwo i swój głos, czego niestety nie można powiedzieć o innych członkach zespołu operetki.*

– Mój Boże – westchnąłem – czyżby Jerzy nie zamierzał zwrócić długu?

Potem jednak pomyślałem, że przecież nie znam się na śpiewie i zapewne Jerzemu naprawdę spodobał się głos Kamili. Utwierdził mnie w tym przekonaniu także Robert, który częściej niż ja odwiedzał teatry, a szczególnie bywał na spektaklach w operetce.

– Ona ma wielki talent – mówił. I dodawał ciszej: – Ona ma talent i urodę.

Kupił dwa bilety na przedstawienie z Kamilą i wieczorem poszliśmy do teatru. Po drodze wstąpiliśmy do kwaciarni.

– Czy zamierzasz się oświadczyć? – zapytałem.

– O, nie. Te kwiaty zamówiła Kamila... dla ciebie. Z podziękowaniem za recenzję.

Zrobiło mi się przykro. Miałem uczucie niesmaku i oczywiście kwiatów nie przyjąłem. Mój przyjaciel zasiadł na widowni, dźwigając bukiet tulipanów. Wyglądał bardzo śmiesznie. Ja również. Bo udawałem, że go nie znam, że przyszedliśmy oddzielnie.

Przedstawienie zapowiadało się bardzo nieciekawie. O talencie Kamili nie mogłem sobie wyrobić żadnego zdania, bo miała małą rolę. Tak więc w dalszym ciągu pozostawałem pełen niewiary w prawdopodobność Jerzego.

Podczas przerwy w palarni ktoś trącił mnie w ramię. Obejrzałem się – Panienska z Biblioteki!

– Proszę być ostrożnym. Za panem ciągle chodzi ten facet z kwiatami – powiedziała konspiracyjnym szeptem.

I zniknęła w tłumie ludzi spacerujących w palarni. Pośpieszyłem w drugi kąt. Robert wypił przy bufecie szklaneczkę oranżady i ruszył w moją stronę, niosąc bukiet tulipanów. Wszyscy się za nim oglądali. Począłem uciekać przed Robertem, klucząc między rozmawiającymi grupkami. W ten sposób goniliśmy się aż do końca przerwy.

– No, jesteś nareszcie – sapnął Robert, sadowiac się obok mnie w miękkim krześle. – Gdzieś ty się podziewał?

Potem był drugi akt, znowu nudny i tym bardziej nieciekawym, że nie brała w nim udziału Kamila.

Po opuszczeniu kurtyny zerwałem się z krzesła i wyprzedzając przyjaciela przynajmniej o cztery długości, pobiegłem do palarni, a stamtąd czmychnąłem do toalety. Spotkałem tam swego naczelnego redaktora i długą chwilę gawędziliśmy o sprawach służbowych. Naczelny stwierdził, że doszły go słuchy o moich poszukiwaniach Ałbazina. Obiecał zezwolić mi na krótki wyjazd w interesujących mnie sprawach.

Dopiero po rozstaniu się z nim pojąłem, że naczelny kojarzy sobie Ałbazin z pewnym cudzoziemcem, który w ubiegłym roku został posądzony o przemyt zegarków. Zapewne spodziewał się kryminalnego reportażu.

W drzwiach na widownię przydybała mnie podejrzliwa Panienska z Biblioteki.

– Przed chwilą szukała tu pana aktorka, która grała w pierwszym akcie, i ten gruby z kwiatami. To oni pana prześladowają, prawda? Przekona się pan, że bez mojej pomocy ta sprawa skończy się bardzo niedobrze. Pan musi się ze mną spotkać. Jutro, dobrze?

– Nie. Jutro będę zajęty.

– Pojutrze...

Machnąłem ręką.

– Wszystko mi jedno.

– Dobrze. Pojutrze w kawiarni „Renata”. Czekam o godzinie dziewiętnastej.

Kiwnąłem głową. Właśnie pojutrze zamierzałem skorzystać z obietnicy naczelnego i wyjechać do Warszawy, żeby poszukać książki Witsena, na którego powoływał się Łubieński. Panienska będzie czekała bardzo długo. Może to ją odoczy od narzucania się swym bliźnim?

Po spektaklu Robert wręczył Kamili bukiet tulipanów. Okłamał mnie. To nie ona kupiła kwiaty dla mnie, a on dla niej. Tylko wstydział się do tego przyznać.



Poszliśmy do nocnego lokalu. Tutaj okazałem im swój zły humor i nie chciałem tańczyć. A ponieważ Robert tańczyć nie umie, Kamila zupełnie się nie bawiła, siedziała smutna i piła wino. Mnie także było smutno, bo czułem, że w Robertcie tracę przyjaciela. Robert przestał się interesować poszukiwaniami Ałbazina.

Doszło wreszcie do czegoś zupełnie okropnego. Robert rubasznie klepnął mnie w plecy i rzekł:

– Co sobie głowę zaprzątasz głupstwami. Ożeń się, chłopie. Wywietrzeje ci z głowy ten Ałbazin.

I znowu zasiadłem nad planami Ałbazina. Jeszcze raz wodziłem wzrokiem po liniach umocnień starej warowni, próbowałem wyobrazić sobie jej wygląd, wysokie drewniane konstrukcje ścian lub gruby mur wznoszący się ponad urwistym brzegiem Amuru. Tam, po drugiej stronie wody, rozłożył się obóz wojsk chińskich. Na Ałbazin skierowano lufy dział – stu dział lekkich i ciężkich. Przeprowadzono wojsko na łodziach i otoczono warownię wrogimi szanćami, zamykając obrońców jak w potrzasku. Potem zaczęły się szturmy, nieprzebraną lawą wdzierały się na umocnienia szeregi chińskich wojowników.

Ale cóż nastąpiło później? Jak wyglądał koniec obrony Ałbazina? Co stało się z pułkownikiem-Polakiem i jego oddziałem?

Wziąłem do ręki plan ałbazińskiego skarbu. A jednak nie potrafiłem nie myśleć o panu Bełzaku i o jego dziwnej historii.

Napisałem do Szulca list, zawierający kilka pytań.

Na szafeczce przy tapczanie w pokoju Kamili stoi duży bukiet czerwonych tulipanów. Kwiaty otworzyły swoje kielichy, ich łodygi powyginały się przedziwnie i z daleka wydaje się, że z wazonu wychyla głowy mnóstwo żmij, gotowych kąsać i syczeć.

Wyjeżdżając do Warszawy na poszukiwanie książki Witsena, powiedziałem do Kamili:

– Niech pani wyrzuci te żmije. One mają jad

– To przecież kwiaty od Roberta!

I dodała cicho:

– Zresztą, jeśli pan chce, mogę je wyrzucić.

Od odpowiedzi wybawił mnie ostry sygnał telefonu. Kamila podniosła słuchawkę i rozpoczęła rozmowę. Słyszałem, jak mówiła:

– Dziękuję, bardzo dziękuję. To było bardzo miłe z pana strony Chciałby się pan ze mną spotkać? Chętnie. Nie, dziś nie mam czasu, muszę być na próbie. Jutro przed południem w klubie, dobrze?

Zapytałem Kamili:

– To dzwonił Jerzy W., prawda?

Wydawało mi się, że zdecydowana jest na kłamstwo. Ale napotkawszy mój wzrok – w milczeniu skinęła głową. Wyglądała na zawstydzoną, choć nie było nic zdrożnego w fakcie, że okazała się uprzejmą wobec człowieka, który o niej tak pięknie napisał.

Pozegnałem Kamilę i zbiegłem po schodach na ulicę. Przed bramą czatował Robert. Udał, że czekał tu na mnie, a przecież nie mógł wiedzieć, że właśnie o tej porze zamierzałem wyjechać z Warszawy.

Ruszyłem szybkim krokiem w stronę dworca kolejowego. Robert ledwo za mną nadązał. Kiedyś bardzo ciężko chorował, teraz – ilekroć wypada mu iść trochę szybciej – pokasłuje, sapie, stęka.

– Poczekaj. Poczekaj troszkę – przytrzymał mnie za ramię. – Poczekaj, przeczytam ci swój wiersz.

Lecz nie przeczytał mi wiersza. Rzekł cicho:

– Tajemniczy jest Ałbazin. Będę go z tobą poszukiwał.

Zaśmiałem się. Kpiłem:

– Skąd ta nagła przemiana? Niedawno jeszcze mówiłeś: „Ożeń się, chłopie. Wywietrzeje ci z głowy ten Ałbazin”.

I poszedłem jeszcze szybciej.

Kupiłem bilet, zająłem miejsce w przedziale i otworzyłem okno. Na peronie pod oknem mojego wagonu stał Robert i ciężko dyszał.

– Muszę ci powiedzieć Muszę ci powiedzieć – postękiwał – że wczoraj wieczorem zaczepiła mnie jakaś młoda pani i pytała o ciebie.

– Młoda pani?

– Tak. Pytała, dlaczego cię prześladuję. I pytała także, dlaczego poszukujesz Ałbazina. Powiedz mi, czy ja cię naprawdę prześladuję?

– Co jej odpowiedziałeś? – krzyknąłem gwałtownie, bo zawiadowca podniósł do góry czerwoną chorągiewkę.

– Czy ja cię prześladuję? – pytał błagalnie Robert.

– Co jej powiedziałaś? – wołałem.

Pociąg ruszył. Pokasłując Robert szedł obok pociągu.

– Powiedziałem jej, że cię nie prześladuję. Że jestem twoim przyjacielem.

– Ale jak jej wytłumaczyłeś sprawę moich poszukiwań? – wołałem wychylając się przez okno, bo Robert pozostawał coraz dalej.

– Najpierw wspomniałem o ałbazińskiej warowni. Ale wydawało mi się to zbyt prozaiczne. Opowiedziałem jej więc historię ałbazińskiego złota, którą usłyszałeś od Szulca

– Zwariowałeś, Robercie?!

Ale Robert chyba już nie dosłyszał mego okrzyku. Pociąg zadudnił na zwrotnicach. Łoskocząc żelastwem toczył się coraz prędzej, prędzej.

Z Warszawy powróciłem z pustymi rękami. W bibliotece nie było książki Witsena.

Pod koniec czerwca zjawił się u mnie Antoni Szulc. Powitałem go pełen skruchy. W ostatnim czasie zaniedbałem bowiem sprawę wyjaśnienia zagadki tajemniczego Ałbazina – miałem trochę kłopotów finansowych i nie stać mnie było na kosztowne wyjazdy do bibliotek. Naczelnny redaktor – choć lubił mnie bardzo – gdy dowiedział się jednak, że Ałbazin nie ma nic wspólnego z aferą przemykania zegarków, odbył ze mną poważną rozmowę. Zbliżało się lato, okres wakacji i urlopów – ciężki czas dla gazety, której czytelnicy uciekają z miasta nad rzeki i w lasy, tracą zainteresowanie słowem drukowanym. Na tę trudną porę należało przygotować dużą ilość reportaży i artykułów o jak najbardziej frapującej treści, żeby zmusić czytelników do kupowania gazety. Wymagało to oczywiście ogromnego nakładu pracy – jakże mogłem w tych warunkach myśleć o Ałbazinie?

– Często wspominałem pana – rzekł Szulc. – I rozmyślałem o tym, co mi pan rzekł o moim ojcu. Potem dostałem list. Ale zbyt wiele trzeba by było pisać. Postanowiłem przyjechać.

„Cóż ja mówiłem o jego ojcu?” – zastanawiałem się, grzebiąc w pamięci.

Szulc wyjął z teczki dużą kopertę.

– Przywiozłem trochę papierów, które pozostały u mnie po starym Dudzie. Trudno mi powiedzieć, czy będą miały one dla pana jakieś większe znaczenie. Są to pisane po rosyjsku dwa listy, a ja nie znam rosyjskiego. Kiedyś gościłem u siebie nadleśniczego. On doskonale umie po rosyjsku. Pokazałem mu te szpargały. Przejrzał je i powiedział, że dotyczą Bełzaka. To są listy do niego. Na jednym z nich jest podobno napisane: „Do prezydenta Żeltugińskiej Republiki”. Czy to możliwe, żeby pan Bełzak był prezydentem Żeltugińskiej Republiki?

– Nie słyszałem o takiej republice.

– To dziwne listy, prawda?

Schowałem papiery do biurka. Począłem wypytywać Szulca o jego dzieciństwo, potem rozmawialiśmy o sprawach zupełnie obojętnych.

Wyszliśmy z redakcji i powędrowaliśmy w stronę dworca autobusowego.

Wreszcie rzekł mi:

– Matka przysięgała, że ojciec był niewinny. Duda także wierzył w niewinność mojego ojca. Pan również, ledwie zapoznał się z historią zabójstwa pana Bełzaka, podał w wątpliwość niektóre szczegóły obciążające mego ojca. Czy pan myśli, że ojciec mój był jednak niewinny?

– Nie wiem, proszę pana. To bardzo dawna sprawa. Wydaje mi się, że dzisiaj już nie można jej wyjaśnić.

– A przecież pan chce rozwikłać zagadkę jeszcze starszą, sprzed trzystu lat?

Po chwili namysłu odrzekłem:

– Kto zabił Bełzaka? To już chyba nie jest dla nikogo ważne

– A ja? Zapomina pan o mnie. Dla mnie to jest ważne. Gdybym nie mieszkał w Kamionkach, gdybym chciał stamtąd wyjechać gdzie indziej, może rzeczywiście nie warto byłoby ustalać, kto zabił Bełzaka. Ale ja żyję w tym samym miejscu, gdzie mój ojciec podobno zabił człowieka. Ludzie na wsi mają długą pamięć, ta historia, choć zdarzyła się tak dawno, jest ciągle żywa wśród ludzi. Przed kilku laty przy wódce (pan wie, jak to bywa) zwierzyłem się jednemu z gospodarzy. Źle się stało. Nie utrzymał języka za zębami. Odtąd ludzie w Kamionkach spoglądają na mnie z nieufnością. Po starym Dudzie mam kawał pola pod lasem, zasadziłem drzewa owocowe, w tym roku powinny po raz pierwszy owocować. To dla mnie ważne, panie redaktorze.

– I pan sądzi, że potrafię wykryć prawdziwego mordercę? W czterdzieści lat po zabójstwie?

Westchnął:

– Wiem, że to nie będzie łatwe.

Potem on wsiadł do autobusu, a ja poszedłem do domu.

Był wieczór, letni miejski wieczór. Przyjemnie pachniał nagrany asfalt, z otwartych drzwi kawiarni dolatywał zapach czarnej kawy. Na jezdni cichutko szeleściły opony samochodów, kobiety w letnich sukienkach, z obnażonymi ramionami wolniutko przechadzały się po chodnikach.

Zapomniałem o Szulcu i o jego kłopotach, o kopercie ze szpargałami, pozostawionej w biurku. Zapomniałem także o Albazinie. Jego zagadka była równie trudna do rozwiązania, jak tajemnica śmierci pana Bełzaka. Nie widziałem możliwości poznania Albazina i jego zawitych spraw. Czekano mi piękne lato, urlop i wyjazd do Szwajcarii Kaszubskiej, gdzie rozłożyła swój obóz ekspedycja archeologiczna. Moje walizki, namiot i kajak przed tygodniem pojechały tam wraz z autami ekspedycji. Namiot zapewne został już rozstawiony nad brzegiem jeziora i teraz oczekiwał mojego przyjazdu. Wyobrażałem sobie miejsce, gdzie go rozstawiono, przypomniałem sobie twarze swych przyjaciół archeologów, myślałem o oczekującej mnie pracy i przygodzie. Należał mi się przecież wypoczynek po roku ciężkiej pracy redakcyjnej. Na urlopie był już Robert, Kamila jeździła po Wybrzeżu z gościnnymi występami operetki. W naszym mieszkaniu przesiadywał tylko mistrz szachowy, pan Ludwik P. Ale dla niego dni nie były ważne – w dzień spał, a nocą pił wino i grał z sobą w szachy. Żył jak puszczyk, a ostatnio kasłał, pohukiwał jak stara sowa. Wiedziałem, że ma początki gruźlicy. „Oto jest los starych kawalerów” – powiedziała Kamila, gdy pan Ludwik przyniósł kartkę z Poradni Przeciwgruźliczej.

Po powrocie do domu rzuciłem teczkę w kąt pokoju. Przejrzałem szuflady biurka, czy nie pozostały w nich jakieś potrzebne redakcji materiały. Przez telefon nadałem telegram do kierownika ekspedycji: „Przyjeżdżam pojutrze”. I położyłem się spać, następnego dnia przeznaczając na ostateczne zlikwidowanie redakcyjnych spraw.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

**SZUKAM PIENIĘDZY NA WYJAZD • CZY JESTEM PIEKIELNYM  
SPRYCIARZEM? • DOBRE SERCE LUDWIKA I ROBERTA • LIST Z  
FIOŁKIEM • W STAREJ ORANŻERII • MARYŚKA • PRZEKONUJĘ O  
SWEJ UCZCIWOŚCI • CZY KOCHAM KAMILĘ?**

Minister nie odpisał na mój list. Odpowiedź jednak otrzymałem. Biuro Współpracy Kulturalnej z Zagranicą zawiadomiło mnie w początkach sierpnia, że podjęta została decyzja w sprawie mego wyjazdu dla zbadania zagadki Ałbazina. Powiadomiono mnie przy tym, że mam złożyć odpowiednie dokumenty do paszportu i że będę mógł kupić dużą sumę rubli lub dolarów. Za takie pieniądze można było kupić motocykl albo pół samochodu.

Duszny, upalny sierpień. Na biurku naczelnego redaktora cichutko wirował wiatraczek elektryczny, wicherząc włosy podmuchami wiatru. Lecz nasze twarze były wciąż spocone, byliśmy zmęczeni upałem i kilkugodzinnym zebraniem redakcyjnego kolegium.

Nadszedł ostatni punkt narady. Sprawa mego wyjazdu za granicę.

Wszyscy się ożywili i jakby zapomnieli o upale. Karol natychmiast przywołał na usta swój lisi, podstępny uśmiech. Przeczynałem, że będzie występował przeciwko udzieleniu mi przez redakcję pomocy finansowej.

Wczoraj wieczorem Karol zaprosił mnie do klubu na wino, kawę i ciastka.

– Wiesz, że jestem twoim przyjacielem – mówił. – Wiesz, że można mieć do mnie pełne zaufanie. Dlatego oburza mnie, że traktujesz nas jak głupców, pierwszych lepszych naiwniaków. Chcesz wydać wiele pieniędzy, żeby wyjaśnić sprawę jakiegoś Ałbazina? Kto ci w to uwierzy? Powiedz mi, co się kryje za twoim wyjazdem? Przecież możesz mieć do mnie zaufanie.

Miałem do Karola wiele zaufania. Ale nic się nie kryło za moim projektem dalekiej podróży. Gdyby Karol był tak naiwny, jak Panienska z Biblioteki, mógłbym mu opowiedzieć o złocie Szulca. Ale on przecież odznaczał się wielkim sprytem.

Nazajutrz podobną rozmowę miałem z Franciszkiem.

– Ja jestem człowiek niedzisiejszy – rzekł Franciszek klepiąc mnie po ramieniu. – Nie mnie nabierać na podobne brednie.

I uznano mnie za piekielnego spryciarza. Spryciarza najgorszej kategorii. Człowieka, który nie ma do nikogo zaufania, nawet do swoich kolegów.

Dlatego wiedziałem już na pewno, że z redakcji ani grosza nie dostanę na podróż. Lecz jednocześnie miałem świadomość, że muszę wyjechać. I że wyjadę. Nawet za cenę sprzedaży skutera i aparatu fotograficznego, nawet zadłużając się u swoich krewnych.

Teraz – gdy Ust z Ministerstwa Kultury i Sztuki odkrył przede mną możliwości wyjazdu do bibliotek Moskwy, do Albazina, na Daleki Wschód – pragnienie rozwikłania historycznej zagadki wzrosło we mnie stokrotnie. Jeszcze nie wiedziałem, skąd wydostanę pieniądze na podróż, ale czułem, że wyjadę. Wyjadę dlatego, że tego bardzo pragnę.

– Mamy ostatnio wielkie trudności finansowe – rzekł Karol.

– Wyjazd redaktora Tomasza jest w gruncie rzeczy jego prywatną sprawą – powiedział Franciszek. – Zapewne, trzeba cenić w człowieku bezinteresowne pasje. Ale jest to pasja zbyt luksusowa, jak na nasze warunki. Jaką korzyść z jego podróży odniesie nasza redakcja?

Rozstrzygnął redaktor naczelny:

– Pochwalam u Tomasza jego zapał dla tematu, przypuszczam jednak, że Albazin niezbyt zainteresuje czytelników i wobec tego ta podróż nie przyniesie zbyt wiele korzyści gazecie. Pochwalam także bezinteresowność, która cechuje postępowanie Tomasza. Takie pasje należy otaczać opieką. Niech jedzie.

I postanowił, że otrzymam płatny urlop, w zamian za co dostarczę redakcji pięć dużych reportaży o tropieniu śladów Polaka-pułkownika. Oczywiście, o jakichkolwiek pieniądzach nie było nawet mowy.

– Robercie – zagadnąłem przyjaciela – czy w grze „pozwolenie na przywóz lwa” nie było wskazówek, skąd pan sprowadzający lwa uzyskiwał pieniądze na podróż?

– Ten pan był bardzo bogaty. Miał pieniądze. Brakowało mu jedynie pozwolenia na przywóz lwa. A trudności, jak wiesz, rozwiązał w końcu telefon do premiera. Być może źle uczyniłeś pisząc list do ministra, a nie do premiera.

Spacerowaliśmy po ulicy przed moim domem. Ulicą spływał przyjemny wieczorny półmrok, ściany domów oddychały ciepłem. Podzwaniały tramwaje, minęło nas kilka motocykli, wlokących smużki niebieskawego dymu. Po drugiej stronie ulicy, na rogu, znajdowała się kawiarnia z malutkim ogródkiem. W ogródku stały parasole podobne do kapeluszy muchomorów – piękne barwne plamy na tle szarych murów. Pod jednym z parasoli siedziała Kamila z krytykiem teatralnym, Jerzym W.

Kamila wróciła do Łodzi przed trzema dniami. Z teatralnego tournée po Wybrzeżu przyjechała piękna, opalona, w nowej prześlicznej sukience i w szerokim kapeluszu. Było mi żal Roberta. Tego dnia, gdy zdawało mu się, że zdobył Kamilę – właśnie tego dnia, w ów wieczór taneczny w klubie – stracił ją.

– Jutro rano Jerzy wyjeżdża za granicę – powiedziałem.

– Tajemniczy jest Ałbazin – mruknął cicho Robert.

Uśmiechnąłem się smutnie. Czy nie podobnie stało się ze mną?

Gdy Ałbazin nagle stał się osiągalny dzięki listowi Biura Współpracy z Zagranicą, okazało się, że nie mam odpowiednio dużo pieniędzy.

– Jeśli chcesz, pożyczę ci trochę dolarów – rzekł Robert. – Mam je w banku.

Skinałem głową.

– Dobrze. Myślę, że będą mi potrzebne.

Pozegnaliśmy się przed bramą domu. Robert pośpiesznie przeszedł na drugą stronę ulicy. Zapewne pragnął jeszcze raz, choć ukradkiem, zobaczyć twarz Kamili.

W kuchni przy kuchence gazowej krzątał się pan Ludwik P., mistrz klasy międzynarodowej. Wyglądał bardzo mizernie, miał cytrynową cerę, ciągle cichutko pokasływał. Przed trzema tygodniami odbyło się międzynarodowe spotkanie szachistów, ale pana Ludwika nie zaproszono. Powiedziano mu, że jest chory i nie powinien się przemęczać. Pan Ludwik jednak przypuszczał, że zadecydowały ostatnie jego niepowodzenia szachowe. I w ciągu tych trzech tygodni zzółkł jak liść oderwany od życiodajnej łądygi.

– A pan? Jak pana sprawy? – począł wypytywać mnie bardzo pilnie.

Jedyną miłą nowiną, jaką mogłem się z nim podzielić, była opowieść o pięknym gościu Roberta. Ale mistrz i tę opowieść pojął niewłaściwie.

– Mam także kilkadziesiąt dolarów. Lecz pan wie, muszę wyjechać do sanatorium, kupić sobie nową pidżamę, powinienem się lepiej odżywiać.

Wytłumaczyłem panu Ludwikowi, że w żadnym wypadku nie przyjmę od niego pożyczki. Odczułem, że dotknąłem go tym bardzo boleśnie. Lecz przecież nie wolno mi było pożyczać pieniędzy od człowieka, który zarabiał bardzo niewiele, a do tego zapadł na chorobę wymagającą długotrwałego leczenia.

Poszedłem do swego pokoju i położyłem się na tapczanie. Czuję się wprost fizycznie zmęczony staraniami o pieniądze na wyjazd, a przecież – zdawałem sobie z tego sprawę – był to zaledwie początek moich kłopotów. Rozmowy w gabinecie naczelnego redaktora, a jeszcze przedtem w Wydziale Kultury, napelniły mnie niesmakiem. „Tfu, do licha – złościłem się – za kogo mnie oni uważają? Za szalbierza czy żebraka?”

...Zapewne zdrzemnąłem się. Dzwonek u drzwi poraził mnie krótkim, przenikliwym dźwiękiem. Zerwałem się z tapczana i pobiegłem otworzyć. Odsunąłem zatrask i wyjrzałem na korytarz. Jakiś mały chłopiec wręczył mi list, a potem szybko zbiegł po schodach. Rozerwałem kopertę.

*Szanowny Panie Redaktorze! Proszę natychmiast przybyć na ulicę  
Podmiejską 29. Sprawa bardzo poważna.*

*Życzliwa osoba*

Na dworze była już noc – parna, gorąca. W szczelinie między ścianami rozpalonych w czasie dnia wysokich kamienic wyblakłym światłem paliły się lampy uliczne, jasne plamy okien układały się w brzydki, nieregularny deseń. W pokoju było duszno.

Obejrzałem kopertę i papier listowy: pochodziły z eleganckiej papeterii. Papier pachniał fiołkami. „List z fiołkiem” – pomyślałem.

Wziąłem gorącą kąpiel. Przed domem złapałem taksówkę i kazałem się zawieźć na ulicę Podmiejską.

Stanęliśmy, zdawało mi się, w szczerym polu. Dopiero później zauważyłem nie opodal drogi zrujnowaną oranżerię. Gdzieś z boku, z pomieszczenia znajdującego się obok oranżerii, sączyła się nikła struga światła. To był chyba nr 29.

Tuż przy drzwiach ktoś złapał mnie za rękaw i pociągnął w ciemność. Potknąłem się o wysoki próg, pod butami zachrząściło rozbite szkło.

Znalazłem się w starej kotłowni przylegającej do oranżerii. Na ceglach rozbitego paleniska siedziały dwie dziewczyny. Barczysty młodzieniec, który mnie tu wciągnął, stanął w drzwiach, niedwuznacznie zagrządzając sobą wyjście. Na wbitym w ścianie gwoździu wisiała lampa naftowa, a w rogu izdebki leżała sterta butelek po winie i puste pudełka po konserwach, zapewne w tym zacisznym ustroniu niekiedy odbywały się pijatyki.

Jedną z dziewczyn rozpoznałem od razu. Była to Panienska z Biblioteki. Jakże odmieniona! Przycięła swoje długie, czarne włosy, włożyła ciemne okulary i czerwoną spódnicę na sztywnej halce. Gdy siedziała na ceglach, spódnica wybrzuszyła się i Panienska z Biblioteki wyglądała jak dama w krynolinie podczas dworskiego ukłonu.

Druga z dziewcząt także odznaczała się urodą. Szpeciły ją jednak – wedle mego gustu – włosy ufarbowane na kolor słomy i siwy kosmyk nad czołem. Była w złym stylu nowoczesnego wampa. Takich dziewcząt, wysiadujących foteliki w podrzędnych kawiarniach, widywało się wiele.

Panienska z Biblioteki wyjęła z torebki papierośnicę i poczęła nas częstować papierosami. Potem, wysoko zadzierając spódnicę, założyła nogę na nogę i zapaliła z fantazją współczesnej kurtyzany. Usta miała wymalowane grubo i jaskrawo, wydawało mi się, że brwi ma mocno poczernione. Jakże się zmieniła od czasu, gdy spotkałem ją w Bibliotece – skromniutką, nieśmiałą, bladą Panienskę.

– Do rzeczy, panie redaktorze – powiedziała.

– Tak. Do rzeczy – jak echo powtórzył młodzik przy drzwiach.

– Czy w dalszym ciągu gotów jest pan twierdzić, redaktorze, że Ałbazin to tylko stara forteca, o której pragnie się pan dowiedzieć z czystej i nieskazitelnej miłości do historii? – zapytała mnie ironicznie.



Skinąłem głową. Wówczas Panienska z Biblioteki zerwała się ze swego miejsca, rzuciła na ziemię papierosa i zaczęła go deptać z taką wściekłością, że lękałem się, by nie połamała cienkich szpileczek swych eleganckich pantofli.

– Jest pan kłamcą! Łgarzem! Nędznym oszustem! – krzyczała.

– Maryśka, spokojnie – łagodnie przemówił młodzik.

– A złoto? Worek złota, który jest w Ałbazinie? – wołała. – Pan myśli, że nie wiemy? Wiemy wszystko. Został pan zdemaskowany. Ta pani – wskazała palcem piękną blondynkę – wyciągnęła całą prawdę od pańskiej przyjaciółki, aktoreczki.

Nie doceniłem śledczego talentu Panienski z Biblioteki. Oczywiście, wywęszyła wszystko. Że Robert i Kamila to nie moi prześladowcy, ale przyjaciele. Usłyszała o Szulcu i o złocie Ałbazina. Ba, wiedziała nawet i to, że otrzymałem pozwolenie wyjazdu za granicę, teraz zaś szukam pieniędzy na opłacenie kosztów wyprawy.

– Gdyby pan już dawno wziął mnie do spółki, znacznie zyskałby pan na tym. Teraz, niestety, do podziału skarbu jest nas więcej – rzekła Panienska. – Musiałam wtajemniczyć w tę sprawę jeszcze tych dwoje, bo sama nie dałabym rady w zdemaskowaniu pańskich łgarstw i wykrętów.

Poczułem się głupio i zrobiło mi się ich żal. Tyle trudu i sprytu włożyli w zdemaskowanie mojej osoby, i trud ten miał pójść na marne. Nie zamierzałem bowiem szukać złota.

Zapytałem:

– Niby dlaczego mam się z wami dzielić?

– Pan się pyta?

I poczęli na przemian krzyczeć na mnie i pomstować:

– Pan nie wie? A kto panu dał *Sybirskij Wiestnik*? Kto panu dopomógł znaleźć Ałbazin? Co zrobiliby pan bez *Sybirskiego Wiestnika*?

Młodzik wytrząsał nade mną swymi silnymi rękami.

– Maryśka panu dopomogła, do skarbu drogę panu wskazała. A pan co? Oszukał ją, oszwabił, bajeczki pan jej opowiadał. Czy to uczciwe? Czy tak postępuje redaktor poważnej gazety?

Zatkałem sobie uszy dłońmi. A gdy przycichli, zapytałem Panienskę z Biblioteki:

– A czy zadała pani sobie trud przejrzenia owego, tylekroć tu wspomnianego, *Sybirskiego Wiestnika*?

– Tak – padła niepewna odpowiedź.

Młodzik odparł buńczucznie:

– Ja też go przeglądałem. Od pierwszej do ostatniej strony.

– No i co?

Wzruszyli ramionami.

Roześmiałem się.

– A właśnie, nic. Nic tam nie ma o skarbach, o złocie. Nic, zupełnie nic.

Znowu zaczęli na mnie krzyżeć, że ich próbuję oszukać i że tym razem nie dadzą się nabrać na moje piękne słówka.

– Więc dlaczego pan się tak ucieszył przeczytawszy coś w tym *Wiestniku*? – rzekła Panienska z Biblioteki.

– O, to prosta sprawa. Ciekawiło mnie, dlaczego w drugiej połowie siedemnastego wieku Chińczycy pisali po polsku do mieszkańców Ałbazina. W *Wiestniku* przeczytałem, że Ałbazin zbudował Polak-pułkownik. I wszystko dla mnie stało się jasne. Stąd moja wielka radość.

– A po co chce pan jechać do Ałbazina?

Pokiwałem głową. Ja także zadawałem sobie podobne pytania. I nie znajdowałem na nie odpowiedzi. Począłem im opowiadać o malutkiej kartce przypadkowo znalezionej na podłodze mego pokoju. Potem mówiłem o namiętności. O wielkiej pasji, która przychodzi nagle i pochłania całkowicie.

Przecież do chwili znalezienia zagadkowej karteczki zdarzały się w mym życiu chwile, gdy byłem szczęśliwy, miałem swoje ulubione zajęcie, przeżywałem przygody, coś tam napisałem. Lecz nagle wszystko to, co przeżywałem dotychczas, zbladło, wydało mi się jałowym i nieciekawym. Malutka karteczka zapowiadała przygodę stokroć barwniejszą od wszystkich przeżywanych do tej pory. Dlatego nie potrafiłem jej odrzucić, zapomnieć o niej.

Zwierzyłem im się z tego, co mnie najwięcej bolało. Opowiedziałem o dzisiejszej rozmowie na kolegium redaktorskim. Dlaczego tak już jakoś się składa, że im się ma czystsze intencje, tym bardziej ludzie skłonni są dopatrywać się w nich nieuczciwości, utajonej przez spryt?

Zwróciłem się do Panienski z Biblioteki.

– Mówiłem pani, że interesuję się Ałbazinem ze względów historycznych, nie uwierzyła pani. Lecz wystarczyło, że zażartowałem: „Szukam Ałbazina, bo chcę zdobyć skarby”, a natychmiast dała pani wiarę bladze. Czyżby uczciwość była czymś podejrzanym, czymś nie do wiary? – ironizowałem. – A potem przyplątała się sprawa z Szulcem i jego złotem. Któż mi teraz uwierzy, że nie kieruje mną chęć zdobycia fortuny? Jakże was przekonać, że pragnę zaryzykować znaczną sumę pieniędzy, aby zobaczyć ruiny starej twierdzy lub tylko miejsce, gdzie ongiś znajdował się Ałbazin?

Nie wiem, czy zrozumieli moją pasję, ale jedno stało się chyba dla nich jasne: nie złoto było celem moich zabiegów.

– Lecz przecież tym złotem powinien się pan zainteresować – burczał gniewnie młodzik.

Uśmiechnąłem się z politowaniem.

– Pan jeszcze wierzy w historyjki o ukrytych skarbach. Pan łudzi się, że do tej pory przetrwał w Ałbazinie worek złotego piasku, że nikt go nie odkrył, nie spieniżył? Jakże ja go stamtąd przywiozę? Okazano mi zaufanie, dano mi możliwość poszukiwań, wierząc w moją bezinteresowność i uczciwość. I to wszystko mam przekreślić? Czy warto ryzykować własne dobre imię nawet dla worka ze złotem?

Młodzik milczał. Udawał, że moje słowa nie trafiły do jego przekonania.

Pogodzeni, w piękną księżycową noc wracaliśmy do miasta drogą wśród pól i łąk. Wamp z siwym kosmykiem i młodzik szli przodem i cicho się kłócili. Towarzyszyłem Marysi, zwierając się jej z kłopotów związanych ze zdobyciem odpowiednich funduszy na podróż. Zdziwiła się:

– A wydawnictwo? Czy żadne wydawnictwo nie zechce kupić pańskiej przyszłej książki o Albazinie i w formie zaliczki opłacić koszty podróży?

Wzruszyłem ramionami. Miałem za sobą książkę, która nie podobała się w żadnym wydawnictwie. Któż teraz zechce ryzykować?

– Uważa mnie pan za idiotkę, prawda? – zapytała cicho Panienska z Biblioteki.

– Nieee Nie bardzo.

– Trzeba być zupełną idiotką, żeby w pańskich poszukiwaniach zwać złoty interes – upierała się. – Ale gdyby pan mnie znał bliżej, zrozumiałby pan, dlaczego tak się stało. Moja praca w bibliotece wydawała mi się okropnie monotonna, ustawicznie czekałam na coś niezwykłego. Chciałam uwierzyć w tę historię ze skarbami, bo była niezwykła.

Doszliśmy do pierwszych uliczek miasta. Słysząc już było zgrzyt tramwaju, zawracającego na pętli. Zapytała:

– Pan kocha panią Kamilę?

– Nie wiem.

– Mój Boże, a kto ma wiedzieć? Był pan z nią na dłuższej wycieczce w leśniczówce

– O tym także została pani poinformowana?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

ZDRADA ROBERTA • JESTEM JOJNE KOTYLION • PRÓBUJĘ ZACHOROWAĆ • NOWY TROP W ZAGADKOWEJ SPRAWIE • „ISTORIJA GORODA AŁBAZINA” • WYPADŁA MI „SZÓSTKA” • PRZYWIOŻĘ ŻYWEGO LWA • A JEŻELI AŁBAZIN JEST TYLKO IMAGINACJĄ? • NIE DOŚĆ KOCHAMY KAMIŁĘ • ODLATUJĘ DO MOSKWY

– Tomaszu, sprowadzisz sobie lwa – zawołał radośnie Robert odwiedzając mnie w redakcji. Spacerując obok biurka drobnym kroczeniem, ze zdziwienia trząsł głową. – Odnoszę wrażenie, Tomaszu, że niepomni gorzkich doświadczeń, w dalszym ciągu jesteśmy krajem romantyków. Jakim wspaniałym romantykiem musi być ów minister, który umożliwi ci wyjazd do tego zwariowanego Ałbazina! Jakimiż romantykami są członkowie Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, którzy na swym posiedzeniu postanowili przyznać ci bezzwrotnie trochę dolarów, abyś mógł odwiedzić swój szaleńczy Ałbazin.

– Robercie, naprawdę?

– A tak. Do naszego Wydziału Kultury zadzwoniono dziś z Prezydium WRN i oświadczono: „Wy zbyliście niczym prośbę młodego dziennikarza, a my przyznaliśmy mu sto dolarów. Niech jedzie”. Nasz naczelnik-poeta aż się za głowę złapał. Bo wyszło z tego, że on, poeta, jest największym biurokratą, a oni, urzędnicy, największymi poetami. Przyznasz bowiem sam, że twój Ałbazin jest czymś, co znajduje się na granicy poezji lub abstrakcji, jest jakby wielką twoją imaginacją.

– Nie, Robercie, Ałbazin istnieje lub istniał rzeczywiście.

Ale Robert tylko machnął ręką.

– Jestem pewien, że nigdy nie było żadnego Ałbazina. To ty go wymyśliłeś. Już kilka osób mi o tym mówiło. Podobno wymyśliłeś ten Ałbazin tylko w tym celu, żeby później móc napisać cykl satyrycznych reportaży pt. „Na tropie tajemniczego Ałbazina”. Podobno pragniesz udowodnić, że w naszym kraju skromne, realne pomysły nie znajdują poparcia,

natomiast im coś jest bardziej nierealne, bardziej zwariowane (tak jak twoje poszukiwania Ałbazina), tym łatwiej zyskuje entuzjastów.

Teraz ja się złapałem za głowę. Nareszcie zrozumiałem, dlaczego wiele instytucji odmówiło mi wszelkiej pomocy.

Siedziałem za biurkiem bezradny. Jakże straszny wydawał mi się świat!

– Robercie, Ałbazin nie jest moim wymysłem!

Robert potakiwał. Lecz wydawało mi się, że w oczach jego dostrzegam niewiarę.

Nazajutrz wczesnym rankiem pojechałem do Warszawy. Byłem niewyspany, bo całą noc pisałem konspekt przyszłej książki o poszukiwaniach Ałbazina. Postanowiłem, że jeśli wydawnictwo zechce choć w części sfinansować moją podróż – nie przyjmę pożyczki od Roberta. „Zdradził mnie” – rozmyślałem z goryczą. Zdecydowałem się także sprzedać skuter.

Skierowałem swoje kroki do poważnego wydawnictwa o dość niesprecyzowanym profilu, publikującego także książki popularnonaukowe. Zrodziła się bowiem we mnie ambicja napisania książki poważnej, udokumentowanej licznymi cytacjami, wtrętami z historii, odpisami i fotokopiami dokumentów. Byłem przekonany, że w bibliotekach i archiwach Związku Radzieckiego natknę się na dalsze, pełniejsze ślady tajemniczego Polaka. Dość miałem pobłażliwych uśmiezków, jakimi obdarzano moją dotychczasową „twórczość”, w której przy pomocy przygodowej, awanturkowej fabuły popularyzowałem poważne problemy naukowe. Teraz sam zapragnąłem napisać coś nobliwego, jakąś niewielką monografię o pułkowniku zapędzonym do dalekiego Ałbazina. „Monografia? – rozmyślałem. – Czemu nie? Czym to ja gorszy od innych?”

W wydawnictwie dokładnie przeczytano mój konspekt i potraktowano mnie z łagodną życzliwością, która do niczego nie zobowiązuje. W podobny sposób odnosiłem się zawsze do nieszkodliwych maniaków, proponujących mi w redakcji przeczytanie walizki swoich wierszy.

– Jak widać z pańskiego konspektu – powiedział mi pan kierujący losami wydawnictwa – kroi się panu raczej książka podróżnicza, a nie monografia historyczna. A ponieważ książkami podróżniczymi zajmuje się inne wydawnictwo, może tam złoży pan swój konspekt? O, to wydawnictwo jest bliżutko, na tej samej ulicy, drogi panie.

Westchnąłem jak Lejzorek Rojtszwaniec<sup>4</sup>. Zwinąłem konspekt w trąbkę i wyszedłem. Na korytarzu wydawnictwa zajmującego się książkami podróżniczymi napotkałem poetę-nadradcę z Wydziału Kultury, który podobnie jak i ja przyjechał dziś do Warszawy w sprawach wydawniczych.

Nadradca radośnie wykrzyknął na mój widok:

– Ach, kogo ja widzę? Nasz kochany Jojne Kotylion szuka finansów na spotkanie z Panem Bogiem.

Pożegnałem go bardzo chłodno. Nagle wydało mi się, że rzeczywiście jestem owym Jojne Kotylionem, który przypadkiem znalazł tajemniczą karteczkę. Pomyślałem, że nadradca nie

<sup>4</sup> Lejzorek Rojtszwaniec – postać literacka, bohater książki Ilji Erenburga *Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwanca*.

omieszka opowiedzieć redaktorom wydawnictwa wesołej historyjki ze Stanisławowa i że stawiwszy się przed nimi, usłyszę tylko wybuch śmiechu.

„Nie sprowadzę lwa. Co najwyżej mogę sobie kupić pokojowego pieska” – myślałem powłócząc nogami po ulicach Warszawy.

Zmęczony usiadłem na ławeczce w Alejach Jerozolimskich. Odwinąłem z papierka kupioną w sklepie bułeczkę z szynką, zjadłem ją ze smakiem, a paperek wyrzuciłem do ulicznego kosza. W tym samym koszu znalazł się także konspekt monografii historycznej pułkownika z Albazina.

Mój kolega redakcyjny, Karol, kupił ode mnie skuter. Sprowadzony przez niego fachowiec stwierdził, że skuter jest już bardzo zniszczony, i dlatego Karol zapłacił mi za niego tylko połowę jego dawnej wartości. Wręczywszy mi pieniądze, kolega poklepał mnie po plecach:

– A więc się nie omyliłem. Puszczasz się na wielkie hazardy, miły Tomaszu. Jaka szkoda, że robisz z tego wielką tajemnicę! Byłem gotowy partycypować<sup>5</sup> w twojej imprezie. Nie musiałbyś wówczas sprzedawać skutera.

Nie miałem chęci wyprowadzać go z błędu. Nie ma rady na ludzi, którzy chcą nas widzieć gorszymi, niż jesteśmy w rzeczywistości.

Otrzymane od Karola pieniądze, a także te uzyskane z Prezydium WRN włożyłem do dużej koperty z napisem: AŁBAZIN. Potem poczułem się bardzo chory, bo wiedziałem, że skończyły się moje piękne wycieczki za miasto i chyba nie będę miał dosyć wytrwałości, aby ponownie oszczędzać na kupno skutera.

Przekonanie o własnej chorobie było u mnie tak wielkie, że wyciągnąłem z tapczana pościel i zaraz po powrocie z redakcji wlałem pod kołdrę. Przewracając się z boku na bok, dokonywałem w myślach szczegółowych wyliczeń: posiadałem dość pieniędzy na podróż. Skąd jednak wziąć gotówkę na zakup walizek i cieplejszego palta?

Sierpień był piękny, słoneczny. Na parkiecie mego pokoju gęstniały wielkie kałuże słońca. Nakryty kołdrą aż po brodę, pocilem się od upału, mogłem bezkarnie wyobrazić sobie, że mam gorączkę, ani bowiem ja, ani nikt z mych sąsiadów nie posiadał termometru.

Wieczorem zastukała do mnie Kamila. Ostatnio miała dla swych przyjaciół bardzo niewiele czasu, otrzymała bowiem w operetce jedną z poważniejszych ról. Odwiedziła mnie więc tylko jakby na jednej nodze – w płaszczu, z piękną czerwoną parasoleczką w ręku.

– Czy to prawda, że sprzedał pan skuter? Mój Boże, pan naprawdę wyprawia coraz dziwniejsze rzeczy. I pojedzie pan do Albazina? Po co? Czy źle panu tutaj? Pamięta pan naszą wiosenną wycieczkę? Jak przyjemnie było w Kamionkach Postanowiłam wyjść za mąż – zakończyła niespodziewanie.

– Za Roberta?

<sup>5</sup> Partycypować (z łac.) – uczestniczyć, brać udział.

– Tak, lecz on mi się jeszcze nie oświadczył. Jest zbyt nieśmiały. A pan, Tomaszu? Wydaje mi się, że i panu dobrze by zrobiło małżeństwo. Żona na pewno wybiłaby panu z głowy wszelkie Ałbaziny. W pańskim stosunku do Ałbazinga jest coś nienaturalnego, niezdrowego. Tęskni pan za nim, wzdycha pan do niego, jak do kobiety. Ach, mój Boże, mężczyźni są teraz tak mało skłonni do małżeństwa. Dlaczego Robert jest nieśmiały? Rozchorował się pan przez ten Ałbazing. Czy ma pan gorączkę?

Zdjęła z dłoni rękawiczkę, delikatnie musnęła mi palcami czoło i przegub dłoni.

– Jestem tak chory, że może nawet nie pojedę do Ałbazinga – powiedziałem ze złością.

– Och, jak to wspaniale – zawołała. – Teraz na pewno wróci pan do zdrowia.

I pocałowała mnie w czoło. Był to niewinny, siostrzany pocałunek, ale jednak trochę się zarumieniła. „Jest piękna, urocza – pomyślałem. – Do diabła z Ałbazingem”. I natychmiast poczułem się zdrowszy.

U drzwi rozległ się dzwonek.

– Szatan sprowadza Roberta – syknąłem.

Kamila pobiegła otworzyć. Po chwili usłyszałem kobiecy głos.

– Czy zastałam redaktora Tomasza?

Kamila odrzekła chłodno:

– Owszem. Leży chory.

– Chory? – zapytał z przerażeniem kobiecy głos. – Czy poważnie chory?

– Tak. Chory na swój Ałbazing – odpowiedziała gniewnie Kamila. I wprowadziła do mego pokoju Panienkę z Biblioteki.

Podciągnąłem kołdrę pod brodę. Leżałem cichy i niemy. Kamila szybko wzięła z krzesła swój czerwony parasol.

– Nie będę państwu przeszkadzać – powiedziała z odrobiną ironii. – Życzę panu, Tomaszu, powrotu do zdrowia.

Nie zatrzymałem jej ani słowem. Skinąłem tylko głową. Panienka z Biblioteki rozsiadła się w fotelu, uprzednio przysunąwszy go bliżej tapczanu. Byłem przerażony. Czyżby znowu chciała udziału w złocie Ałbazinga?

Gdy za Kamilą zatrzasnęły się drzwi, Panienka z Biblioteki zdecydowała się powiedzieć:

– Coś mi się zdaje, że to ja przeszkodziłam państwu

– Przeszkodziła pani? W czym?

– Nie wiem – lekko wzruszyła ramionami. A po chwili dodała sucho: – Ma pan szminkę na czole.

Miałem ochotę ukryć głowę pod kołdrą. Zawstydzony, wytarłem czoło rogiem poszewki nie dbając, że ją plamię. Prawie z nienawiścią pomyślałem o Kamili. „Jak wyjaśnić Panience sprawę tej szminki na moim czole?” – zastanawiałem się. Lecz wyjaśnienia okazały się zbędne.

Panienka zapytała uprzejmie:

– Czy był już u pana lekarz?

– Nie. Jego wizyta wydała mi się zbyteczna. Po prostu trochę niedomagam.

Zdjęła z dłoni rękawiczkę, musnęła palcami moje czoło i przegub dłoni. „To już druga w ciągu dziesięciu minut” – zaśmiałem się w duchu.

– Nie, gorączki nie ma pan – stwierdziła.

Wyglądała dziś znowu bardzo ładnie. Nie przypominała w niczym szarej, nieciekawej panienki, która w Bibliotece Miejskiej pomagała mi szukać książek o Dalekim Wschodzie. Ale nie miała także w sobie nic z owego straszliwego wampa, z jakim spotkałem się w oranżerii za miastem. Nosila krótką, lilaróżową spódniczkę na sztywnej halce i sweterek z dużym dekoltem. Była ładnie opalona i bez owego jaskrawego malowidła na twarzy.

– Przyszłam dowiedzieć się, kiedy wyjeżdża pan do Ałbazina i czy udało się panu uzyskać pieniądze w wydawnictwie – rzekła.

Zaniepokoiłem się. Więc jednak nie przestała interesować się moją podróżą.

– Wciąż jeszcze myśli pani o zdobyciu złota Ałbazina! Na nic się nie zdały moje tłumaczenia, moje zwierzenia, gorące zapewnienia, że nie szukam skarbów.

Roześmiała się. Śmiech dodawał jej uroku.

– Przysięgam panu, że historia ze skarbami zupełnie wywietrzała mi z głowy. Ciekawi mnie jednak pańska wyprawa.

Byłem ciągle nieufny. Co ona knuje, u licha?

– Przemawia pani bardzo ładnie. Aż zbyt ładnie, żeby to mogło być prawdziwe.

Obraziła się.

– Nie wierzy mi pan? W takim razie lepiej uczynię, jeśli sobie stąd pójdę.

I wyciągnęła do mnie rękę. Na pożegnanie. Oczywiście ręki nie przyjąłem. Nie chciałem, żeby odchodziła obrażona.

Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej karteczkę. Położyła mi ją na kołdrze.

– Przejrzałam stare bibliografie. Jest w nich wyszczególniona książka Parszyna, zatytułowana *Pojezdka w Zabajkalskij kraj*. Drugi tom tej książki nosi tytuł: *Istorija goroda Ałbazina*

– Niemożliwe! Pani Marysiu (przypomniałem sobie jej imię), to byłoby cudowne!

– To nie jest cudowne. Tej książki nie ma w żadnej z większych polskich bibliotek. Dzwoniłam w tej sprawie i do Warszawy, i do Krakowa.

– Więc cóż ja pocznę?

– Dostanie ją pan w Moskwie. W Bibliotece im. Lenina.

– No tak. Tylko jak się tam dostać?

– Nie rozumiem. Przecież za kilka dni otrzyma pan paszport.

– Ale pieniędzy nie mam. Sprzedałem skuter, a i tak mi brakuje. Nie jadę do Ałbazina. Nie jadę – wołałem histerycznie. Bo też i nerwy moje stawały się coraz bardziej rozstrojone.



Na drodze do Ałbazina piętrzyły się przeszkody wielkie jak Himalaje: niechęć ludzka, podejrzliwość i moja niezaradność.

Opowiedziałem dziewczynie o wizycie w warszawskich wydawnictwach.

– Czemu nie odwiedził pan wydawnictwa, które wydrukowało panu książkę?

– Bo oni wydają książki dla młodzieży, a ja chcę napisać pracę naukową, monografię historyczną.

– Ba, czy musi pan napisać akurat monografię?

No tak, właściwie nie musiałem pisać monografii.

– Parszyn, *Istorija goroda Albazina* – jeszcze raz cichutko przeczytałem karteczkę. A potem powiedziałem głośno:

– Wydaje mi się, że jestem zupełnie zdrow. Może pani z łaski swojej przejdzie na chwilę do kuchni, a ja się szybciotko ubiorę. Pójdziemy razem na kolację.

I znowu wąskie schody biegnące stromo na Solec. Pamiętam, jak schodziłem po nich ostrożnie, jakbym niósł szkło, gdy dźwigałem rękopis swojej pierwszej książki. I jak potem skakałem po trzy stopnie, gdy unosiłem pierwszy drukowany jej egzemplarz.

Zastałem kierownika redakcji i jego bardzo przyjazny uśmiech. Wyłuszczałem sprawę długo, płacząc się w swym opowiadaniu. Na szczęście miałem przy sobie szczegółowy konspekt.

Kazano mi przyjść za kilka godzin. Wróciłem tam po to, aby podpisać umowę wydawniczą. Kiedy kładłem swój podpis, nagle obleciał mnie strach: zaliczka, jaką otrzymam po zawarciu umowy, pokryje resztę mych wydatków związanych z podróżą, ale czy droga do tajemniczego Ałbazina nie przyniesie mi rozczarowania? Czy będzie tak ciekawa, że potrafię o niej napisać grubą książkę?

Aż tchu mi zabrakło ze strachu. Lecz trwało to tylko krótką chwilę. Abym mógł osiągnąć swój Ałbazin, zbyt wielką już maszynę puszczono w ruch. W Ministerstwie leżał paszport i zezwolenie na zakup dewiz, a w Moskwie, w Związku Pisarzy, czekano mego przybycia.

Podpisałem. Był to jakby rzut kostką w grze „pozwolenie na przywóz lwa”. Wypadła mi „szóstka”. Skoczyłem od razu bardzo daleko.

Zapakowane walizki wyniosłem do hallu i zapukałem do drzwi Kamili.

– Przyszedłem się pożegnać.

– Jednak wyjeżdża pan – rzekła.

– Jednak.

– Byłam skłonna sądzić, że już znalazł pan swój Ałbazin. I to wcale nie na Dalekim Wschodzie.

– Nie rozumiem?

– Mam na myśli tę młodą panienkę, która ostatnimi czasy tak często składała panu wizyty.

– Ach, o to chodzi? Ta pani jest wielką entuzjastką poszukiwań Ałbazina. Mam jej wiele do zawdzięczenia. Posłużyła mi dobrą radą.

– „Bo to się zwykle tak zaczyna” – zanuciła Kamila. Głos jej brzmiał bardzo pięknie.

Powiedziałem:

– Wyjeżdżam na długo, więc będę szczery: pani mi się zawsze bardzo podobała. Ale tak się głupio złożyło, że zakochał się w pani Robert. Nie chciałem wejść w drogę przyjacielowi. Tym bardziej, że jest on tak bezradny i nieśmiały. Wydawało mi się, że pani się ku niemu skłania. Może, gdy mnie nie będzie, potraficie się porozumieć?

Zaśmiała się:

– Dlaczego mówi pan to dopiero dzisiaj? A co będzie, jeśli zechcę uchwycić pańskie słowo?

I śmiejąc się odprowadziła mnie aż do drzwi. Mimo tej wesołości była jakby smutna. A może ten smutek wyczuwała tylko moja zarozumiałość?

Na ulicy w taksówce czekał na mnie Robert. Przebaczyłem mu jego zdradę, bo ofiarował się odwieźć mnie do Warszawy.

Po drodze na stację zatrzymaliśmy się przed pocztą. Nadałem telegram do przebywającego w sanatorium mistrza Ludwika P.:

*Jadę do Ałbazina. Życzę wygranej w zbliżających się mistrzostwach.*

Przez całą drogę do Warszawy Robert był milczący i zamyślony. Ja także nie okazywałem chęci do rozmowy. Oczekiwała mnie ogromna podróż – blisko dziesięć tysięcy kilometrów. Myśl o przestrzeni, którą miałem przebyć, przejmowała lękiem. Nigdy nie lubiłem podróży, nawet tych niedalekich, a przecież prawie ciągle szczególnie w początkowym okresie mej pracy dziennikarskiej – znajdowałem się w drodze.

Co mnie czeka na końcu dalekiej drogi? Radość czy smutek?

A gdybym nie pojechał?

Nocowałem w hotelu na placu Konstytucji. Wczesnym rankiem zapukał do mnie Robert. Zjedliśmy śniadanie w pobliskiej kawiarni, zamówiliśmy potem dodatkowo dwie duże kawy. Przyjaciel mój sapał, pomrukiwał, pokasływał.

– Tomaszu – rzekł – każdy ma taki Ałbazin, na jaki sobie zasłużył. Nie wiem jednak, czy dobrze czynisz udając się w podróż. Ałbazin to idea, miraż, coś, do czego należy dążyć i co powinno wzmacniać nasze wysiłki, ale czego nie wolno osiągnąć, bowiem przynosi rozczarowanie. Jak mówił pewien filozof: „Człowiek jest zawsze u podnóża swych pragnień”.

– Tomaszu – dodał ciszej i jakby z wahaniem – odjeżdżasz na długi okres czasu. Czy nie uważasz, że przed wyjazdem należało zadeklarować się w pewnych zasadniczych sprawach?

– Co masz na myśli?

– Myślę o Kamili.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Był zażenowany, nerwowo bawił się łyżeczką od kawy. Mówił z trudnością, ostrożnie:

– Wiem, że darzyłeś ją wielką sympatią. I nie bez wzajemności. Jeździliście razem na wycieczki, często widywałem was razem. Ja bardzo lubię Kamilę. Nieraz chciałem jej o tym powiedzieć. Czy mogłem jednak być niełojalny wobec ciebie?

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że obydwaj byliśmy bardzo śmieszni.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

– Chodźmy już, Robercie. Nie chciałbym spóźnić się na lotnisko.

Robert wyjął chusteczkę i otarł spocone czoło. Potem sapiąc pośpieszył za mną.

W biurze podróży zważono moje walizki, przyczepiono do nich trójkątne karteczki. Patrzyłem na przesuwające się wskazówki wielkiego zegara. Powoli ogarniało mnie nerwowe podniecenie, tak charakterystyczne dla ludzi wybierających się w podróż. Palilem papierosa za papierosem, Robert sapał i pokasywał nerwowo. Lecz milczał. Może wciąż czekał ode mnie odpowiedzi?

Przed dworcem lotniczym natknęliśmy się na Marysię.

– Przyjechałam tu wprost z dworca kolejowego. Tak bałam się, że pociąg będzie miał opóźnienie i nie zdążę pana pożegnać.

– Przecież pożegnaliśmy się w Łodzi

– Chciałam na własne oczy zobaczyć, jak będzie pan odjeżdżał do Albazina.

Rozmawialiśmy bardzo krótko, bo megafon wzywał podróżnych do komory celnej.

Marysia była w ładnym błękitnym płaszczyku, bardzo wąskim w ramionach i szerokim u dołu. Wyglądała w nim jak duży dzwoneczek.

– Napisze pan do mnie, prawda? Napisze pan z podróży? Nie zgubił pan mego adresu? – dopytywała się. Nagle szepnęła mi do ucha: – A swoją drogą złotem warto się jednak zainteresować.

– Pani ciągle swoje! – krzyknąłem.

Spuściła głowę. Zrobiło mi się jej żal. Powiedziałem, serdecznie ściskając jej rękę:

– Napiszę. Będę często pisał. Pamiętam, ile dobrego uczyniła pani dla Albazina.

Robertowi rzekłem na stronie:

– Zapewne obaj nie dość mocno kochaliśmy Kamilę. Prawdziwa miłość nie liczy się z przyjaźnią.

Celnicy nawet nie zajrzeli do mych walizek. Kraj zegnał mnie bez podejrzliwości.

Nad lotniskiem rozciągało się jasne, bezchmurne niebo. Było południe, 4 października. Wielki IŁ srebrzył się w słońcu. Nerwowo dotykałem dłonią lewej strony swych piersi, wyczuwając w kieszeni marynarki twardą okładkę paszportu i podłużną książeczkę z biletami. Wchodząc na żelazny pomost, prowadzący w otwarte drzwi samolotu, obejrzałem się za siebie. Za drucianym parkanem, ogradzającym betonową powierzchnię lotniska, ujrzałem niską, korpulentną postać Roberta i błękitny płaszcz Marysi. Potem nie mogłem już ich widzieć, zająłem bowiem miejsce po drugiej stronie samolotu.

Przede mną usiadła śliczna, opalona dziewczyna z czarnymi włosami rozrzuconymi na ramionach. Obok niej tkwił sztywno siwy, przystojny i bardzo elegancki pan. Dziewczyna nachyliła się do jego ucha i coś mówiła. On roześmiał się i odpowiedział:

– C'est la question, ma tres chere demoiselle...<sup>6</sup>

Potałem palcami czoło starając się przypomnieć sobie, skąd znałem to zdanie. Uśmiechnąłem się – przecież to tymi słowami zaczynają się „Buddenbrookowie” Tomasza Manna.

Zawarczały motory samolotu. IŁ zadrzał leciutko.

<sup>6</sup> C'est la question, ma tres chere demoiselle (fran.) – to pytanie, moja droga panienko.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

**W DRODZE DO MOSKWY • ZAŻYWNY DYREKTOR • WIEŻA BABEL •  
WIERCHOWIEŃSKI CZY KAPITAN LEBIADKIN • „SREBRNY KUBEK” •  
POJARKOW, CHABAROW CZY POLAK-PUŁKOWNIK • SPACER NA  
GORKIEGO • ARSENIJEW I KAMIENNE ŻÓŁWIE • MICKIEWICZ I  
CHAŁWA • BLOK I PSI PLACYK**

Lecieliśmy wysoko ponad chmurami. Przypomni mi się widziany na zdjęciu pejzaż Arktyki: ogromne białe pola, tu i ówdzie łańcuchy postrzępionych gór, białe rumowiska lodu, stożki, wielkie kratery, zapadliska i wąwozy. Niekiedy samolot obniżał swój lot, a wówczas wydawało mi się, że wypadnie nam lądować na tej bezkresnej białej płaszczyźnie. Już prawie dotykał skrzydłami białych wzgórz za chwilę rozbije się ze straszliwym hukiem! Lecz jeszcze sekunda i skrzydła, jak długie noże, poczynają krajać białą watę, okrągłe okienka toną w bieli.

Odlot z Warszawy nastąpił o 12.45, a oto na skrzydłach samolotu załśnił czerwony blask zachodzącego słońca. Biała podłoga chmur nagle rozstała się pod nami, zobaczyłem rdzawą równinę Białorusi, przelecieliśmy nad krętym pasczkiem jakiejś rzeki – posunąłem zegarek o dwie godziny.

Lecieliśmy długo, od czasu do czasu zapadając się miękko i przyjemnie. Nie smakowały mi kanapki z wędzonym łososiem, zaś kanapki z czarnym kawiosem za bardzo pachniały tranem. Zrezygnowałem z malutkiej szklaneczki wódki, którą częstowała nas nieładna, lecz miła stewardessa.

„Buddenbrookowie” spali w miękkich fotelach, spał także mój sąsiad, zażywny jegomość z wielkopańskimi gestami i upierścienionymi palcami. Brałem go za przemytnika waluty, a okazał się dyrektorem departamentu jakiegoś naszego ministerstwa.

Samolot huczał monotennie, za oknami niebo pociemniało, jakby pokrywając się sadzą. Lecieliśmy w zmierzchu, we wczesny jesienny zmierzch. Niedługo już powinna być Moskwa.

Zbudził się mój sąsiad i spojrzawszy na swój złoty zegarek oświadczył:

– Za dwadzieścia minut zaczniemy lądowanie.

Potem, zapewne nudząc się, począł mnie wypytywać, dokąd i po co jadę. Odpowiedziałem mu bardzo szczerze. Wzruszył ramionami, roześmiał się. A potem niegrzecznie stuknął się palcem w czoło. Obiecałem sobie już nigdy nikomu nie opowiadać o prawdziwym celu podróży. Zażywny jegomość chyba nie zdał sobie sprawy, jak bardzo jestem zagniewany, bo próbował kontynuować rozmowę.

– A Moskwę pan zna? Może znajdę chwilę czasu, to któregoś dnia oprowadzę pana.

Podziękowałem. Znałem Moskwę. Spędziłem w niej kiedyś prawie pół roku.

Obudzili się także „Buddenbrookowie”. „Demoiselle” odwinęła ze sreberka wielką czekoladę i poczęstowała nią najpierw swego sąsiada, pięknego siwego pana, potem mego zażywnego dyrektora departamentu, a wreszcie i mnie. Zażywny dyrektor uznał to za próbę nawiązania bliższych stosunków i począł rozmawiać z dziewczyną. Jego francuszczyzna była chyba bardzo licha, bo zaproponowała, żeby przeszli na język rosyjski. Teraz i ja mogłem się odezwać.

Zapytałem, czy udają się tylko do Moskwy, czy gdzieś dalej i czy w Moskwie zatrzymają się dłużej. Odpowiedziała, że w Moskwie będą tylko dwa dni, a potem lecą do Taszkientu. Gazety informowały, że w Taszkencie ma się rozpocząć konferencja pisarzy Afryki i Azji, pomyślałem więc – ów siwy pan jest prawdopodobnie dziennikarzem, a „Demoiselle” jego córką lub sekretarką.

Przy wejściu do kabiny pilota zapaliło się czerwone światełko, stewardessa kazała zapiąć pasy. Szliśmy do lądowania. W uszach poczułem silny ucisk, stewardesa rozdawała cukierki...

Z dworca lotniczego we Wnukowie jest do Moskwy szmat drogi. Ale na dworcu znajduje się kantor wymiany pieniędzy, zrealizowałem jeden ze swych czeków i zaopatrzone w gotówkę, dźwigając dwie walizy, wytoczyłem się przed dworzec w poszukiwaniu jakiegoś pojazdu, który zawiózłby mnie do któregoś z moskiewskich hoteli.

Była już noc, na rozświetlonym latarniami podjeździe stały dziesiątki taksówek i służbowych limuzyn. Wiedziałem, że jechać samemu taksówką znaczyło wydać dużo pieniędzy. Aby to taniej wypadło, rozejrzałem się za chętnymi do drogi współpasażerami. Chętnych jednak nie było. Na „Buddenbrooków” czekała wielka limuzyna z francuskiej ambasady, a po zażywnego dyrektora przyjechał ZIM z jakiejś instytucji. Moja niechęć do dyrektora była większa niż moje skąpstwo; nie zdecydowałem się poprosić, aby zabrał mnie z sobą do centrum Moskwy.

Nagle pośród odjeżdżających limuzyn dostrzegłem auto z białą-czerwoną chorągiewką na błotniku. Auto było puste – kiwnąłem na nie ręką. Szofer zatrzymał się, otworzył drzwiczki. Czekał na kogoś, ten ktoś nie przyjechał. Zgodził się podwieźć mnie do miasta.

Samochód z białą-czerwoną chorągiewką, gadatliwy kierowca mówiący nieco w stylu wiechowskich bohaterów – były jeszcze kawałkiem Polski. Czarne ściany niewielkich lasów po obydwu stronach drogi, potem zaś rosnąca w oczach łuna wielkiego miasta –

przypominały podwarszawskie szosy. Wkrótce jednak, gdy wjechaliśmy w ogromną arterię Prospektu Lenina, obudowaną nowymi blokami, gdy jezdnie wypełniły charakterystyczne rosyjskie autobusy, wiedziałem już na pewno, że jestem w Moskwie.

Na pytanie o cel przyjazdu odpowiedziałem wykrętnie, pomny gorzkiego doświadczenia z dyrektorem departamentu. A ponieważ nie bardzo udają mi się kłamstwa, kierowca ambasady wziął mnie za jakąś osobistość i zajechał przed ogromny wieżowiec hotelu „Ukraina”.

– Myśle – rzekł – że tu będzie panu najwygodniej.

Napiwku nie chciał przyjąć. Do końca pragnął pozostać w stylu rodaka-dżentelmena.

Trzydziestopiętrowy hotel „Ukraina” przypomina bardzo nasz Pałac Kultury i Nauki. Mieści się on na Dorogomiłowskim Nabrzeżu, tuż przy rzece Moskwie, która czyni tu gwałtowny zakręt. Właśnie na tym zakręcie znajduje się hotel, z kompleksem wysokich, zabudowanych w prostokąt bloków mieszkalnych. Westybul hotelu jest wielki jak katedra, pełen kiosków, szatni, przejść do biur podróży i restauracji. Sześć wind szybkobieżnych zabiera z westybulu i wiezie do góry dziesiątki ludzi. Jest ten hotel jak wielkie miasto, a nasuwa porównanie z biblijną wieżą Babel.

Po gładkiej, lśniącej posadzce suną od windy piękne kobiety w egzotycznych strojach Afganistanu, Indii, Sudanu, Egiptu. Widać twarze czarne, brązowe, żółte, sine. Niektóre z tych kobiet są tak piękne, że już sam ich widok sprawia ogromną radość, zachwyca mnie ich powolny, łagodny chód – przypominają kolorowe ryby pływające w oświetlonym akwarium. W ich wielkich oczach jest jakby senność, omdłałość i ogromne ciepło.

W kąciku westybulu w miękkich fotelach siadło kilku Hindusów w białych spodniach, czarnych tużurkach i białych turbanach. Tuż obok dwóch Chińczyków wymieniało niskie ukłony. Pośpiesznym, nieco nonszalanckim krokiem wędrowali przez westybul młodzi, przystojni Anglicy. Przy stoliku z telefonem przykucnął na fotelu maleńki jak dziecko Japończyk. Głośno śmieją się trzy Szwedki o jasnych włosach i wielkich, końskich zębach, drobiąc kroki idą przez salę czterej mieszkańcy Kambodży w swoich oryginalnych ubraniach.

Zagubiony w tym różnorodnym, barwnym tłumie wdychałem przedziwne zapachy egzotycznych perfum, których woń była niekiedy tak mocna, że aż przyprawiała o zawrót głowy. Mieszały się z sobą najróżniejsze zapachy papierosów z przeróżnych krajów i przeróżnych tytoniów – i to skrzyżowanie tworzyło woń upajającą, szczególną i niepowtarzalną.

Przesuwał się obok mnie tłum ludzki chyba ze wszystkich stron świata, w uszach dźwięczały zgłoski i słowa nieznanymi mi zupełnie języków, portierzy wieźli na malutkich wózkach skórzane walizki, oblepione barwnymi nalepkami najróżniejszych hoteli świata. Jednemu z portierów towarzyszył do windy mój nowy znajomy z samolotu, zażywny dyrektor.

Położyłem swój paszport na barierce recepcji. Zanim urzędniczka zdążyła wypełnić formalności związane z przydzieleniem mi pokoju, ktoś trącił mnie łokciem. Znajomy! Młody krytyk radziecki, którego poznałem dwa lata temu, podczas jego dwutygodniowego pobytu w Polsce.

– Do Taszkientu? – zapytał.

Przecząco pokręciłem głową.

– Do Ałbazina – odrzekłem. Zamyślił się.

– Ałbazin? Ałbazin? – zastanawiał się głośno. Wreszcie machnął ręką, nie mogąc odnaleźć w pamięci miejscowości o tej nazwie. Zapewniwszy mnie, że jeszcze dziś odwiedzi mnie w hotelowym pokoju, pobiegł do windy. Z ramienia Związku Pisarzy rozmieszczał w hotelu zagranicznych literatów, przybywających na konferencję w Taszkencie.

Za chwilę i ja także powędrowałem do windy, eskortowany przez portiera niosącego moje walizki. Otrzymałem pokój na ósmym piętrze. Pokój był bardzo miły, przytulny – z biurkiem, telefonem, dywanem i łazienką. Okna pokoju wychodziły jednak nie na rzekę, lecz na ogromne wyasfaltowane podwórze, leżące w kwadracie ścian hotelu i przylegających do niego bloków mieszkalnych.

Usiadłem w fotelu, zapaliłem papierosa i poczułem, że jestem zmęczony.

O dziesiątej na biurku odezwał się telefon. Dzwonił mój znajomy, krytyk Siergiej. Przepraszał, że w tej chwili jeszcze nie może przyjść, że odwiedzi mnie za godzinę. Przyniesie mi jednak coś, co powinno mnie zainteresować.

– Nie wiem dokładnie, gdzie jest ten Ałbazin – mówił – lecz dostarczę ci poemat o Ałbazinie. Interesuje cię to, prawda?

O jedenastej zjawił się Siergiej. Był zmęczony, zziębnięty – coraz nowi goście przybywali na konferencję, a Siergiej, jako dobry gospodarz, każdego z przybyłych pisarzy odprowadzał aż do jego pokoju, aby stwierdzić własnymi oczami, czy gościowi zapewniono wszelkie wygody. W międzyczasie skoczył jednak do domu, bo przypomniał sobie, że w swej bibliotece posiada poemat o Ałbazinie. Był zgrzany i zmęczony, poprosił więc, żebym zamknął okno – dopiero niedawno zaleczył gruźlicę i lęka się zaziębienia.

Cierpliwie wysłuchał zawiłej historii tajemniczej warowni. Okazało się, że znał doskonale Daleki Wschód – jako początkujący dziennikarz pracował dwa lata w Chabarowsku. O Ałbazinie nigdy jednak nie słyszał.

– Ale nie martw się, bracie – zapewniał mnie – skoro Komarow napisał poemat o Ałbazinie, na pewno istnieje taka miejscowość i uda ci się do niej dotrzeć.

Siergiej był wysoki, szczupły, czarnowłosy, o głęboko osadzonych, ciemnych oczach. Tak właśnie wyobrażałem sobie Raskolnikowa<sup>7</sup>, siebie zaś chętnie kojarzyłem z Wierchowieńskim, choć Siergiej, który bardzo wnikliwie studiował twórczość Dostojewskiego, lubił nazywać mnie kapitanem Lebiadkinem.

<sup>7</sup> Raskolnikow – postać literacka, bohater powieści F. Dostojewskiego Zbrodnia i kara.



Pogawędziliśmy o Polsce, o Dalekim Wschodzie, gdzie Siergiej już bywał, a ja dopiero miałem pojechać. Przegadaliśmy do dwunastej w nocy. Potem Siergiej poszedł do domu, pozostawiwszy mi poemat Komarowa. Umówił się ze mną na następny dzień. Akurat wypadła niedziela, obiecał odwiedzić mnie wraz z żoną, mieliśmy pójść na spacer po Moskwie.

Ze wzruszeniem przeglądałem stronicę zadrukowane strofami poematu. Był ten poemat jakby nowym znakiem, otrzymanym od dalekiego, nieznanego mi jeszcze Ałbazina. Cóż rzekłby Robert, gdyby wiedział, że Ałbazin ma swoją poezję?

Poemat nosi tytuł „Srebrny kubek”, a w podtytule napisano „amurska legenda”. Stworzył go w 1943 roku Piotr Stepanowicz Komarow, niedawno zmarły, najzdolniejszy chyba rosyjski poeta Dalekiego Wschodu – piewca tajg, rzek, gór, przepaści i ludzi, którzy, walcząc w bardzo trudnych warunkach, zbudowali ogromne miasta: Komsomolsk, Magadan, Aretm, Ocha i wiele innych.

„Srebrny kubek” posiada dość archaiczną metrykę<sup>8</sup> i sposób obrazowania. Ale może ta staroświecka forma najbardziej odpowiada treści starej, amurskiej legendy?

...Do rosyjskich żołnierzy w stancy pogranicznej nad Amurem przychodzi starzec, potomek ałbazińskich Kozaków. Wręcza im srebrny kubek i opowiada jego historię. Jest to historia pierwszych wypraw rosyjskich nad Amur. W roku 1643 Kozak Wasilij Pojarkow z rozkazu wojewody Jakucka przywiódł tam oddział sybirskich Kozaków. Przedarłszy się nad Amur, Pojarkow srebrnym kubkiem napił się amurskiej wody, przez ten symboliczny gest biorąc Amur we władanie Rosji.

Potem w miejscu, gdzie ongiś Pojarkow pił wodę Amuru srebrnym kubkiem, zjawił się inny Kozak, Jerofiej Chabarow – słynny odkrywca Dalekiego Wschodu – i zbudował twierdzę w miejscu gródka daurskiego kniazia Ałbazy. Od imienia kniazia Ałbazy wzięła chyba nazwę i twierdza – Ałbazin.

Rozpoczęły się nad Amurem krwawe starcia Kozaków z mandużurskimi wojskami. Z rąk do rąk przechodził srebrny kubek Pojarkowa, przekazywały go sobie pokolenia sybirskich Kozaków, w coraz nowych wyprawach docierających nad Amur. I teraz oto starzec, potomek ałbazińskich Kozaków, wręcza srebrny kubek nowemu pokoleniu, żołnierzom czuwającym nad bezpieczeństwem nadamurskich krain.

W wierszu Komarowa znalazłem kilka strof, które wydawały mi się ładne. Opisywały one piękno i dzikość wielkiej, niezgłębionej – jak ją nazywano – Czarnej Rzeki. Opowiadał poeta, jak huczy i jęczy Amur przedzierający się przez wąwozy gór Chinganu, opiewał brzegi rzeki usiane pagórkami mogił, gdzie spoczywają kości pierwszych zdobywców tych krain.

Czy wśród zapomnianych mogił nadamurskich znajduje się grób tajemniczego Polaka-pułkownika, który zbudował w Ałbazinie warownię i otrzymywał od Chińczyków listy pisane po polsku?

<sup>8</sup> Metryka (z łac.) – miara wiersza, czyli układ regularnie występujących zespołów głosek, akcentów, rymów.

*Ściśnięty w parowach i huczy, i mknie  
Zły Amur wśród zębów Chingana.  
Choć dziady już w grobie, ich sława zza mgieł  
Powstaje jak słońce co rano...*

Przeszłość była zasnuta mgłą. Lecz chyba miał rację poeta: z tej mgły wyłaniały się powoli zarysy dawnych postaci.

Czy uda mi się wśród nich dostrzec zagadkowego Polaka?

Przeszłość była naprawdę zasnuta mgłą. Dla mnie stała się jeszcze bardziej tajemnicza po zapoznaniu się ze „Srebrnym kubkiem”.

Jakże zastanawiające były bowiem dwie strofy wiersza Komarowa:

*Lecz tam, gdzie Pojarkow z watahą swą gnał  
Łodziami przez fale i burze,  
Jerofiej Chabarow, ten Kozak na schwał,  
Już płynie po rączym Amurze.  
Tam, gdzie Albazowi znosili co rok  
Z tajg dary Daurzy półdzicy,  
Zbudował fortecę – i słuch to, i wzrok  
Patrzącej w dal ruskiej ziemiicy.*

Przecież twierdzą albazińską – wedle relacji *Sybirskiego Wiestnika* – zbudować miał Polak-pułkownik?

„Przewędrowawszy wiele dni na rzece, zbudowali albazińską warownię” – pisał *Sybirskij Wiestnik*.

– Komarów nie był historykiem, tylko poetą, mógł się pomylić – zwierzałem się ze swych trosk Siergiejowi.

– No, ty także nie jesteś historykiem – zauważył. – Twoje wiadomości o tym dziwnym Polaku są skąpe. Masz zupełny chaos w głowie.

Przytaknąłem. Miał rację. Ale cóż z tego? Czy urok poszukiwania nie leżał właśnie w tym, że natrafiłem na taki chaos tropów?

Spacerowaliśmy w trójkę: Siergiej, jego żona i ja, po ulicy Gorkiego. Było południe, dzień piękny, słoneczny, ciepły, jakby nie październikowy. Drzewa poczynały się już złocić, ale przelewający się przez ulice tłum moskwiczan jakby nie rozstał się jeszcze z latem – tylko nieliczni (wśród nich i ja) spacerowali w płaszczach.

– Niech cię nie zwodzi ta ciepła pogoda – przestrzegął Siergiej.

– W Chabarowsku jesień trwa dość długo. Lecz jeśli przyjdzie ci wędrować w górę Amuru, możesz spotkać się z surową zimą. Czy masz futro?

Nie miałem futra, a tylko modny, króciutki płaszcz z lodenu. Płaszcz był na watinie, nie mógł jednak wystarczyć na syberyjskie mrozy. Zdawałem sobie z tego sprawę, łudziłem się jednak, że mimo wszystko dotrę chyba do Ałbazinga przed nastaniem zimy. W Moskwie jednak musiałem jeszcze pomieszkać czas jakiś. Dopóki w Bibliotece im. Lenina nie dotrę do wszystkich materiałów o tajemniczym Polaku i jego warowni...

Nie ruszę się z Moskwy, zanim moje wiadomości o Ałbazingu nie będą pełne i systematyczne – postanowiłem.

W sklepiku na Gorkiego kupiłem dwie piękne fajki z korzenia wrzosu. Potem poszliśmy na czarną kawę do hotelu „Metropol”, gdzie znajdował się duży, włoski ekspres do kawy.

– Czy w dalszym ciągu interesujesz się archeologią? – rozpytywał mnie Siergiej. – I skarbów też poszukujesz?

Uśmiechnąłem się. Żona Siergieja parsknęła śmiechem. Ale nie było w tym śmiechu nic obraźliwego. Ja sam lubiłem pokpiwać ze swoich „koników” i pasji.

– W Chabarowsku pamiętaj odwiedzić muzeum. Tuż przy wejściu do niego zobaczysz wielkie, kamienne żółwie. Są one bardzo stare i zaręczam ci, kryją niejedną zagadkę. Słyszałeś o Arsenjewie? Czytałeś może jego prace?

– Niestety

– Ach, Arsenjew, cóż to za wspaniała postać – zachwycał się Siergiej. – Swego czasu był żołnierzem carskim i, jeśli się nie mylę, przez pewien czas służył w Warszawie. Później przerzucono go do Władywostoku. Zainteresowały go okolice rzeki Ussuri, Amura i Przymorza. Począł zwiedzać ten kraj i opisywać go. Stał się podróżnikiem, geografem, etnografem, archeologiem. To jemu muzeum chabarowskie zawdzięcza większość swych zbiorów. W Chabarowsku wydano pięć tomów zebranych prac Arsenjewa. Są to kapitalne rozprawy o Dalekim Wschodzie, jego ludziach, ich obyczajach, o życiu zwierząt, klimacie, przyrodzie. Przez pewien czas niektórzy uczeni-fachowcy trochę krzywo patrzyli na prace Arsenjewa, bo przecież to był tylko naukowiec-amator. Radzę ci jednak, jeśli chcesz poznać Daleki Wschód, zacząć od dzieł Arsenjewa. I jemu bardziej ufaj niż wszelkim mędrkom-profesorom. Bo Arsenjew najlepiej poznał te okolice

– Czytałem w dzieciństwie *Dersu Uzala* Arsenjewa – przypomniałem sobie. Bardzo piękna książka.

– Arsenjew był także doskonałym pisarzem. Pamiętasz scenę tragicznej śmierci myśliwego Dersu, zranionego przez ussuryjskiego tygrysa? Uważaj, żebyś nie zabłądził między tygrysy

– Pragnę sprowadzić lwa. Prawdziwego.

...Na obiad poszliśmy do restauracji „Baku”. Potem, odprowadzając Siergieja i jego żonę do stacji metra na placu Rewolucji, zatrzymaliśmy się na chwilę przed Gastronomem nr 1, na Gorkiego, naprzeciw ulicy Stankiewicza. Wewnątrz Gastronomu pyszniły się kapiące od ozdób dekoracje ścian, na ladach sklepowych rzucały się w oczy duże, zielonkawe ananasy i

ogromne kiście winogron, skrzyły się różnymi kolorami rżnięte butelki gruzińskich win i erewańskich koniaków. Z zewnątrz dom, w którym mieścił się Gastronom, wyglądał bardziej nobliwie, skromnie, choć staroświecko.

W drzwiach Gastronomu zaczepił Siergieja młody mężczyzna w rozpiętej pod szyją koszuli i w marynarce niedbale zarzuconej na ramiona.

– Siergiej, czy w Gastronomie jest chałwa? Muszę koniecznie kupić chałwy.

Później Siergiej szepnął mi na ucho:

– To jeden z naszych młodych poetów.

Przypomniałem Siergiejowi, że dom, gdzie mieści się Gastronom nr 1, należał ongiś do słynnej Zenaidy Wołkońskiej<sup>9</sup>, na piętrze był „grecki pokój” opisany przez Mickiewicza. W salonach Wołkońskiej improwizowali swoje wiersze Puszkina i Mickiewicza.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Wśród ścian i murów, które być może słyszały nabrzmiałe wzruszeniem głosu Puszkina i Mickiewicza, pchamy się po winogrona i ananasy, młody poeta kupuje chałwę...

Pożegnałem Siergieja i jego żonę. W otwartej mimo niedzieli księgarni nabyłem, przypadkowo leżący na ladzie, tomik wierszy Błoka i powędrowałem na samotny spacer po Moskwie.

W czasie tych kilku lat dzielących mnie od pierwszego pobytu w Moskwie miasto to wypiękniało, wzbogaciło się o nowe domy, nowe dzielnice, nowe ogromne arterie komunikacyjne. Kiedyś raził mnie tu brak własnego stylu, indywidualnego piętna, jakie posiada każde wielkie miasto europejskie. Moskwa wydała mi się jakby wielkim hotelem: co trzeci napotkany na ulicy przechodzień okazywał się kimś przyjezdnym. Teraz jednak dostrzegłem w mieście coś nowego, coś swoistego, czego nie widziałem nigdzie indziej. Może to był kształt wielkich bram na Gorkiego? Może sylwetka Kremla, a może łatwość, z jaką przechodziło się od szerokich ulic – oszłamiających ruchem tysięcy aut, przepychem wystaw sklepowych, wielkością domów mieszkalnych – do tuż za rogiem drzemiących cichych uliczek, pełnych żółtych, sennych domków?

Znalazłem się nagle na trójkątnym skwerku między dwiema uliczkami. Otaczały skwerek malutkie domki, ulicą z rzadka, cicho i powoli przesuwały się auta. Rosło tu kilka drzewek i stały trzy ławeczki. Gdzieś obok, o kilka przecznic, gwałtownie tętniło życie stolicy ogromnego kraju, a tutaj była jakby urocza kraina snu, rezerwat ciszy i bezruchu. Na skwerku dostrzegłem resztki jakiegoś pomnika, z którego pozostała tylko podstawa, spocząłem na ławce obok siwego staruszka i młodej kobiety. Otworzyłem książkę i zatopiłem się w pięknych wierszach Błoka, nie dostrzegając, jak powolutku przysypuje nas szarość zmierzchu.

Z kart książki wychodziła mi naprzeciw Rosja Błoka, pełna seledynów – jak pisał Majakowski – przesycona barwami niebieską, szarą i złotą, jak blask świec, który przenika

<sup>9</sup> Księżna Zenaida Wołkońska (1792-1866) – poetka, śpiewaczka, kom-pozytorka; w jej moskiewskim salonie literackim bywali najwybitniejsi ówczesni twórcy.

mrok w starych wiejskich cerkiewkach, jak ów ciemnozłoty kolor szat aniołów w poczerniałych od starości ikonach. Pachniało więdnącymi listkami, strząsanymi przez drzewa na skwerku. Tu jesienny zapach i niebieskawość zmierzchu przydawały prawdy melodyjnym słowom Błoka. Czytałem o „Pięknej Damie”, o jej jakby smutnym uroku, o miłości gorącej i rzewnej – i wyobraźnia moja szukała portretu kobiecego odpowiadającego tamtej „Pięknej Damie” i wzruszającym słowom poety.

Młoda kobieta na ławce miała dwa długie, czarne warkocze niedbale rzucone na plecy, na niebieskawą sukienkę. Głowę trzymała lekko pochyloną nad książką, może podobnie jak i ja czytała wiersze? Czasami odrywała wzrok od kart książki i śledziła wróble skaczące pośród leżących na trawie żółkłych liści. Twarz miała pociągłą, piękny nos i duże, ogromne oczy, które wydawały mi się bardzo smutne.

Dlaczego tak samotnie siedzi na ławce? Czemu nie poszła do kina, na zabawę, do kawiarni, na spacer w towarzystwie młodego jak ona mężczyzny? Czego szuka na maciupeńkim skwerku?

Obok niej siedział staruszek. Był drobniutki, twarz i ręce miał jakby ulepione z wosku, który tu i ówdzie trochę się roztopił. Zapewne kiedyś bardzo pyzate policzki, teraz zwieszały mu się workami zwiędłej skóry. Pod przymrużonymi powiekami przesuwaly się obrazy z przeszłości, czasem staruszek kiwał głową potakując swym myślom, to znów uśmiechnął się do siebie. W pewnej chwili aż zatrzęsł się od chichotu. Kolnął mnie w bok suchym i ostrym łokciem.

– Hi, hi, znaliście może, obywatelu, Antona Iwanowicza Kuriazkina? Hi, hi, hi, cóż to był za wesoły człowiek, powiadam wam, boki można było zrywać.

Nagle staruszek posmutniał. Zapewne nawiedziły go teraz jakieś niewesołe wspomnienia. Drobniutkimi, bladymi wargami mełł niezrozumiałe słowa, a w końcu przymknął oczy i zadrzemał.

Zapadł zmierzch. Zrobiło się chłodno. Młoda kobieta potrząsnęła warkoczami, zamknęła książkę, a wówczas zobaczyłem jej piękne, kształtne dłonie o długich palcach pianistki. Podniosła się, obciągnęła suknię. I odeszła, wysoka, wyprostowana, z książką w ręku. Patrzyłem na powolne ruchy jej zgrabnych opalonych nóg. Zniknęła za najbliższym rogiem uliczki. Pochyliłem się nad książką, lecz wieczór zamazał kształty liter.

Wkrótce i ja opuściłem ławeczkę i drzemiącego na niej staruszka. Odchodząc rzuciłem okiem na szyldzik na rogu ulicy: „Sobaczja Płoszczadka”. Psi Placyk – tak nazywał się uroczy skwerek. Skądś znałem już tę śmieszna nazwę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

**CZEKAM NA KSIĘCIA BOŁKOŃSKIEGO • PIERWSZE INFORMACJE O  
AŁBAZINIE • NICEFOR CZERNICHOWSKI • ZNOWU NA PSIM  
PLACYKU • LISTY BOULAINA • BOULAIN WYRUSZA PO ZŁOTE RUNO •  
WIDMO ZZA GROBU • LEGENDA O CZINIE • ZŁOTE POSĄGI •  
MIŁOSNE NIEPOWODZENIA**

Nazajutrz zbudziłem się bardzo wcześnie i napisałem kilka listów: do Kamili, do Roberta, do Marysi, do redakcji.

Śniadanie zjadłem w bufecie hotelowym i spacerkiem pomaszerowałem na ulicę Worowskiego 52, gdzie w żółtym, cofniętym w głąb pałacyku mieści się Zagraniczna Komisja Związku Pisarzy Rosji. Z dziwnym uczuciem przekraczałem bramę pałacu. Ze środka dużego klombu patrzył z pomnika Lew Tołstoj. To tutaj – podobno – mieszkała jedna z bohaterek *Wojny i pokoju*, prześliczna Natasza Rostowa. Opis pałacu Rostowów w powieści Tołstoja zgodny jest z wyglądem pałacyku stojącego przy Worowskiego.

Na klombie kwitły żółte, jesienne astry. Stąpałem wolniutko betonową alejką, jakby czekając, że jeszcze chwila, a pod żółty pałac zajedzie bogaty powóz i zobaczę smukłą, elegancką sylwetkę księcia Bołkońskiego. Nigdy nie przestanę wierzyć, że ci ludzie istnieli kiedyś naprawdę, że ich losy, ich troski i miłości były czymś rzeczywistym, a nie imaginacją wielkiego pisarza. Gdybym choć na chwilę przestał wierzyć – książka straciłaby dla mnie przynajmniej połowę swego uroku. Nie lubię książek, o których wiem, że zrodziła je fikcja autorska; stokroć wolę najnudniejsze pamiętniki od najbardziej sensacyjnych utworów, w których postacie i ich dzieje nie noszą choćby pozorów autentyczności. „Nie ma pan zaufania do wyobraźni, jest pan staroświecki” – powiedział o mnie pewien autor.

Może źle czyniłem wczoraj w kawiarni i restauracji hotelu „Metropol” szukając śladów gabinetu, gdzie odbywała się „szatańska msza”, w której uczestniczyła Dasza i Mamont Dalski?<sup>10</sup> Może nie wolno odbywać podobnych konfrontacji? Pod żółty pałacyk na

<sup>10</sup> Dasza, Mamont Dalski – postacie z powieści Aleksego Tołstoja *Droga przez mękę*.

Worowskiego nigdy już przecież nie zajedzie powóz zaprzężony w konie. Koń to zjawisko niespotykane na ulicach Moskwy.

Przed pałacykiem Rostowów bezszelestnie zatrzymały się dwie czarne limuzyny. I to jedyna prawda. Innej nie należało oczekiwać. Lecz czy moja dziwaczna podróż do miejsca, gdzie tajemniczy pułkownik wznosił ściany warowni, nie jest czymś podobnym do oczekiwania na powóz z księciem Bołkońskim?

Z Worowskiego pojechałem taksówką do gmachu Ministerstwa Kultury. Na wszelki wypadek chciałem zdobyć tam protekcję do Biblioteki im. Lenina, żebym mógł korzystać nie tylko z książek, ale i z fachowej pomocy bibliotekarzy.

Protekcja ta bardzo mi się przydała. Jeszcze tego samego dnia miła pracownica biblioteki dopomogła mi sporządzić spis interesujących mnie książek.

Pierwszego dnia pracy w Bibliotece im. Lenina niewiele miałem czasu na czytanie. Mimo to zrobiłem maleńki krok naprzód. Zacząłem swe studia nad Ałbazinem od Sybirskiej sowieckiej encyklopedii. Zapragnąłem nareszcie być systematyczny.

*...Ałbazin – rosyjski grodek XVII wieku, zbudowany na lewym brzegu rzeki Amur, w miejscu gródka daurskiego kniazia Albazy, zniszczonego w 1650 roku podczas pierwszej ekspedycji Jerofieja Chabarowa. W 1665 roku na gruzach albazińskiego gródka zbudowano nowe umocnienia. Okolice nowo powstałego grodu, posiadające doskonale warunki dla rozwoju rolnictwa, zostały w szybkim tempie zasiedlone przez rolników. Zbójce najścia Kozaków z Albazina na tubylców zamieszkujących brzegi Amuru i będących wasalami Chin spowodowały ze strony Chin wojenne ekspedycje na Ałbazin. W czerwcu 1685 roku po wytrwałym i długim oblężeniu przez 10-tysięczną armię chińską garnizon broniący grodu zmuszony został do poddania swojej warowni...*

A na rok przed poddaniem warowni, w marcu 1684 roku, Chińczycy napisali po polsku list do mieszkańców Ałbazina.

„W 1665 roku na gruzach albazińskiego gródka zbudowano nowe umocnienia” – było napisane w Sybirskiej encyklopedii. Odbudowa nastąpiła w piętnaście lat po pierwszej wyprawie Chabarowa i zapewne dokonała się ona za przyczyną Polaka-pułkownika.

Sięgnąłem po następną książkę. Był to W. K. Andriejewicza *Krótki zarys historii Kraju Zabajkalskiego od czasów dawnych do 1762 roku*, wydany w Petersburgu w 1887 roku. Czulem się już trochę zmęczony i powoli kartkowałem tę książkę, poszukując słowa Ałbazin. Na 40 stronicy rzucił mi się w oczy znajomy wyraz.

*Za czasów Arszyńskiego Nicefor Czernichowski, zawładnąwszy Albazinem, zaczął posyłać jasad<sup>11</sup> do Nerczyńska.*

Obok nazwiska Nicefora Czernichowskiego widniała gwiazdka i odnośnik: „Patrz przypis 6 na końcu książki”.

Sięgnąłem do przypisu. A tam wyczytałem:

*Nicefor Czernichowski był Polakiem. Za co znalazł się na zsyłce, nie wiadomo. Mieszkał w Ust-Kutskiej warowni i był nadzorcą warzelni soli. W 1665 roku do warowni tej przybył wojewoda ilimski, Ławrentij Obuchów, któremu bardzo spodobała się żona Czernichowskiego i zabrał ją do Ilimska. Czernichowski postanowił zemścić się: zebrawszy towarzyszy napadł na wojewodę, zabił go i rozgromił służbę, zagrabił majątek wojewody i państwowy, a potem zebrawszy bandę odpowiednich ludzi ruszył nad Amur. Doszedłszy do miejsca, gdzie znajdował się Albazin zrujnowany przez Chińczyków, zbudował drewnianą twierdzę i począł zbierać daninę od Tunguzów.*

Nicefor Czernichowski. Wszystkie wymienione u Andrijewicza szczegóły o jego postępkach odpowiadają postaci anonimowego Polaka-pułkownika. Była to więc jedna i ta sama osoba.

Na stolikach czytelnicy zapalono żółtawe lampki. Nadchodził wieczór. Nagle uświadomiłem sobie, że jeszcze nie jadłem obiadu. Pozbierałem książki i notatki. Książki oddałem dyżurnej bibliotekarce i wyszedłem na ulicę Kalinina.

Ruszyłem powoli do przystanku autobusowego. Na plac Maneżny opadał zmierzch, w tle pogodnego, szarego nieba wieże Kremla rysowały się niewyraźnie jak szare cienie. Przypomniał mi się Psi Placyk, ławeczka, zapach wędnących liści i młoda kobieta o smutnych oczach, podobna do „Pięknej Damy”.

Czy przyszła tam dzisiaj? A może już opuściła ławkę, dotknięta chłodem wieczoru?

Wskoczyłem w przejeżdżającą taksówkę i po niedługim czasie, jak sztubak idący na swą pierwszą randkę, z bijącym sercem wkraczałem na skwerek. Oczywiście, nawet przed sobą samym nie przyznawałem się, że pragnę spotkania z młodą kobietą. Mówiłem sobie, że przecież tutaj, w jednym z tych malutkich domków na Psim Placyku, mieszkał ongiś Sergiusz Sobolewski<sup>12</sup>. Do niego przychodził z wizytą Adam Mickiewicz. Tutaj Puszkina czytał po raz

<sup>11</sup> *Jasad (turk.) – danina w postaci skór futrzanych.*

<sup>12</sup> Sergiusz Sobolewski (1803-1870) – Rosjanin, autor krótkich, dowcipnych wierszyków (epigramów), przyjaciel Puszkina.



pierwszy swego Borysa Godunowa. W tej zleżalej ciszy i mroku wieczornym może jeszcze uda mi się dosłyszeć odgłos kroków poety?

Zaszeleściły liście pod moimi butami. Młoda kobieta podniosła oczy znad książki i spojrzała na mnie niechętnie. Na ławce obok staruszka siedziała jakaś gruba niewiasta, ale staruszek zobaczywszy mnie posunął się nieco, robiąc mi miejsce.

– Ach to wy, którzy znaliście Antona Iwanowicza Kuriazkina! – powiedział wesołym, młodym głosem.

Roześmiałem się. Młoda kobieta wstała i odeszła. Tak jak wczoraj – powoli, wyprostowana, łagodnie kołysząc biodrami. Przy każdym ruchu jej głowy leżące na plecach warkocze drgały jak czarne, połyskujące węże.

– Nie, nie znałem Antona Iwanowicza Kuriazkina – obwieściłem ponuro.

Staruszek popatrzył na mnie ze zdziwieniem. Potem i on się roześmiał.

– No, jakże? To przecież było pięćdziesiąt lat temu.

Po kolacji pozostałem w hotelu. Zająłem się zabraną do Moskwy kopertą, otrzymaną kiedyś od Szulca. Zawartość jej przyniosła mi rozczarowanie. Znalazłem w niej tylko napisane przez Dudę podanie do władz o przydział papy na pokrycie dziurawego dachu leśniczówki i dwa listy. Podanie miało wielki kleks i dlatego chyba nie zostało doręczone władzom. Duda zapewne napisał je od nowa, a ten egzemplarz zachował być może jako wzór na przyszłość.

Listy nosiły nagłówek „Drogi Stanisławie Stanisławowiczu, szanowny nasz prezydencie Żółtugińskiej Republiki”. Napisano je po rosyjsku i wysłano z Moskwy.

Stanisław Stanisławowicz – to był pan Bełzak. Do niego zwracał się listownie Franciszek Boulain, zapewne zniszczony Francuz. W liście z dnia 11 kwietnia 1913 roku pisał:

*Drogi Stanisławie Stanisławowiczu, szanowny nasz prezydencie Żółtugińskiej Republiki!*

*W pierwszych słowach mego listu donoszę Ci, że jestem zdrów, lecz znowu znalazłem się w kłopotach pieniężnych. Być może stałem się zbyt rozrzutny, jako człowiek bardzo grzeszny i pełen nałogów. Mam długi, bom trochę przegrał w karcie. Nie śmiem jednak do Ciebie zwracać się o pożyczkę, bo już dwa razy byłeś tak dobry i poratowałeś mnie w potrzebie. Pożyczki zwrócę Ci, jak tylko dojdę do większej sumy pieniędzy, co przecież musi kiedyś nastąpić, pech nie będzie mnie chyba wiecznie prześladował.*

*Pracuję obecnie jako dozorca domu przy ulicy Arbat nr... Właścicielem jest niejaki pan Połowiecki, człek już czterdziestoletni, ale jeszcze pełen sił. Zgadaliśmy się z panem Połowieckim o moich dawnych losach. Opowiedziałem mu o naszym piasku w Ał. Wiem, że tyś teraz wielki bogacz, na nic ci już ten piaseczek. Połowiecki zgodził się wydać pieniądze na*

*podróż, jeśli z nim pojedę do Ał. wydostanę piasek i podzielę się z nim. Nie będziesz się chyba gniewał o to na mnie, bo przecież sam mi już kiedyś w liście radziłeś tak uczynić. Chodzi o to, że gdy chowaliśmy tę rzecz, była noc, a ja byłem chory i ledwo się na nogach trzymałem. Teraz nie bardzo pamiętam, gdzie tę rzecz zakopałeś. Napisz mi dokładnie, szkoda bowiem, żeby się tyle dobra marnowało, gdy ja, Twój przyjaciel i towarzysz, adiutant i obrońca, żyję w wielkiej nędzy i głodzie.*

*Pozdrawiam Cię serdecznie  
Franciszek Boulain*

Nietrudno było odgadnąć, że „Ał.” oznacza Ałbazin, a „piaseczek” – worek złotego piasku. Boulain wyszastał swoją część skarbu i teraz zwracał się do Bełzaka z prośbą o przypomnienie mu miejsca, w którym leżała ukryta reszta ich majątku.

Czy Bałzak dostarczył mu odpowiednich informacji?

Czy Boulain wraz z panem Połowieckim pojechał do Ałbazina?

Tak. Mówił o tym następny list, ten sam, który wzbudził strach w Bełzaku i kazał mu kupić strzelby.

W czerwcu 1914 roku pisał Boulain do Bełzaka:

*Tydzień byliśmy w tym przeklętym Ał. Nic nie znaleźliśmy i pan Połowiecki o mało nie zabił mnie ze złości. Cały miesiąc jechaliśmy do Ał., cały miesiąc wracaliśmy, i co za przekleństwo! Ani śladu naszego piasku! A przecież na własne oczy widziałem, jak go zakopywałeś. Tylko że miejsca nie pamiętam, a to, co mi napisałeś, drogi Stanisławie Stanisławowiczu, niczego mi nie wyjaśniło. Jestem znowu bez grosza, a na domiar złego mam coraz większe długi, bo pan Połowiecki obciążył mnie kosztami podróży. W Tobie tylko nadzieja, drogi Stanisławie Stanisławowiczu. Pomóż, jeśli masz Boga w sercu. Pomóż, pamiętając na naszą przyjaźń. Pomóż, dziękując mi za to, co Ci zaraz doniosę.*

*Cóż za przekleństwo! Gdy w Ał. kopaliśmy na brzegu szukając naszego piasku, zjawił się przed nami, jak widmo z grobu, Karl Szulc. Aż społem się ze strachu. Wylizal się z ran, znalazł przytułek u jakiegoś myśliwego w Ał. Napotkał nas i obudziło się w nim pragnienie zemsty. Pewnej nocy schwytał mnie samego nad rzeką i o mało nie udusił. Pytał o Ciebie, o Twój adres. Ratując swe życie zdradziłem mu wszystko. Wybacz mi, grzesznemu, ale nie mogłem inaczej zrobić. Kocham to swoje pechowe i nędzne życie. Karl wrócił z nami do Moskwy i właśnie wczoraj wyruszył do Polski, do Ciebie. Kiedy przyjedzie – nie wiem, bo nie miał na podróż pieniędzy i*

*wędruje do Polski jak ostatni włóczęga. Strzeż się go! On jest na Ciebie strasznie rozeźlony, a za to ostrzeżenie przyślij mi w podzięce trochę kopiejek*

I tak oto w lecie 1914 roku pojawił się przed Bełzakiem demon zemsty – Karol Szulc. Co stało się potem – wiemy. A właściwie, wiemy bardzo niewiele. Śmierć pana Bełzaka pozostawała bowiem zagadką.

Zapisałem w notesie dawny adres Franciszka Boulaina: Moskwa, ul. Arbat nr... Nie łudziłem się, że spotkam tam Franciszka Boulain; śmieszne byłoby przypuszczać, że jeszcze żyje. Nie żył już chyba także i pan Połowiecki, ale w jego dawnej kamienicy wiedzą może o kimś z rodziny. A nuż uzyskam jakieś interesujące szczegóły tej naprawdę dziwacznej historii?

Nie danym mi jednak było szybkie zrealizowanie mego zamiaru. Nazajutrz całutki dzień spędziłem w bibliotece, tropiąc ślady Nicefora Czernichowskiego. A wieczorem znów zawędrowałem na Psi Placyk.

Wieczór był ciepły, choć pochmurny. Powietrze przesyciła ciepła wilgoć, ławeczka stała pusta, na skwerku krzykliwie bawiły się dzieci. Złamany cokół małego pomnika obsiadły wróble, a na asfaltowej jezdni obok skwerku kilkanaście szarych gołębi niechętnie ustępowało miejsca przejeżdżającym samochodom.

Zamierzałem zawrócić do centrum miasta, lecz poczułem zmęczenie po całodziennym ślęczeniu w czytelnicy. Usiadłem na brzeżku ławki i zagapiłem się na gołębie. Sennie rozmyślałem o dziwnych kolejach losu, sprawiającego, że w niepamięci ludzkiej zatoneło nazwisko wielkiego obszarnika, rozpadł się jego wielki majątek, a przetrwał jeden wariacki gest: postawienie na moskiewskim placyku małego pomnika poświęconego pamięci psów, które zgorzały w jego psiarni. Majątki i bogactwa zmiotła wichura rewolucji, pozostał tylko Psi Placyk i odrobina psiego pomnika. Ileż to najróżniejszych wielkości, które współczesnym zdawały się sięgać nieba, przetrwało dla potomnych tylko w drobniutkiej anegdocie. Ilu pisarzy, autorów potężnych dramatów i epepei, które – zdawało się współczesnym – będą trwać wiecznie, przeszło do historii jako twórcy powiastek, miniatur, drobnych dialogów. Nigdy nie wiemy, co nas ocali w pamięci ludzkiej: wielka zbrodnia, wielka budowla czy mała śmieszna anegdotka, skok o tyczce lub bezsensowne zdarzenie.

...Odpowiedziały mi jakby głośnie oklaski. To stado gołębi wleciało ponad dachy niskich domków. Dostrzegłem zbliżającą się młodą kobietę z warkoczami, z książką w ręku. Kobieta usiadła na drugim końcu ławki, nie rzuciwszy mi nawet spojrzenia. Przez chwilę tylko wydawało się, że jednak zauważyła mnie i coś jak słabiutki uśmiech przebiegło przez jej usta.

Przyniosła z sobą grubą książkę w ciemnej oprawie. Och, ileż bym dał za to, aby wiedzieć, co ona czyta. Lecz zwrócenie się do niej z podobnym pytaniem byłoby z pewnością poczytane za próbę zaczepki. Siedziałem więc cicho i rozglądałem się po skwerku. Wkrótce

zresztą nadszedł miły staruszek – i wówczas dopiero zdałem sobie sprawę, że przyszedłem na skwerek znacznie wcześniej niż zazwyczaj.

Staruszek powitał mnie, jak starego znajomego. Począł wypytywać, co sędzę o gołębiach, o budowaniu psom pomników, o moskiewskich wieżowcach. Odpowiadałem skąpo, ale i tak wkrótce usłyszał mój obcy, nierosyjski akcent.

– A wy kto, jeśli wolno zapytać? Nie Rosjanin, prawda?

– Polak. Dopiero cztery dni jestem w Moskwie.

– Cztery dni? I przesiadujecie na ławeczce jak ja, starzec? – zawołał z potępieniem w głosie. – A zwiedziliście Kreml, muzea, byliście w teatrze?

Wyjaśniłem mu, że Moskwę zwiedziłem dość dokładnie podczas poprzedniego pobytu. Teraz zaś mam tu do wykonania bardzo pilną pracę, wieczorami jestem zmęczony i ławeczka na skwerku lepiej mi odpowiada niż teatr. Czy mogłem mu wytłumaczyć, że w grę wchodzi także młoda kobieta, siedząca obok niego?

– A kiedy wracacie do Polski?

– Nie wiem. Za dwa tygodnie wyruszam na Daleki Wschód. Potem znów do Moskwy

– Na Daleki Wschód – ucieszył się staruszek. – Znam, znam, bywałem tam i ja. W dwudziestych latach pracowałem jako technik przy konserwacji torów kolejowych do Władywostoku. Piękny, ciekawy kraj. Szczególnie nad Ussuri. Na tygrysy też polowałem. A wy? Będziecie polować?

– Nie wiem... – odrzekłem niepewnie. – Interesuje mnie archeologia. Być może odwiedzę i tamte strony. Ciekawi mnie zagadka wielkich kamiennych żółwi. Słyszałem o nich od swego przyjaciela.

– A tak, tak. Żółwie. Widziałem je. Wielkie, kamienne żółwie. Spotkać je można w tajdze. Ale ja mam dla was coś lepszego. Bardzo ciekawą sprawę. Najpierw jednak muszę opowiedzieć wam legendę, którą słyszałem od miejscowych robotników, pracujących przy kolei do Władywostoku. Macie dziś dużo czasu? Bo legenda, zaznaczam, jest dość długa.

Czasu miałem wiele. Tym bardziej że młoda kobieta podniosła wzrok znad książki i z ukrywanym zainteresowaniem śledziła naszą rozmowę. Żółte policzki staruszka zaróżowiły się lekko. Sprawiała mu widoczną przyjemność możliwość opowiedzenia mi jakiejś starej historii.

Poczęstowałem staruszka papierosami. Odmówił. Nie palił. Wyciągnąłem wygodnie nogi. Przecież historia miała być bardzo długa...

– Było to bardzo, bardzo dawno temu, przed setkami lat. W miejscu, gdzie dzisiaj znajduje się miasto Niuguta – rozpoczął swe opowiadanie staruszek – żył potężny i sławny cesarz Czin Jatai-czi. Miał on potężną armię i był bardzo kochany przez swój naród. Miał też żonę Chun Le-niui. Sława jej urody i rozumu przekroczyła nawet granice Mandżurii.

...Nad rzeką Suczan żył drugi cesarz, Kuan Jun, potężny jak Czin, ale strasznie okrutny, groźny, władczy i rozpustny. Kuan Jun wiele słyszał o pięknej żonie Czina i gorąco pragnął uczynić ją swoją nałożnicą.

...Przy ujściu rzeki Suczan stoją obok siebie dwie jednakowe skały. U podnóża jednej z nich znajdowała się, podobno, wielka świątynia, z dwoma szczerozłotymi posągami, uosabiającymi boga żywiołów. Bóg ten posiadał cudowną moc leczenia wszelkich chorób oraz znany był z tego, że nigdy nie odmawiał swej łaski porządnemu, uczciwemu człowiekowi.

...Zdarzyło się, że Czin zachorował na oczy i żaden lekarz nie mógł mu pomóc, choroba ciągle rozwijała się i cesarzowi Cziniowi zaczęła zagrażać ślepotą. Skorzystał z tego rozpustny starzec, cesarz Kuan Jun, i obmyślił szatański plan. Postanowił zwabić do siebie Czina, uwięzić go, a potem za pomocą fałszywego listu ściągnąć do siebie piękną żonę Czina, mądrą Chun Le-niui.

...I Kuan Jun zaczął realizować swój zamiar: wysłał posła do Czina i zaprosił go do odwiedzenia świątyni w Suczan. Zapewniał, że Czin będzie miał swobodny i bezpieczny przejazd przez ziemie Kuan Jun i wszędzie okażą mu szacunek należny cesarzowi.

Szlachetny i dobry Czin uwierzył posłowi Kuan Jun. Postanowił, że do świątyni nad rzeką Suczan pojedzie wraz z żoną. Ta z początku broniła się przed podróżą. W końcu uległa namowom męża, postawiła jednak kilka warunków:

1. Nikt nie będzie wiedział, że Czin pojedzie wraz z żoną.
2. Obydwoje będą ubrani jednakowo i Czin powie gospodarzowi, że odbywa z nim podróż jego młodszy brat.
3. Pojadą nie w kolasach, lecz konno, i podczas każdego odpoczynku konie będą zawsze gotowe do drogi.
4. Zabiorą ze sobą dwa tysiące żołnierzy.
5. Zatrzymają się nie w pałacu Kuan Jun, ale w namiotach pod osłoną wojska.

Czin, który zawsze godził się na propozycje swej żony, wybrał dwa wspaniałe wierzchowce, białego dla siebie, kasztana dla małżonki.

Tymczasem jednak nie udało się utrzymać w tajemnicy podróży żony Czina i do rozpustnego Kuan Jun dotarła tajemna wiadomość, co oczywiście sprawiło mu ogromną radość.

Wiosną, gdy stajały śniegi i pojawiła się pierwsza zieleń, Czin i jego małżonka, jednakowo ubrani, na dwóch wspaniałych koniach wyruszyli w podróż na czele swego orszaku. Wkrótce też dotarli do rzeki Suczan i na jej prawym brzegu rozbili swój obóz. Czin złożył ofiarę bogom w świątyni i natychmiast został uleczoney.

Ale nazajutrz do obozu Czina przybył posłaniec od Kuan Jun, który listownie, w pełnych oburzenia słowach, wyrażał swe niezadowolenie i żądał, aby Czin i jego brat natychmiast

przybyli do jego pałacu. Czin odpowiedział także ostrym listem i od przybycia wymówił się chorobą.

Noc minęła spokojnie, o świcie jednak Czin stwierdził, że cały jego obóz jest otoczony wojskami cesarza Kuan Jun. Wypadało albo złożyć broń i zdać się na łaskę zwycięzcy, albo też próbować przebić się przez pierścień napastnika. Spróbowali drugiego sposobu. Przerwali szeregi wroga i rzucili się do ucieczki. Kuan Jun ruszył za nimi w pogoń, tratując w pędzie żołnierzy Czina!

Czin i jego żona uciekali samotnie, a za nimi gnał Kuan Jun wraz z kilkoma swymi najlepszymi jeźdźcami. Nagle Czin spostrzegł, że rudy koń ukochanej żony poczyna pozostawać w tyle. Odległość między uciekającymi i goniącymi stawała się coraz mniejsza. Co zrobić, jak ratować Chun Le-niui?

Czin zdecydował się na podstęp. Podczas przejazdu przez niewielki lasek zamienił się z żoną końmi i kazał jej uciekać w inną stronę. Kuan Jun, który wiedział, że piękna Chun jedzie na rudym koniu, popędził za Czinem, a tymczasem Chun na jego białym koniu pojechała w przeciwną stronę.

Czin starał się jak najbardziej odciągnąć prześladowców od swojej żony, ale jego koń zupełnie tracił siły. Zauważywszy przy drodze smolarza, Czin zeskoczył z konia i popędził go do lasu. Smolarz dał się przekupić i Czin usmarowany węglem, z łopatą w ręku oczekiwał nadejścia pogoni. Jakoż wkrótce nadjechał Kuan Jun i zapytał przebranego Czina, gdzie popędził jeździec na rudym koniu. Czin udał niemego i ręką wskazał kierunek. Kuan Jun rzucił się za rudym koniem bez jeźdźca, a Czin uciekł pieszo w stronę gór.

A piękna i mądra Chun Le-niui? Jadąc skrajem lasu dotarła do rozległej doliny. Dojrzała tutaj resztki swych wojsk, cofających się przed natarciem armii Kuan Jun. Dopadła żołnierzy, a ci widząc swego wodza podnieśli się znowu do ataku i popędzili wroga na drugą stronę rzeki.

Nastąpił teraz szereg potyczek i starć, w których Chun Le-niui została ranna i umarła. Pragnąc ukryć grób swej żony, Czin rozkazał zmienić bieg rzeki i pochował swą małżonkę nad wielkim wodospadem. Gdy grób został zamurowany, pozwolono rzece wrócić w dawne koryto.

Czin przysiągł krwawą zemstę wrogom. Po śmierci swej żony stał się okrutny, ponury i mściwy. Rozpoczęły się straszliwe bitwy, twierdze przechodziły z rąk do rąk, tysiące ludzi legło w walce. Rzeka zyskała nazwę „Rzeki wielkich bitew”.

Wreszcie Kuan Jun, rozbity i rozgromiony, zdecydował się na ucieczkę. Zbudował tratwę i nocą uciekł na morze. Od tej chwili ślad po nim zaginął, a Czin powróciwszy do swego miasta doczekał się sędziwej starości...

Staruszek skończył opowieść i spojrzał na mnie z dumą.

– Piękna historia – przyświadczyłem.

– Bardzo piękna bajka – powiedziała cicho młoda kobieta. Ale zaraz trochę się zarumieniła, bo przecież nieładnie jest podsłuchiwać.

Opinia kobiety oburzyła staruszka:

– Bajka? To nie jest bajka, tylko prawda. Historyczna prawda i dlatego wam to opowiedziałem, drogi przyjacielu z Polski. Skoro jedziecie na Daleki Wschód, wypada wam znać historię tego kraju, jego zamierchłe dzieje. Trzeba wam też wiedzieć, że w ślad za wojną między Czinem i Kuan Jun przyszła do tamtego kraju okropna zaraza. Ludzie masowo wymierali, podobno w samej tylko dolinie Suczanu jednej nocy zmarło aż sześćset osób. Przerażona ludność uciekła w góry, ale zaraza poszła w ślad za nimi. Ocalały tylko nieliczne ludzkie istoty, kraj zupełnie opustoszał. W miejscu dawnych osad i miast wyrósł potężny las. Możecie się o tym dowiedzieć z książek Arsenjewa, który przemierzył tamte okolice i w chińskich zapiskach znalazł potwierdzenie tej legendy. W 1872 roku z Niuguty przyjechali do tajgi Chińczycy. Mieli podobno jakieś plany i stare rękopisy. Według tych planów dokonali pomiarów wokół leżącego w tajdze kamiennego żółwia, potem rozpoczęli wykop i dotarli do kamiennego grobowca, w którym leżał rycerz w zbroi i z bronią. Chińczycy zabrali z sobą wykopalisko do jakiegoś chińskiego muzeum. Potem – opowiadają tamtejsi mieszkańcy – przyjechali dwaj Japończycy, a wraz z nimi pewien duchowny prawosławny. I oni mieli również jakieś plany, według których poczeli kopać. Wydostali z ziemi wiele pięknych przedmiotów z kamienia, srebra i brązu. Szczególnie ciekawe były dwa wykopaliska: koń wykonany z białego kamienia i baran zrobiony z czarnej masy. Biały koń Czy nie ma on coś wspólnego z legendą o pięknej żonie Czina? I jeszcze jedno. Pewnego razu do wioski zamieszkałej przez starowierców<sup>13</sup> przybyło kilku Japończyków, którzy usilnie wypytywali ludzi, czy gdzieś w lesie nie natknęli się na kamienną studnię. Okazało się, że jeden ze starowierców, nazwiskiem Czerepanow, widział w lesie, w okolicy Tosowki, studnię kamienną. Próbował zaprowadzić tam Japończyków, ale niestety, studni nie potrafił odnaleźć. A może po prostu nie chciał jej pokazać? Japończycy przypuszczali, że w studni tej ukryto podczas boju dwa wielkie złote posągi o oczach z drogich kamieni. Można sądzić, że są to te same posągi, które uleczyły Czina z jego choroby. I co? Nie ciekawa sprawa? – staruszek zaśmiał się triumfująco.

– Czy ów Czerepanow jeszcze żyje? – zastanawiałem się głośno.

Staruszek znowu się zaśmiał:

– Patrzcie ludzie, jak go to wzięło? Wiedziałem, że tak będzie. Skoro interesują was kamienne żółwie w tajdze, to i ta studnia też was zaciekawi. No co, zajmiecie się odnalezieniem studni?

Wzruszyłem ramionami:

<sup>13</sup> Starowiercy – wyznawcy prawosławia, którzy nie uznali reform patriarchy Ni-kona w rosyjskim Kościele prawosławnym w połowie XVII w.

– Jeśli okoliczności pozwolą, a będę gdzieś w tamtych stronach, oczywiście mógłbym zapytać i o tę sprawę – powiedziałem szczerze. – Chabarowskie muzeum byłoby mi wdzięczne, gdyby się udało znaleźć te dwa posągi. Czyż nie tak?

– Tak, tak, właśnie tak. Stawiacie sprawę uczciwie.

Staruszek z zadowoleniem pogładził zwiędłą skórę policzków zwisających mu jak bokobrody. Było już późno, na ulicy obok skwerku zapaliły się latarnie uliczne. Płonęły blado, bo na miasto opuściła się mgła. Staruszek rozkaszał się, był to chyba wyraźny znak, że powinien iść do domu. Zasiedzieliśmy się.

Gdy odszedł, zwróciłem się do młodej kobiety:

– I co wy o tym sądzicie?

– Przemiały staruszek – powiedziała.

– Wspaniały!

– I naprawdę zamierzacie odszukać studnię?

– Jeśli mi czas pozwoli

– Życzę powodzenia – rzekła i wstała z ławki, bo może zbyt natrętnie szukałem wzrokiem jej oczu.

Ja również opuściłem ławkę.

– Zdaje się, że idziemy w jednym kierunku?

Zatrzymała się.

– Nie. Idziemy w różnych kierunkach.

I oczy jej nie były smutne, ale złe i stanowcze. Westchnąłem oczekując, aż zniknie za rogiem. Wówczas powlokłem się do miasta. W pewnej chwili wzruszyłem ramionami. Poszukiwać posągów o oczach z drogocennych kamieni, gdy tutaj obok, na ławeczce siedzi żywa kobieta z najpiękniejszymi oczami?



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

**TROP WIEDZIE DO TROICKIEJ ŁAWRY • „SZLACHETNY” NICEFOR I „KRWAWEY” CHABAROW • BRĄZOWY POSĄŻEK NICEFORA • CZY WARTO WALCZYĆ Z WIATRAKAMI? • DYREKTOR I PRALKA • MNISZEK I MNISZECH • HANDLOWCY NA MIARĘ STRAGANU • „TRÓJCA” RUBLOWA • BORYS GODUNOW • OJCIEC MAKARY**

– Czy wiesz coś o Żółtugińskiej Republice? – zapytałem Siergieja.

– Niewiele. Założyli ją, zdaje się, poszukiwacze złota. Wolna republika poszukiwaczy złota.

– Kiedy to było?

– Trudno mi powiedzieć. Chyba pod koniec dziewiętnastego wieku.

– Gdzie ona była?

– Na Syberii albo na Dalekim Wschodzie. Gdzieś nad Amurem, jeśli się nie mylę.

– Czy sądzisz, że w tej republice było stanowisko prezydenta i wiceprezydenta?

Siergiej patrzył na mnie z coraz większym zdumieniem.

– Nie przypuszczałem, że nurtują cię podobne problemy... Zapytam o tę sprawę. Za kilka dni postaram się dać ci dokładniejsze informacje.

Siedzieliśmy w kawiarni na trzydziestym piętrze hotelu „Ukraina”. Była dziewiąta wieczór. Z balkonu otaczającego kawiarnię miasto wyglądało jak niebo oglądane przez teleskop: miliardy większych i mniejszych błyszczących punktów, nieruchomych lub drgających drobnym światłem. Niebo nad miastem przedstawiało się ubożuchno w porównaniu z tym rojowiskiem świateł, miało tylko jedną mleczną drogę, a u naszych stóp główne arterie i place Moskwy zaznaczały się w czerni kilkoma szlakami. Na trzydzieste piętro nie dochodził szmer wielkiego miasta i gdy staliśmy z Siergiejem na balkonie, wychyleni przez kamienną poręcz, wydawało się nam, że jesteśmy zawieszeni w przestrzeni między jednym a drugim cichym, nocnym niebem.

Podano nam do stolika słabą, niedobłą kawę. Była to kawiarnia tylko z nazwy – jadło się tu kolacje, pieczony drób.

– Jak daleko jest z Moskwy do Troicko-Siergiejewskiej Ławry?<sup>14</sup> – zapytałem.

– Siedemdziesiąt kilometrów. Jechać trzeba z Jarosławskiego Dworca. Bilet należy kupić do Zagorska, bo tak nazywa się teraz ta miejscowość. Zagorski był sekretarzem tamtejszego komitetu partyjnego. Gdy zginął, miejscowość otrzymała jego nazwisko. Czy ciekawią cię obrazy Rublowa, które malował dla klasztoru?

– Rublow? W takim razie tym bardziej muszę tam pojechać.

– Znajdziesz tam jedynie kopie tych obrazów, które oglądałeś w Trietiakowskiej Galerii.

– To nic. I tak muszę być w Siergiejewskim Ławrze. Żyje tam pewien mnich, z którym chciałbym zamienić kilka słów.

– O, to coś nowego? Czyżbyś chciał przejść na prawosławie?

– Pragniesz mi towarzyszyć?

– W drodze do prawosławia?

– Nie, do Zagorska.

– Jeśli to konieczne...

– Sprawiłbyś mi wielką przyjemność – powiedziałem.

Siergiej dobrze orientował się w historii i miał wielkie wyczucie piękna. Towarzystwo jego sprawiało mi zawsze dużo satysfakcji.

– Rozmowa z mnichem nie będzie chyba żadną tajemnicą?

– Oczywiście, nie. Pragnę zapytać o pewnego człowieka, który przed rewolucją był dozorcą domu przy ulicy Arbat. Mnich ma na imię Makary, ale w „cywilu” nazywa się Połowiecki i jest synem byłego właściciela kamienicy na Arbacie. Wytłumaczę ci wszystko po drodze do Zagorska.

Zapłaciłem za kawę i zjechaliśmy windą do westybulu. Odprowadziłem Siergieja do drzwi wyjściowych, umówiłem się z nim, że jutro, to jest w niedzielę, spotkamy się o dziesiątej rano na Jarosławskim Dworcu tuż koło wejścia do metra.

„W niedzielę? A więc już tydzień jestem w Moskwie” – uświadomiłem sobie. I z radością stwierdziłem, że tydzień ten okazał się bardzo owocny, trop Nicefora Czernichowskiego stał się zupełnie wyraźny. Wiedziałem już o nim wiele i mogłem sobie wyobrazić jego losy, związane z Ałbazinem.

W jednym tylko wypadku sprawy nie potoczyły się tak, jak pragnąłem. W ostatnim czasie dwukrotnie byłem wieczorem na Psim Placyku i ani razu nie spotkałem „Pięknej Damy” i przemilego staruszka. Nieobecność staruszka nie wydała mi się dziwna – wówczas opowiadał tak wiele i tak długo, nie zwracając uwagi na chłód i wilgoć, że zapewne zaziębił się i wieczory spędza w domu. Lecz młoda kobieta? Czyżby obraziło ją moje postępowanie i unika

<sup>14</sup> Troicko-Siergiejewska Ławra – klasztor prawosławny w Zagorsku pod Moskwą, który w XV w. stanowił ośrodek kultury rosyjskiej.

ławeczki na skwerku? Byłoby mi bardzo przykro z tego powodu. „Dobrze ci tak, nie zaczepiaj kobiet na ulicy” – strofowałem się w duchu.

Kupiłem w kiosku dwie paczki papierosów z filtrami, wskoczyłem do windy w ostatniej chwili, gdy automatyczne drzwi poczynają się zamykać. „Co zrobić z resztą wieczoru? Przecież nie będę chodził spać z kurami?” – rozmyślałem. Od gwałtownego pędu windy czułem silny ucisk w uszach.

Czyż mogłem przypuszczać, że na górze czeka na mnie coś, co na dłuższy czas zamąci mi spokój?

To „coś” było przesyłką lotniczą od Marysi. Znajdowała się w niej książka Mariana Dubieckiego *Obrazy i studia historyczne*, a wśród nich szkic zatytułowany *Osadcy ziemi Mandżu o... Niceforze Jaksie-Czernichowskim*.

Trzymając w ręku książkę Dubieckiego, nie znajdowałem w myślach dość słów wdzięczności dla Marysi. Nie ustawała w swych poszukiwaniach, towarzyszyła mi w mej podróży do Ałbazina. Jakże się jej odwdzięczę? Dzięki niej jestem w posiadaniu szkicu historycznego o Czernichowskim, odtąd nie będę musiał błąkać się w ciemnościach, utworowano mi drogę. Wiadomości zebrane przez Dubieckiego wystarczy uzupełnić o nowe materiały, a otrzymam wyraźny obraz historii Nicefora i jego Ałbazina. Jaka szkoda, że szkic ten nie wpadł mi w ręce znacznie wcześniej! O ileż miałbym ułatwione zadanie! Nie, nie czułem przykrości, że przede mną ze sprawami Nicefora zetknął się już ktoś inny. Jeśli bowiem Czernichowskim zajął się Dubiecki, znaczyło to, że sprawa ta nie jest nieważna, niewarta uwagi. Podróż do Ałbazina przestawała być tylko wariackim pomysłem.

Łapczywie zabrałem się do czytania. W miarę jak przerzucałem kartki, ogarniały mnie coraz sprzeczniejsze uczucia. Natrafiłem na stronicę, które zachwycały mnie doskonałą znajomością tematu, pięknem wywodu i opisu, były też jednak takie, które budziły sprzeciw. Dubiecki pisał swój szkic na zesłaniu w Daurii Nerczyńskiej i w Irkucku w latach 1868-1874. Był sekretarzem Romualda Traugutta i uczestnikiem powstania styczniowego. Świadomość przedłużającej się niewoli narodowej, mimo tylu ofiar i bohaterstwa Polaków, kazała Dubieckiemu – być może – idealizować nieco swych rodaków. W tym bowiem czasie po stronie walczącej Polski była słuszność i szlachetność, po stronie zaś jej ciemnych – brutalna siła i przemoc. Podział taki zastosował Dubiecki także wobec ludzi. Czernichowski stał się w jego oczach uosobieniem szlachetności i humanizmu, Chabarow zaś, Rosjanin, wcielił się w krwawego kolonizatora. Po zapoznaniu się ze szkicem Dubieckiego nasuwało się przekonanie: patrzcie, jacy to my, Polacy, jesteśmy! Jeden z pierwszych polskich zesłańców, Czernichowski, gdy rosyjski satrapa Obuchów wyrządził mu krzywdę, uciekł w dalekie kraje i o władnawszy nimi, oddał je Rosji.

Było wpół do dwunastej w nocy. Restaurację hotelową zamykano dopiero o drugiej. Zjechałem na dół windą, wypilem bulion, zagryzając go jakimś wymyślnym rogalikiem z mięsem, a potem podano mi filiżankę czarnej kawy po turecku.

Powracając na górę ledwie zmieściłem się do windy, wypełnionej wózkami, na którym stała zapakowana pralka elektryczna. Portierowi z pralką towarzyszył poznany w samolocie dyrektor departamentu.

– A pan jeszcze nie na Dalekim Wschodzie? – powitał mnie jak starego znajomego. – Widzi pan, kupiłem sobie pralkę. Dokąd to pan miał jechać? Do Amaldynu?

– Do Ałbazina.

– Ach, taak.

Na siódmym piętrze winda zatrzymała się. Wcisnął się między nas młody Sudańczyk w jaskrawym krawacie. Dyrektor powiedział patrząc z zadowoleniem na swoją pralkę:

– Radzę panu, kup pan sobie dwa telewizory i wracaj do Warszawy. Przecież i tak nikt nie sprawdzi, czy był pan w Ałbazinie.

Wzruszyłem ramionami. Pragnąłem, żeby go dotknęło moje lekceważące milczenie. Zapewne jednak zbyt był zajęty swoją pralką. Drzwi windy zamykały się za mną, gdy zawołał:

– Halo, panie. Co pan robi jutro?

Nie zdążyłem odpowiedzieć.

„Idiota” – pomyślałem zasiadając znowu przy biurku. Teraz jednak miałem pewność – muszę jechać do Ałbazina.

Zadzwoił telefon. Dyrektor odnalazł mnie przez centralę telefoniczną i teraz dzwonił ze swego pokoju.

– Więc cóż pan jutro porabia? Może wybralibyśmy się na wspólne zwiedzanie muzeów?

– Jadę do Zagorska.

– A tam co ciekawego?

– Troicko-Siergiejewska Ławra. Stary klasztor – powiedziałem mając nadzieję, że go to odstraszy.

– Klasztor? – aż cmoknął z zachwytem. – Doskonale. W takim razie jadę jutro z panem.

Pojechaliśmy w czwórkę: Siergiej z żoną, dyrektor i ja. Dyrektor, z którym w kiosku przed dworcem wypiliśmy po sto gramów wódki, kazał do siebie mówić „panie Antku”. Elektryczny pociąg do Zagorska był zatłoczony, bo niedziela zapowiadała się prześlizgnięciem i gromadki młodzieży wyjeżdżały na wycieczki do podmoskiewskich miejscowości letniskowych. Na szczęście dostaliśmy wszyscy miejsca siedzące. Siergiej przyniósł kilka książek i przewodników po Troickiej Ławrze, mieliśmy więc lekturę na cały czas podróży. Pan Antek wołał jednak wyglądać przez okno.

– W Zagorsku w muzeum zobaczymy portret słynnej pani Mniszech – odezwałem się znad przewodnika.

– Tak? To wspaniale – ucieszył się pan Antek. – Czytałem jej dwie powieści: *Trędowatą* i *Ordynata Michorowskiego*. To było jeszcze przed wojną. Teraz jakoś nie wznawiają tych

powieści. Dziwne, że w muzeum radzieckim przechowują jej portrety... – dodał ze zdumieniem.

– To nie chodzi o Mniszkównę, lecz o Marynę Mniszech, Polkę na moskiewskim tronie. Żonę Dymitra Samozwańca.

– Ach, taak? Hm... – i wydawał mi się jeszcze bardziej zdziwiony.

– Mój znajomy pisarz wydał teraz książkę o pobycie Łże-Dymitra w Krakowie – wyjaśniłem Siergiejowi. – Twierdzi w niej, że Maryna była przepiękną kobietą. Rad bym sprawdzić...

...To w burzliwych, niezwykle barwnych i pełnych fantastycznej przygody czasach Dymitrów Samozwańców rozpoczyna się historia Nicefora Czernichowskiego. Tak w każdym razie twierdzi Marian Dubiecki i nie ma powodów, żeby o tym wątpić. Najstarsza wzmianka dotycząca Czernichowskiego wspomina bowiem, że: „W roku 1632 z miasta Moskwy przybył do Jenisejska na Syberii Polak, Roman Czernichowski wraz z rodziną”. Do rodziny tej zaliczyć chyba należy również Nicefora, stare akta nazywają go bowiem: „Nicefor, syn Romana”. Oczywiście trudno powiedzieć, w jakim wieku był Nicefor, gdy wraz z ojcem i rodziną zesłany został do Jenisejska. Być może urodził się już, w niewoli i stąd jego niepolskie imię. A może ojciec jego był spolszczonym Rusinem, mieszkał gdzieś na kresach Rzeczypospolitej, służył u któregoś z kresowych „królewiat” popierających fałszywych Dymitrów? W każdym razie co do jego polskości nie zgłasza zastrzeżeń żaden z autorów. Jeden tylko Miller w swych *Jeżemiesiacznych Soczinienijach* zaznacza: „Polak lub Litwin – Nikifor, Romana syn, Czernichowski”.

Służba wojskowa czy „zsyłka”? W owym czasie były to niekiedy pojęcia równoznaczne. Jeszcze w czasach Iwana Groźnego, gdzieś około 1580 roku, wziętych do niewoli Litwinów, Polaków, Inflantczyków i Szwedów wysyłano na Syberię i wcielano do pułków kozackich, które miały za zadanie kolonizować tamtejsze dzikie i mało zbadane okolice. Wielu Polaków w owych oddziałach doszło do wysokich godności pułkowników. Stąd zapewne zjawilo się u Duńczyka Anonima określenie Polak-pułkownik, bo jak Polak na Syberii, to oczywiście pułkownik. Mimo usilnych poszukiwań nie udało mi się bowiem stwierdzić, aby Nicefor został pułkownikiem. A jego to osoby dotyczy owa wzmianka u Duńczyka Anonima „*W grodzie Jeriisejsk żył pewien pułkownik-Polak...*”

Skąd jednak i dlaczego Czernichowscy znaleźli się w Moskwie?

Czy przybyli tu w orszaku Maryny Mniszech, żony Dymitra Samozwańca? A może po prostu majątek Czernichowskich na kresach został zagarnięty, a oni sami uprowadzeni podczas jednej z licznych potyczek, rozgrywających się w tych burzliwych latach? Jest także prawdopodobne, że znajdowali się w obozie Dymitra Samozwańca II i wraz z Sapiehą i Lisowskim oblegali Troicko-Siergiejewską Ławrę.

– Troicko-Siergiejewska Ławra. Wysiadamy! – rozbudził mnie Siergiej.

Pociąg opuściło mnóstwo ludzi. Szliśmy wmieszani w tłum, który niósł nas w stronę klasztoru, wiejską, pełną kurzu ulicą obstawioną z obydwu stron małymi domkami w ogródkach, gdzie kwitły jeszcze jesienne kwiaty. Nagle domki rozstały się – ujrzałem wysokie, brunatne mury obronne, a ponad nimi wieże monasteru<sup>15</sup>. Wysoka brama w obronnej baszcie prowadziła jakby do bajkowej krainy pełnej domków, domeczków, wieżyczek i wież o przeróżnych kształtach – to wysokich, strzelistych, to znów okrągłych, baniastych, nakrapianych. Pięć kopuł Uspeńskiego Soboru sprawiało wrażenie grupki muchomorów, i to ich zabawny kształt i barwa nadawały całości ów bajkowy charakter.

Na placu przed monasterem wędrujący od stacji tłum rozdzielił się. Małutka grupka skręciła w stronę bramy klasztoru, reszta zaś szła prosto przed siebie, omijając klasztor.

Siergiej uśmiechnął się.

– Chcesz wiedzieć, gdzie oni idą? Na kołchozowy rynek. W każdą niedzielę targ się tutaj odbywa.

Pan Antek z radością zatarł ręce.

– Pal diabli klasztor. Chodźmy na rynek, kupimy sobie słonecznikowych ziarenek. W Moskwie nigdzie ich nie mogłem dostać. To smutne, że przestajecie szanować swoje tradycje – zwrócił się do Siergieja.

– Jeszcze przed kilku laty nauczyłem się w Moskwie pić dobrą, mocną herbatę. A teraz? W każdej restauracji, kawiarni, bufecie dają mi herbatę bladą, słabą i niesmaczną. Upada piękna tradycja – poparłem dyrektora.

– Tak, tak, ziarenka słonecznika, samowar i herbata w prikusku – przedrzeźniał nas Siergiej. – To wy, cudzoziemcy, taką sobie Rosję wyobrażacie. Chcę ci powiedzieć, że samowar spotkasz w Moskwie prawie tak rzadko jak konia.

Wbrew moim protestom poszliśmy na rynek kołchozowy. Pan Antek począł obchodzić stragany. Z tęgimi, okutymi w chustki kołchoznicami targował się zawzięcie o półcie słoniny, której nie miał zamiaru kupić, o jabłka, ziemniaki, jajka, gęsi, kury, ziarenka dyni i słonecznika. Stanęliśmy nieco z boku, obserwując go z pobłażaniem.

– Założę się, że on pracuje w Ministerstwie Handlu – rzekł Siergiej.

– Targować się potrafi, to pewne. W ministerstwach za dużo jest handlowców na skalę jednego straganu czy sklepiku – odrzekłem ponuro. – Dlatego głównym złem jest u nas właśnie handel i zaopatrzenie.

Pan Antek kupił wreszcie ziarenka słonecznikowe. Powędrowaliśmy w stronę monasteru, gryząc pestki.

– No i co? – powiedział do mnie pan Antek. – Monaster nam nie uciekł. Wiedziałem, że tak będzie. Przecież stoi tutaj już z tysiąc lat.

– Zbudowano go w XIV wieku

<sup>15</sup> Monaster(z grec.) – klasztor w Kościele wschodnim.

– Phi – pogardliwie wzruszył ramionami. – W takim razie zupełnie nie ma powodów, żeby się śpieszyć.

Weszliśmy w wysoką bramę monasteru. Ze ścian spojrzwały na nas złote sylwetki świętych i aniołów, o kształtach surowych i pięknych. A potem otwarło się przed nami wnętrze Ławry – niewielki ogród, kilka cerkwi, zabudowań i dzwonnicy. Przez chwilę poczułem się zagubiony w ogromnej ilości różnorodnych budowli, przepięknie zdobionych rzeźbami, złoceniami. Oto precudne barwy i rzeźby ścian podłużnego budynku – klasztornej refektarza, oto wielostopniowa, wysmukła dzwonnica, oto wypukłości Uspeńskiego Soboru i jego wieże podobne do muchomorów, oto piękna w swej prostocie cerkiew Duchowska, a obok Troicki Sobór. Miniaturowe, jak ślicznie inkrustowane zabawki, „czasownie” – precudne kapliczki z zegarami. I strzelista, wdzięczna wieża cerkwi Zosimy.

Przy kapliczce, gdzie bije „cudowne” źródło, kolejka ludzi z bańkami, butelkami, naczyniami na „świętą, uzdrawiającą” wodę. Wśród tłumu, śpieszącego w otwarte drzwi cerkwi, drobnymi, kobiecymi krokami suną mnisi w czarnych habitach, z długimi, pięknie utrzymanymi brodami. Na głowach mają upięte jakby czarne welony, opadające na kark i plecy. Na ich ustach, ledwie widocznych w gęstym zaroście, widać dobrotliwe uśmiechy.

A z otwartych drzwi cerkwi bije duszny zapach świec i smutny szmer żałobnego śpiewu.

Wspaniały rzeźbiony portal wprowadza do najstarszego zabytku Ławry, do białokamiennego, jednokopulastego Troickiego Soboru. Ogarnia nas półmrok. Długa, zwinięta jak wąż kolejka podąża w róg cerkwi, do ołtarza. Tu stoją ci, którzy chcą złożyć ukłon przy grobie założyciela klasztoru, Siergieja Radoneżskiego. Od ołtarza bije blask świec, aż trudno dostrzec mnicha modlącego się śpiewnie przy grobie pierwszego ihumena<sup>16</sup>. Słyszę piękny, głęboki głos, któremu odpowiadają żałośnie i pokornie ludzie żałujący za swe grzechy.

Światła, blask złota skapującego kroplami po ogromnym ikonostasie<sup>17</sup>... Pośród dziesiątków obrazów przedstawiających religijne sceny, świętych i aniołów dostrzegam na samym dole słynną „Trójcę” Rublowa, jednego z najslynniejszych malarzy rosyjskiego Odrodzenia. Patrzę na obraz i choć wiem, że to tylko kopia, przecież budzą mój zachwyt trzy piękne, uskrzydłone postacie o twarzach przejmująco łagodnych i jakby uspionych. Oryginał „Trójcy” przeniesiono do Tretiakowskiej Galerii, obawiając się zniszczenia. Gdy zdecydowano się przenieść obraz do Moskwy, zdjęto okrywające go kosztowności – ukazały się wtedy piękne, ciekawe barwy. Znaczący twierdzą, że nie ustępują one w niczym barwom włoskich mistrzów tego czasu.

Ikonostas Troickiego Soboru, a obok grób Siergieja, pierwszego ihumena Troickiej Ławry. Ileż tu piękna! Niekiedy świece przygasają, a wówczas wydaje się, że na złoceniach rzeźb i obrazów osiada jakby czerwona, krwawa rosa. Wtedy nie sposób zapomnieć, że przecież tutaj właśnie, u grobu Siergieja Radoneżskiego, w 1442 roku nastąpiło przymierze

<sup>16</sup> Ihumen (z grec.) – przełożony klasztoru prawosławnego.

<sup>17</sup> Ikonostas (z grec.) – rzeźbiona ściana w cerkwi, odgradzająca ołtarz z obrazami świętych (ikonami).

wielkiego księcia Wasyla i jego bratanka Dymitra Szemiaka. Całowali razem święty krzyż, a w cztery lata później książe Wasyl został schwytyany przez stronników Dymitra i tutaj go oślepieno.

Twarze aniołów w obrazie Rublowa są smutne, w cerkwi drży żałobny śpiew, dusi zapach świec, które skwierczą i kapią kroplami wosku.

Z ulgą oddycham świeżym powietrzem. Lecz już nie sposób uchronić się od okropnych wizji. W piwnicach tego monasteru Piotr I badał i torturował stronników swej siostry Zofii, na placu przed klasztorem sprawował nad nimi swe okrutne sądy. A więc tak wielkie nagromadzenie świętości i piękna nie czyniło go łagodnym? A może czasem piękno robi człowieka okrutnym? Bo jest przecież jakieś okrucieństwo w owym bogactwie kształtów i barw, od których aż oczy bołą, w bogactwie, od którego doznaje się oszołomienia i zawrotu głowy.

Ogromny, pięciokopułowy Uspeński Sobór zbudowano za czasów Iwana Groźnego. Pięć wielkich absyd<sup>18</sup>, sześć kolumn wewnątrz cerkwi. Podobają mi się jego gładkie, surowe ściany, od których bije powaga i godność.

Siergiej i jego żona, a z nimi pan Antek, wchodzą do soboru. Ja pozostaję na zewnątrz. U stóp soboru dostrzegłem jakby małeńki domek z pochyłym dachem. „Grobowiec Godunowów” – odczytuję napis. Leżą tu Borys Godunow, jego żona, syn i córka.

Przypomina mi się dramat Puszkina, w oczach stają postacie Borysa Godunowa, Samozwańca, Maryny Mniszech. To od Borysa Godunowa zaczęła się owa wielka zbrodnicza farsa z Samozwańcami.

Po śmierci Iwana Groźnego na tronie moskiewskim zasiadł jego syn, car Fiodor, faktycznym jednak rządcą państwa był brat carowej, Borys Godunow. W tajemniczych okolicznościach ginie drugi syn Iwana Groźnego, brat Fiodora – Dymitr. A po bezpotomnej śmierci Fiodora tron carski obejmuje Borys Godunow.

Godunowa nienawidzą bojarzy, bo car popiera przeciw nim drobną szlachtę i mieszczan. Nienawidzą go chłopci, bo pragnąc zjednać sobie szlachtę ruską, nakłada na nich coraz cięższe jarzmo. Wśród ludu rozchodzą się tajemnicze wieści, że carski syn, Dymitr, nie zginął, że uciekł, że ukrywa się między ludem i na czele wojsk przyjdzie, aby wziąć odwet na Borysie Godunowie i ulżyć doli nieszczęśliwego ludu.

I nagle na dworze Wiśniowieckich nad Dnieprem pojawia się człowiek, który głosi o sobie, że jest uratowanym carewiczem Dymitrem. Kim jest w istocie? Czy prawdę głosi Godunow, twierdząc, że Dymitr jest tylko zbiegłym mnichem, nazwiskiem Grzegorz Otriepiew? Lecz przecież trudno wierzyć Godunowowi. Jemu najbardziej zależy na potwierdzeniu faktu śmierci Dymitra. Może „stworzyli” Dymitra nienawidzący Godunowa bojarzy ruscy, a magnaci polscy, skorzy do każdej awantury, która mogła pomnożyć ich latyfundia, poparli Dymitra pieniędzmi i wojskiem?

<sup>18</sup> Absyda (z grec.) – wewnątrz półkoliste lub wieloboczne, stosowane w architekturze kościelnej jako zamknięcie prezbiterium (prezbiterium – część kościoła, w której znajduje się główny ołtarz).



Historia nie daje zdecydowanej odpowiedzi. Jest to jeszcze jedna z wielkich jej tajemnic. Posłany w głąb Polski, aż do Krakowa, rzekomy Dymitr obiecuje w zamian za pomoc w dostaniu się na tron – przywileje i wielkie połacie ziemi.

Wojewoda sandomierski Mniszech pragnie dać mu za żonę córkę swą, Marynę, jeśli Dymitr osiągnie tron carski i Marynę uczyni carową, a rodzinie Mniszców ofiaruje w zarząd Psków i Nowogród. Na Dymitra łaskawym okiem spoglądają jezuici, a gdy ten godzi się przyjąć katolicyzm, stają się jego najgorliwszymi poplecznikami, licząc na uzyskanie wpływów w całej Rosji.

Jeśli rzeczywiście był tylko zbiegłym mnichem, zaiste, zawrotną zrobił karierę. Jesienią 1604 roku na czele kilku tysięcy zbrojnych żołnierzy wkracza na ziemie rosyjskie i z każdym krokiem rośnie w siłę, bo przyłączają się do niego bojarzy. A Godunow umiera nagle. W 1605 roku Samozwaniec wkracza do Moskwy, gdzie przy wtórze dzwonów włożono mu na głowę carską koronę. W rok później przybyła na Kreml Maryna Mniszech z licznym orszakiem i ogłoszona została carową. Niektórzy Polacy z jej orszaku zachowują się w Moskwie jak wielkorządcy, budząc wrogość i nienawiść. Czy nie jest prawdopodobne, że wśród nich znalazła się i rodzina Czernichowskich?

Krótką jest jednak kariera Samozwańca. Nie spełnił nadziei bojarów ani też swych protektorów polskich. W Moskwie wybucha powstanie, ginie Dymitr, a żona jego Maryna, jej ojciec i wielu Polaków popada w niewolę. Władzę obejmuje przywódca spisku, przebogaty książę Wasyl Szujski. W rok później rozpoczyna się nowa awantura – pojawia się „cudownie ocalony” po raz drugi Dymitr i na Moskwę ruszają nowe wojska. Tym razem drugiego Dymitra popierają książę Rożyński i Sapieha. Jednym z epizodów nowego rozdziału walki jest obrona Troicko-Siergiejewskiej Ławry, obleganej przez wojska Sapiehy i sławnego zagończyka, Lisowskiego. Dwa lata toczą się jeszcze walki ze zmiennym szczęściem, drugi Dymitr Samozwaniec ponosi klęskę, ale w wojnę wdaje się król polski. Po bitwie pod Kłuszynem Stefan Żółkiewski ruszył na Moskwę, Wasyl Szujski musiał ustąpić z tronu, Moskwa uznała carem polskiego królewicza Władysława, polskie wojska obsadziły Kreml. Nie na długo, bo już w 1611 roku zostali oblężeni przez oddziały księcia Pożarskiego – wygłodzeni, otworzyli wrota Kremla.

Lecz i to nie był koniec owej dzikiej awantury. Szły potem na Moskwę nowe polskie wyprawy, a gdy i one skończyły się fiaskiem, długo po ziemi ruskiej grasowały oddziały Lisowskiego. Ileż w tych czasach było sposobności, aby wziąć w niewolę szlachecką rodzinę Czernichowskich i w 1632 roku zesłać ją do Jenisejska?

A zaczęło się od niefortunnych rządów Borysa Godunowa, który oto spoczywa teraz w malutkim jak domek grobowcu u podnóża Uspeńskiego Soboru. Tyle krwawych kart w historii Polski i Rosji, a na grobowcu tylko maleńka, słabo czytelna tabliczka: *Borys Godunow*.

*Oto sąd czerni – taka jest jej miłość!  
Pociechę chciałem znaleźć wśród rodziny,  
W małżeństwie córki szczęście jej  
widziałem –  
Narzeczonego śmierć jak burza zmiata...  
I tu przewrotna fama winowajcą  
Wdowieństwa córki znowu mnie  
mianuje,  
I kogo, kogo? Nieszczęsnego ojca!...  
Ktokolwiek umrze – jam jego mordercą:  
Ja przyśpieszyłem Teodora zgon,  
Jam otrul własną siostrę swą, carycę,  
Cnotliwą mniszkę Wszystko, wszystko  
ja!<sup>19</sup>*

– żalił się Godunow. Ale czy naprawdę był niewinny?

...Obok grobowca Godunowow przesunął się czarny cień. Wysoki, chudy mnich z cieniutką, krzywą bródką przechodzi zamyślony, z nabożnie złożonymi rękoma. Zrobiłem kilka kroków, aby mu zastąpić drogę i zapytać o ojca Makarego, lecz niespodziewanie otoczyła nas grupka hałaśliwie zachowujących się turystów. Byli to Włosi. Piękna młoda kobieta w okularach trzymała w dłoniach leciutki aparat filmowy, mnich odwracał głowę, nie pozwalając, aby uchwycił go obiektyw. Turyści włoscy porwali mnicha, który począł objaśniać im architekturę Ławry. Po chwili zniknął z nimi w drzwiach soboru.

Teraz natknąłem się na Siergieja i pana Antka. Zjedliśmy obiad w malutkiej restauracji w miasteczku, nie opodal sędziwych murów monasteru. Po obiedzie poszedłem do Ławry jeszcze raz, aby zapytać o ojca Makarego.

Mnich o wążutkich, skośnych oczach i brwiach prawie zrośniętych nad nosem objaśnił cichutko, jakby zwierzał mi ogromną tajemnicę:

– Ojciec Makary nie żyje. Zmarł ubiegłej jesieni. Boże, zmiłuj się nad nim.

Tak urwał się ślad, który znalazłem w listach Franciszka Boulaina i w domu na Arbacie.

Zajrzałem do zagorskiego muzeum i odnalazłem portret Maryny Mniszech. Rysy młodej kobiety wydały mi się delikatne, ale spojrzenie jej oczu – surowe, nieprzyjemne, bezwzględne.

Byłem rozczarowany. Więc to ta Polka zasiadła na carskim tronie?

<sup>19</sup> Aleksander Puszkina, Borys Godunow, przekład Seweryna Pollaka.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

**GDZIE DOKONANO PORWANIA? • CZY NICEFOR BYŁ „U-BERMENSCEM?” • NA ŁOWY! • „KROPOTKINOWIEC” NA ULICY KROPOTKINA • A MOŻE W BARABIŃSKIE STEPY? • SWIETŁOW • HISTORIA ŻELTUGIŃSKIEJ REPUBLIKI • SZUNKOW DEMASKUJE NICEFORA • MEDUZY \*W MIESZKANIU SZTABSLEKARZA • TU-104 ZAGINĄŁ**

Jak długo Nicefor Czernichowski odbywał służbę wojskową w Jenisejsku?

Nie wiemy. Historia mówi tylko, że w tymże czasie przybył do Jenisejska Jerofiej Chabarow, który odegrał niezwykłą rolę w procesie odkrywania Syberii i Dalekiego Wschodu.

W 1636 roku Chabarow zajął się w Jenisejsku handlem, a w 1638 roku powędrował nad Lenę. Tu na pustkowiu, u ujścia rzeki Kirengi, zbudował warzelnię soli i młyn oraz osadził rolników. W tych przedsięwzięciach zapewne pomagał mu młody Nicefor, w kilkanaście lat później znamy go bowiem jako nadzorcę warzelni soli w Ust-Kutsku w pobliżu Kireńska. To w Kireńsku rozegra się potem dramat, który zmusi Czernichowskiego do ucieczki aż nad wielki Amur.

Zabójstwa dokonano przed trzystu laty w słabo zaludnionej okolicy, oddalonej o tysiące kilometrów od większych skupisk ludności. Jakże odtworzyć właściwy obraz zdarzenia, jak odkryć motywy czynu, gdy jest poddawana w wątpliwość nie tylko data morderstwa, ale i miejsce zbrodni?

Z początku sądziłem, że zagadkę zabójstwa pozwoli mi rozwikłać Marian Dubiecki. Wszak, jak sam pisze: „Potomkowie Czernichowskiego Nicefora przetrwali w Daurii Nerczyńskiej dwa stulecia. Ostatnia latorośl Czernichowskich po kądzieli żyła jeszcze około 1872 roku w okolicach Nerczyńska”. Dubiecki właśnie w tym samym czasie był w Daurii Nerczyńskiej, być może rozmawiał z ową kobietą i usłyszał historię jej pradziada. Ale podana w szkicu Dubieckiego relacja o zabójstwie Obuchowa – nie może budzić zaufania.

Powiada Dubiecki, że pod koniec lipca 1660 roku w miasteczku Kireńsk nad Leną odbywał się doroczny jarmark z okazji święta Zbawiciela. Na jarmark przybył wojewoda ilimski, Obuchów, a także nadzorca warzelni soli z leżącego bardziej w górze Leny Ust-Kutska – Nicefor Czernichowski wraz z siostrą. Obuchów zobaczył piękną siostrę Nicefora, porwał ją i uwiózł statkiem w górę Leny w nocy z 24 na 25 lipca. Czernichowski zorganizował grupę zbrojnych, pogonił łodziami za Obuchowem, zabił go, a potem obrabował.

Zupełnie inaczej opisuje to zdarzenie S. Maksimów, Rosjanin, autor ciekawej książki Sybir i katorga.

*...W 1665 roku do warowni Ust-Kutskiej zdołał pomyślnie przybyć wojewoda ilimski, Wawrzyniec Obuchow. Odpoczął, rozejrzał się i wypatrzył ładną żonę dozorczy Czernichowskiego. Była tak ponętna, że (...) długo się nie namyślał. Równać swoje prawa wojewody z prawami wygnańca uważał za grzech i wielkie wykroczenie. Miał przed oczami niezliczone przykłady, między innymi znakomity zaborca ziem nadamurskich, Chabarow, sławny w tym względzie, nie robił żadnej ceremonii, zabierał cudze żony nikogo o to nie pytając. Obuchów tedy zabrał żonę Czernichowskiego i skończywszy sprawy nad Leną, popłynął z piękną Polką w górę Kutą do Ilimska. Ale co Chabarowowi uchodziło bezkarnie (połamał żebra włościanom jakuckim, przysłanym do Kiereńska na osiedlenie w granicach ziemi przez niego uprawianej i nic mu zrobić nie śmiano), co się udało Chabarowowi i innym wojewodom, to Obuchowowi nie uszło płazem.*

Kiedy więc dokonano zabójstwa? W 1660 czy w 1665 roku?

Kto został porwany? Żona czy siostra Nicefora?

Najpewniejszym źródłem powinny być najstarsze dokumenty. Sięgnąłem do „hramoty”<sup>20</sup> z 19 kwietnia 1680 roku, gdzie scharakteryzowano sprawę Czernichowskiego i jego przyjaciół:

*...pochodzą oni z Ust-Kireńskiej okolicy, wojewodę Ławrentija Obuchowa zabili za swoje ogromne cierpienia, bo on Ławrentij, przyjechawszy w ich Ust-Kireńską okolicę, żony ich niewolił i życia ich pozbawiał...*

I znowu sprzeczność. Gdzież więc Obuchów zobaczył panią Czernichowską. W Ust-Kutsku czy w Kireńsku?

<sup>20</sup> Hramota (ukr.) – pismo, dokument.

Jeszcze raz dokładnie odczytałem *Jeżemiesiacznyje Soczinienija* z 1757 roku. W miesięczniku Petersburskiej Akademii Nauk pisał znakomity historyk Syberii Miller, że w 1665 roku w warowni Kireńskiej odbył się latem wielki jarmark towarami, które powracający z Jakucka i innych miejscowości kupcy przywozili na sprzedaż. Na targi te, organizowane corocznie, przybył także wojewoda z Ilimska, aby rozstrzygnąć państwowe sprawy. Nocą 25 lipca w drodze z warowni Kireńskiej do Ilimska napadli na wojewodę buntownicy i zabili go. Dowódcą napadu był Polak lub Litwin, Nicefor, Romana syn, Czernichowski, który w 1638 roku wraz z innymi swoimi ziomkami został wysłany z Moskwy do Jenisejska celem odbycia na Syberii służby wojskowej. Z Jenisejska z nieznanых przyczyn przeniósł się do Ilimska. Tam wspomina się o nim dwukrotnie. Raz, gdy w 1650 roku był on zarządcą pierwszego osiedla chłopskiego w warowni Czeczujskiej, drugi raz – gdy w 1652 roku w Ust-Kutskiej warowni sprawował funkcje nadzorcy warzelni soli.

A więc jednak Kireńsk. Na tę miejscowość wskazują i inni autorzy: Andrijewicz, Słowcow, Parszyn. Oni także zaznaczają wyraźnie, że wojewoda Obuchów zniewolił żonę, a nie siostrę Czernichowskiego.

Z jakimż zachwytem wspomina Parszyn o ucieczce Nicefora!

*...gwałtem zabrał z sobą ojca Hermogenesa, założyciela Kireńskiego Spaskiego Monasteru, dla odprawiania modłów. Wspaniała cecha w rozbójniku, który nawet w chwili morderstwa i gwałtu myśli o religii.*

Czernichowski nie dokonał zabójstwa sam, dopomogło mu osiemdziesięciu czterech Kozaków. Gwałt, porwanie kobiety – były to na tym odludziu sprawy zwykłe i codzienne, nieodłączne od tamtejszego dzikiego, awanturniczego życia. Chabarow „zabierał cudze żony, nikogo o to nie pytając”. A jednak w tym jedynym wypadku – żony Nicefora – osiemdziesięciu czterech obiężyświatów różnego autoramentu, z których chyba niejeden miał na swym sumieniu nawet gwałt, nagle poczuło się obrońcami czci niewieściej?

*Porwanie się na cześć kobiety, gwałt, co ówczesny świat ku zachodowi leżący mienił sromotą – pisze Dubiecki – co go oburzało i przejmowało grozą, stawało się niezrozumiałą zagadką dla tamtejszych gromad osadniczych, kiedy przodujące nawet warstwy społeczne prowadziły targ niewiastami.*

I Dubiecki dalej wyjaśnia:

*Wspomnieliśmy już wyżej, że u kolebki Nicefora Czernichowskiego stała snadź matka rodu obcego północnym obszarom Azji, i to przypuszczenie*

*pewnikiem się staje, gdy przypatrzymy się bliżej jego postępowaniu. Wychowany w gnieździe na poły azjatyckim, zatraciłby bez tego ową spójnię życia rodzinnego, owo wysokie poczucie czci, tak święcie przechowywane u naszych ognisk domowych, a tak obce pojęciom osadników syberyjskich.*

Innymi słowy: gdyby matką Czernichowskiego nie była Polka, gdyby nie otrzymane w domu staranne wychowanie w duchu staropolskich tradycji czci dla kobiety – Nicefor nie przejąłby się porwaniem mu siostry czy też żony.

W innym miejscu powiada Dubiecki: „Niceforowi wiara w siebie, świadomość swej niezaprzeczonej wyższości, dodawała wiele nadziei”. Dla Dubieckiego więc Czernichowski – to coś w rodzaju „Urbemensch” górującego nad tłumami zdziczałych Rosjan i Azjatów. Zapomina, że wielu zesłańców, podobnie jak Czernichowski wychowanych przez matki-Polki, stawało się na Syberii najgorszymi okrutnikami i zdziercami. Prześladowani zmieniali się w prześladowców, jak ów słynny Jerzy Krzyżanowski, który w 1677 roku będąc, poborcą jasaku wśród Tunguzów, swoim zdzierstwem i handlem kobietami spowodował powstanie miejscowej ludności.

A osiemdziesięciu czterech Kozaków? Czy oni także mieli u kolebki „matkę rodu obcego północnym obszarom Azji”?

Nie, nie odpowiadała mi ckliwa, sentymentalna i chyba nieprawdziwa sylwetka Nicefora.

Porzuciłem zapiski. Wyruszyłem na łowy. Na poszukiwanie niedawno wydanej książki Szunkowa *Szkice historii rolnictwa na Syberii w XVII wieku*.

Padał deszcz. Zrobiło się chłodno. Jeszcze zielone do niedawna liście pod wpływem chłodu i wilgoci żółkły i czerwieniały. Po jezdniach i chodnikach spływały potoki brudnej wody. Odbywając swą codzienną podróż autobusem do biblioteki, zaledwie dostrzegałem ulice przez zapłakane szyby. Ale trasę znałem już prawie na pamięć. Z Nowińskiego Bulwaru wyjeżdżaliśmy na ogromną ulicę Czajkowskiego. Potem – plac Powstania i wielki mieszkalny wieżowiec. Dalej – ulica Hercena, wąska, ale ładna, i Nikickie Wrota, gdzie stoi pomnik Timiriazjewa<sup>21</sup>. Tu zaczyna się Twerski Bulwar – deptak sławny w czasach Puszkina, Gogola, Czechowa i Tołstoja. Dzisiaj rolę deptaka spełnia ulica Gorkiego na odcinku od hotelu „Moskwa” do pomnika Puszkina.

Zazwyczaj dopiero na ulicy Hercena przyklepałem nos do szyby autobusu. Ilekroć spostrzegałem cerkiew Wniebowstąpienia przypominało mi się niesamowite opowiadanie Puszkina o trumniarzu Adrianie Prochorowie, u którego kiedyś zeszyły się duchy pochowanych w jego trumnach osobistości. To tu, koło przysadzistej cerkwi Wozniesienija, pozdrowił Prochorowa strażnik Jurko, gdy trumniarz wracał z Razguliaja od zwłok kupcowej Truchiny.

<sup>21</sup> Kliment Timiriazjew (1842-1920) – rosyjski przyrodnik-darwinista.

Plac Maneżny... Maneż – duży i brzydki. Tutaj wysiadałem z autobusu i szedłem pieszo do ulicy Kalinina, gdzie było wejście do kompleksu gmachów biblioteki.

– Szunkow? Został kupiony, lecz znajduje się w oprawie.

Zapiąłem szczelnie nieprzemakalny płaszcz, podniosłem kołnierz.

Powędrowałem na Gorkiego, do księgarni Akademii Nauk.

– Nie ma! Sprzedano.

Zmartwiłem się tak wyraźnie, że ekspedientka dodała ze współczuciem:

– Proszę zajrzeć do Domu Uczonych na ulicy Kropotkina. Tam jest kiosk z naszymi wydawnictwami.

Pojechałem metrem do stacji „Kropotkinskaja”. Ruchome schody wyrzuciły mnie na nieduży plac. Stąd rozpoczynał się wąski pas zieleni, wielkim półkolem otaczający starą Moskwę – Gogolowski Bulwar.

Na bulwarze stały ławeczki, lecz drobny, dokuczliwy deszcz przegonił z nich ludzi. Na chwilę zatrzymałem się pod bezlistnym drzewem, które nie mogło dać ochrony przed wilgocią. Z rozrzewnieniem wspominałem, że w pierwszych latach pracy w redakcji nazywano mnie „kropotkinowiec”, z powodu mej skłonności do pracy niezorganizowanej i niesystematycznej. Jestem pewien, że ci, którzy dali mi ów przydomek, nie czytali dzieł Kropotkina<sup>22</sup>. Lecz Kropotkin był natchnieniem anarchistów, a ja zdradzałem niechęć do porządku.

Wspomniałem redakcję, a potem Kamilę i Roberta. W liście, który otrzymałem wczoraj, powiadał mi Robert, że Kamila staje się coraz ładniejsza, że spowazniała, bo przygotowuje się do głównej roli. Uczucia Roberta do Kamili – wywnioskowałem z listu – bardzo się wzmożyły. Z zagranicznego wojażu powrócił jednak Jerzy. Ten fakt napawał Roberta wielką troską. „Wariacie, oświadczyć się jej, póki czas” – napisałem do Roberta.

Gdy deszcz dał mi się we znaki, pomaszerowałem ulicą w poszukiwaniu Domu Uczonych. Czułem, że jestem śmieszny. Czy po to odstąpiłem od dziewczyny, która mi się podobała, zrobiłem mnóstwo długów i wydałem ogromną ilość pieniędzy, aby teraz po zadeszczonych moskiewskich ulicach gonić za jakąś książką?

...Ulica Kropotkina wydała mi się ulicą prowincjonalną, jakby przeniesioną z Kielc czy Radomia. Stało tu kilka ładnych budynków, jakieś instytuty, muzeum Tołstoja, ale mimo wszystko brakowało owego wielkomiejskiego charakteru i nastroju, odczuwanego na innych ulicach Moskwy, na Sadowej czy Czajkowskiego.

W Domu Uczonych sumiennie przeszukano nawet magazyn. Nie, nie było już książki Szunkowa.

– Radzimy wam odwiedzić instytut na ulicy Wołchonka. To bardzo blisko. Tam także jest kiosk z wydawnictwami Akademii.

<sup>22</sup> Książkę Piotr Kropotkin (1842-1921) – działacz polityczny, geograf i podróżnik, teoretyk i organizator ruchu anarchistycznego; anarchizm – teoria polityczna, wg której źródłem ucisku społecznego jest państwo, zatem rewolucja powinna znieść organizację państwową i wszelką władzę.

Przedłużeniem ulicy Kropotkina była ulica Pirogowa prowadząca do Nowodziewiczego Monasteru. Zwiedzałem monaster przed kilku laty – obok leżał cmentarz, gdzie były groby Prokofiewa i Eisensteina. „Może zajrzeć tam jeszcze raz?” – zastanawiałem się.

– Do diabła z monasterami! – warknąłem. I polazłem na Wołchonkę. Okazało się, że mieści się tam kilka instytutów naukowych. Ileż się napytałem, zanim wreszcie znalazłem kiosk z książkami.

I był Szunkow. Kupiłem go.

Niosłem książkę ostrożnie jak niemowlę. Próbowałem czytać na ruchomych schodach i w kolejce podziemnej. Wsiadłem na stacji „Ochotnyj Riad” i pośpieszyłem do „Metropolu”. Przy filiżance czarnej kawy zagłębiłem się w lekturze. Książka zawierała mnóstwo tablic, planów i wywodów na temat osiedlania się chłopów na Syberii. Pisano w niej o ziemi i płonach, czyli o sprawach zupełnie mnie nie interesujących. A jednak właśnie ta książka widniała w spisie bibliografii do tematu o Niceforze. Musiałem więc brnąć przez jej nabite drukiem karty. Przewidywałem, że zajmie mi to przynajmniej jedną noc.

Wypiłem kawę, zamknąłem książkę i zostałem zaproszony do stolika, przy którym siedział znajomy redaktor K. w towarzystwie szczupłego, średniego wzrostu mężczyzny o wyrazistej, pociągłej twarzy. Był to Michał Swietłow. Nie bez wielkiego wzruszenia podawałem rękę pocie. Znałem na pamięć jego śpiewną *Grenadę*. Ileż to razy recytowaliśmy ją na szkolnych wieczorkach literackich.

Swietłow wypytywał o Polskę, o polskich poetów, interesował go szczególnie Woroszyłski, lecz niestety, nie byłem w stanie zaspokoić jego ciekawości. Redaktor K. pokiwał dobrodusznie głową. Była w tym geście odrobina współczucia, trochę pobłażliwości i zdziwienia.

– A wy myślicie – zwrócił się do Swietłowa – że on wie, co w jego kraju piszą współcześni poeci? Jego interesują stare cerkwie, monastery, on aż nad Amur się wybrał, żeby szukać śladów jakiegoś Polaka, co twierdzą postawił. On lubi tylko to, co stare, co już mchem obrosło.

I znowu smutnie pokiwał głową. Powiedział do mnie:

– Ech, ty. Ty byś się wybrał w barabińskie stepy, tam ugory orze nasza, młodzież. Tyś młody człowiek. Rzuć w diabły tę starzyznę. Zobacz, jak nasi ludzie czynią wielkie, rzeczy. Do Barabińska jedź. Jedź choćby jutro, ze mną.

Uśmiechnąłem się blade. Nie miałem nic na swoją obronę.

Dojrzałem przyjazne spojrzenie Swietłowa i począłem mu się zwierzać ze swej wariackiej pasji szukania śladów Czernichowskiego. Opowiedziałem mu o znalezionej na podłodze małej karteczce, która spowodowała moją gonitwę za urojonym, tajemniczym Ałbazinem. Cóż z tego, że to może śmieszne, bezużyteczne? Czy w naszym świecie wszystko trzeba mierzyć miarką przydatności? Czy nie wystarcza, że te poszukiwania czynią mnie szczęśliwym? Pewien mądry pisarz powiedział: „Każdemu człowiekowi co innego jest



potrzebne do szczęścia” Być może ktoś inny na drodze do Albazina czułby się obco, a w barabińskich stepach odnalazłby siebie. Zresztą, czy można z całą stanowczością powiedzieć, że moje poszukiwania są zupełnie niepotrzebne?

Potem mówił Swietłow. Mówił, że należy chronić w sobie te wszystkie drobne, kruche uczucia i urojenia, choć wydają się śmieszne, niepoważne, bo przecież właśnie one – ich odrębność i świeżość, a przede wszystkim ich bezinteresowność – czynią człowieka naprawdę wartościowym.

Wspomniałem *Grenadę* Swietłowa. Pomyślałem o stepie, o jadących w bój żołnierzach, z których jeden zamiast myśleć o wrogu, o czekającej go walce – śpiewa piosenkę o jakiejś wymarzonej Grenadzie w słonecznej Hiszpanii. Czy piękno tego wiersza nie zawiera się także i w tym, że jego bohater nie nuci o wolnej Ukrainie, za którą idzie w bój, lecz o Grenadzie, nie znanej mu, nie widzianej?

Pożegnałem Swietłowa gorącymi słowami. Wskoczyłem w taksówkę i kazałem się zawieźć do hotelu. Kierowca zdziwił się, gdy nagle poprosiłem go, aby skręcił z drogi i przewiózł mnie przez Psi Placyk.

Wciąż padał deszcz, miarowo szemrały wycieraczki na szybach samochodu, asfaltowe jezdnie lśniły od wilgoci. Była dopiero piąta po południu, lecz już zapadł mrok. Po ulicach snuły się ciemne smugi deszczu.

Sobaczja Płuszczadka. Pusta ławeczka, na jej drewnianych pręcikach kilkanaście zeschniętych liści. Zdawało mi się, że przemknęliśmy obok bezszelestnie jak duchy.

W ogromnym westybulu unosił się zapach egzotycznych perfum, mieszały się dziwne słowa i dziwne języki. Ale teraz byłem już do tego przyzwyczajony, stanowiły częstkę mego życia w Moskwie.

Ledwie wszedłem do swego pokoju – zadzwonił Siergiej. Po godzinie przyszedł do mnie z informacjami o Żeltugińskiej Republice.

Bywa szczęście w nieszczęściu. Takim zdarzeniem rozpoczęła się historia Żeltugińskiej Republiki lub – jak ją inaczej nazywano – Ignaszyńskiej Kalifornii.

Wiosną 1883 roku na terytorium północnej Mandżurii, 16 kilometrów od Amuru, nad rzeką Żeltugą (dopływie rzeki Mała Albazicha) – pewien wieśniak, kopiąc grób dla swej zmarłej matki, znalazł w ziemi kilka samorodków złota. Wieść o tym odkryciu, jakby niesiona na drutach telegrafu, szeroko rozeszła się po obydwu brzegach.

Amuru, po Syberii i Kraju Zabajkalskim. Nad Żeltugę, w bezludną okolicę (35 kilometrów od rosyjskiej osady Ignaszyno), przyciągnęło dziesięć tysięcy ludzi: Chińczyków, Rosjan, Mandżurów i innych. Byli to poszukiwacze złota, a także wszelkiego rodzaju awanturnicy, handlarze, włóczędzy, katorżnicy zbiegli z Sachalinu i kopalń Nerczyńska. Gnała ich żądza wzbogacenia się, „gorączka złota”, którą tu nazywano „żeltugomanią”.

Słabo zaludnione miasta Kraju Zabajkalskiego i ziem nadamurskich poczęły odczuwać brak rąk do pracy. Wzrastały ceny na żywność, złoto zaś wymyte w Żeltudze wyciekało do Chin. Błagowieszceńsk, Czyta i Nerczyńsk dotknięte zostały kryzysem ekonomicznym. Władze miejscowe podejmowały uchwały zabraniające emigracji nad Żeltugę, lecz nakazy te były niewykonalne z powodu słabej ochrony granic zarówno ze strony rosyjskiej, jak i chińskiej. Na granicy Niebieskiego Państwa administracja nie przedstawiała żadnej siły.

Wśród przybyłych nad Żeltugę obieżyświatów i poszukiwaczy złota zapanowało prawo pięści, prawo silniejszego. Mnożyły się zabójstwa, kradzieże, rabunki – trwała walka o bogactwo, a wraz z nią wzrastało zdziczenie.

Jesienią 1883 roku zgromadzeni nad Żeltugą poszukiwacze złota postanowili zaprowadzić porządek, aby bez lęku można się było poświęcić wmywaniu złota z piasku złotonośnej rzeczki. Zorganizowali własne urzędy, utworzyli sąd, ustanowili swoje prawa, tworząc w ten sposób jakby państwo – Żeltugińską Republikę. Wybrali spośród siebie prezydenta – a był nim poszukiwacz złota Karl Fasse, Niemiec czy też Włoch. Następcą jego został Rosjanin, poszukiwacz złota, były adwokat z Błagowieszceńska – P.P. Prokunin.

A gdy wkrótce okazało się, że zarówno Fasse, jak i Prokunin czerpią nielegalne zyski ze swych urzędów, na nowego prezydenta wybrano Stanisława Bełzaka, młodego syna inżyniera z Irkucka, a na jego zastępcę – Karola Szulca, z pochodzenia Niemca. Dowódcą miejscowej milicji został niejaki Franciszek Boulain. Każdy z tych nowych zarządców Żeltugińskiej Republiki nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, złotodajne miejsce ściągało bowiem przede wszystkim ludzi młodych, skłonnych do awanturniczego trybu życia.

Według oświadczenia gazet irkuckich, tomskich i władzywostockich – Żeltugińską Republika była organizmem państwowym zdolnym do istnienia. Władza, która powstała nad Żeltugą, umiejętnie i z dużym autorytetem utrzymywała porządek. Ludność terenów złotonośnych podzielono według ilości zimowisk na pięć stref. W każdej strefie wybierano dwóch „starszych” podlegających prezydentowi, posiadających pełnię władzy na swoim terenie. Według ustawodawstwa wprowadzonego w Żeltugińskiej Republice winni najróżniejszych przestępstw podlegali surowym karom, poczynając od wygnania z terenów Republiki, a kończąc na karach cielesnych – od 100 do 500 różeg. Za zabójstwo karano śmiercią. Osobom wybranym do sprawowania władzy płacono pensje z funduszków pochodzących z podatków ściąganych od właścicieli lokali rozrywkowych i kupców. Z tych funduszków finansowany był także szpital, którym zarządzał lekarz.

Trzy lata istniała Żeltugińska Republika. W ciągu tego czasu wymyto około 500 pudów<sup>23</sup> złota.

W 1886 roku przybył nad Żeltugę oddział chińskich żołnierzy, który zawładnął osadą, rozpędził poszukiwaczy złota i powołał wojenny sąd polowy. Rosjanie i cudzoziemcy mieszkający nad Żeltugą zostali wygnani, a Chińczyków, którzy nie zdążyli uciec, skazano na nieludzką chłostę. Wielu z nich ścięto. Wedle ówczesnego zwyczaju, głowy pomordowanych

<sup>23</sup> Pud – miara wagi = około 16 kg.

wbito na wysokie tyki i ustawiono wzdłuż Amuru celem odstraszenia poszukiwaczy złota od powrotu nad Żeltugę.

Uciekinierzy z Żeltugińskiej Republiki opowiadali potem, że gdy Chińczycy napadli na miasteczko poszukiwaczy złota, trzej zarządcy – prezydent Bełzak, wiceprezydent Szulc i komendant milicji Boulain – zrabowali 25 pudów złota, przeznaczonych na utrzymanie administracji i szpitala w republice, załadowali wszystko na łódź i pod osłoną nocy spłynęli Żeltugą do Amuru, a potem puścili się w dół wielkiej rzeki. Co się stało z nimi i ich bogactwem – tego, niestety, nikt nie wiedział.

Ludzie ograbieni ze swego majątku musieli zdobywać żywność żebrząc po drogach, kradnąc i rabując. Dwie osady – Ignaszyno i Pokrowka – których mieszkańcy dorobili się wielkich majątków, dostarczając żywność poszukiwaczom złota i prowadząc dla nich lokale rozrywkowe, zamarły. Ludziom zdemoralizowanym łatwymi zarobkami nie chciało się już jąc dawnej, ciężkiej pracy. Pola zamieniły się w ugory

Tak więc nareszcie dowiedziałem się, dlaczego Bełzak kazał się niekiedy nazywać prezydentem. Kiedy wraz z Szulcem i Boulainem uciekał z biegiem Amuru, wtedy być może znowu napadli na nich Chińczycy. W tej sytuacji ukryli ciężkie wory ze złotem w Albazinie i zabrawszy ze sobą prawdopodobnie tyle złota, ile każdy mógł unieść, pieszo ruszyli w głąb łądu. Tu musiało dojść do jakiejś bójki z włóczęgami. Szulc został ranny i nie mógł dalej uciekać. Zostawili go więc umierającego na skałach i uciekli ze swoim i jego złotem. Po jakimś czasie Bełzak zdołał dotrzeć do Polski i stał się tutaj zamożnym człowiekiem, Boulain zaś, jak można sądzić z jego listów, przepił w Moskwie cały swój majątek. Tymczasem Szulc, wylizawszy się z ran, rozpoczął poszukiwania swoich dawnych przyjaciół. Szukał nie tylko złota, ale przede wszystkim zemsty. Prawdopodobnie nie potrafił odnaleźć skarbu, który wspólnie ukryli w Albazinie; może był już chory i pamięć miał zaćmioną? Odnalazł jednak Boulaina, a ten dał mu adres Bełzaka i tak trafił do Kamionek...

O pierwszej w nocy, leżąc w łóżku i czytając książkę Szunkowa, natknąłem się wreszcie na nazwisko Czernichowskiego.

*...Będący w służbie w Ilimsku N. Czernichowski w latach pięćdziesiątych sam był „gończym” za bandą zbiegów, kierujących się do Daurii. W grupie tej, którą bezskutecznie starał się on zatrzymać, byli chłopci, ich dzieci oraz najemnicy okresowi, zbuntowani za przyczyną „podgowornej gramotki”<sup>24</sup> W kilkanaście lat później Czernichowski jeszcze raz poszedł tą drogą, ale już jako przewodnik podobnej bandy, po rozprawie z Obuchowem...*

<sup>24</sup> Podgoworna gramotka (roś.) – podburzająca ulotka.

Czy Dubiecki znał ten fakt z życia Czernichowskiego? Jakże nie pasuje on do sylwetki Nicefora, nakreślonej przez szacownego historyka. Czernichowski-Europejczyk, „świadomy swej wyższości” – ścigający ludzi, którzy zbuntowali się i wyrwali spod jarzma ucisku...

Dzień następny był ostatnim dniem mego pobytu w Moskwie. Padał deszcz, tak jak wczoraj. Do południa kompletowałem notatki, na obiad wybrałem się z Siergiejem do restauracji „Pekin”. Zamówiliśmy sałatkę z meduz, bulion z jaskółczymi gniazdami, jakieś przedziwne danie z pędów młodego bambusa i zieloną mocną herbatę. Smakowała mi tylko herbata i bulion z jaskółczymi gniazdami. Sałatkę z meduz zaledwie dziobałem, próbowałem żuć pędy młodego bambusa. Od stołu wstałem głodny.

W hotelowym biurze podróży załatwiłem ostatnie formalności związane z wyjazdem na Daleki Wschód, zapisałem się na listę pasażerów samolotu TU-104 lecącego do Chabarowska.

Przed wieczorem deszcz przestał padać, ale na Moskwę opadła mgła. Na rzece przed hotelem cichutko buczał statek, po ulicach wlokły się autobusy oślepione białą, bezkształtną watą.

Poszedłem na spacer po Twerskim Bulwarze aż do pomnika Puszkina. Potem nagle zdecydowałem się: wsiadłem w taksówkę i zajechałem przed brzydki, dwupiętrowy dom, gdzie w mieszkaniu sztabs-lekarza urodził się autor *Zbrodni i kary*. Obok znajduje się piękny dziewiętnastowieczny budynek, ongiś szpital dla biednych, w którym lekarzem był ojciec Dostojewskiego. Dziś ulica przy szpitalu nosi imię wielkiego pisarza, lecz za jego życia nazywała się „Nowoj Bożedomki”, a swoje dziwne nazwanie przyjęła od stojącego w tej okolicy Domu Ubogich i cmentarza dla nierozpoznanych nieboszczyków.

Szara, brzydka oficyna, szpital dla nędzarzy, Dom Ubogich, cmentarz nierozpoznanych nieboszczyków – jest w tym coś symbolicznego, że właśnie w takiej dzielnicy przyszedł na świat autor *Wspomnień z domu umarłych*. Wolniuteńko wędrując po salach muzeum Dostojewskiego, mieszczącego się w dawnym mieszkaniu ojca pisarza, nie mogłem pozbyć się natrętnej myśli, że temu tak genialnemu, a jednocześnie tak tragicznemu pisarzowi widok nędzy i nieszczęść ludzkich towarzyszył od dzieciństwa. Nie mogło to pozostać bez wpływu na jego późniejszą twórczość, pełną opisów dramatów ludzkich.

W ów smutny, mglisty dzień moskiewski jeszcze raz przebiegałem w myśli historie zawarte w książkach Dostojewskiego.

Stanąłem przy skromniutkim, niewielkim biurku, na którym leżały rozrzucone niedbale osobiste drobiazgi Dostojewskiego, jakby pisarz dopiero co wyszedł i za chwilę miał powrócić. Nie wiem dlaczego, uwagę moją przykuły okulary w cieniutkiej oprawce. Przez te szkła oczy pisarza spoglądały w głąb duszy ludzkiej. Podłużne, kruche kawałki szkła...

Opuściłem muzeum z gardłem ściśniętym wzruszeniem. Na ulicy otoczyła mnie mgła – duszna i wilgotna. Znalazłem taksówkę i zdążyłem jeszcze na seans nocny do kina, w którym wyświetlano drugą część „Iwana Groźnego”. Wróciłem do hotelu oczadziały grozą, w oczach

miałem czerwień ponurych scen. Na próżno próbowałem pozbyć się wspomnienia sugestywnej twarzy Czerkasowa w roli Iwana Groźnego. Prześladowały mnie jego błędne oczy.

Przygotowałem sobie gorącą kąpiel, na chwilkę otworzyłem radio. Za pięć dwunasta nadano ostatnie wiadomości. Zapoczątkował je komunikat; o rozbiciu się samolotu TU-104. Załoga i pasażerowie zginęli.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

**PRZEZ SIEDEM GÓR I SIEDEM RZEK • SIEDMIOMILOWE BUTY •  
RZKA CZARNEGO SMOKA • AMURSKIE ELDORADO • OMSK •  
„PAMIĘTAJCIE O NAS, NIEWOLNIKACH” • PRZEOCZENIE  
DZIEJOPISÓW • WYPRAWA POJARKOWA • CZY POJARKOW BYŁ W  
AŁBAZINIE? • IRKUCK • „SMAŻYŁEM I PYTAŁEM” •  
ROZCZAROWANIE CHABAROWA • JAKSA CZY AŁBAZIN? • LĄDUJĘ W  
CHABAROWSKU**

Wsiadłem do samolotu w nastroju dość ponurym. Było chmurno, z nie wyjaśnionych przyczyn termin odlotu ciągle przesuwano.

TU-104 wyglądał jak wielki, opasły rekin z nadmiernie długimi płetwami. Wewnątrz na miękkich, wygodnych fotelach rozsiadło się siedemdziesięciu pasażerów. Przy każdym fotelu był schowek z maską tlenową, potrzebną na wypadek wzniesienia się w strefę rozrzedzonego powietrza. Młoda stewardessa zapowiedziała, że odrzutowiec będzie pędził z szybkością 800 kilometrów na godzinę na wysokości 10-12 kilometrów.

Uzmysłowiłem sobie kolosalną odległość, jaka dzieliła mnie od celu podróży. Spojrzenie na mapę budziło przestrah. Jest to skok nad Azją, z jej rozległym niżem zachodniosyberyjskim, ogromnym płacykiem wyżu środkowosyberyjskiego, łańcuchami Gór Jabłonowych i Stanowych. To już nie siedem rzek i siedem gór jak w bajce, ale kilkanaście wielkich rzek i łańcuchów górskich. Na szczęście istniały owe bajkowe siedmiomilowe buty. Siedmiomilowe? TU-104 za jednym skokiem robi prawie 3000 kilometrów. I trzy takie „kroki” daje do Chabarowska.

Zamknięto drzwi. Zapaliło się czerwone światełko; zagasiliśmy papierosy, zapięliśmy pasy. Ogłuszył nas huk motorów, samolot potoczył się wolno na pole startowe. Teraz łoskot wzmógł się, zdawało się, że w uszach popękają bębenki. TU-104 długo toczył się po betonowym polu, aż wreszcie, jakby z dużym wysiłkiem, poderwał się do lotu. Wznosił się powoli, majestatycznie – ogromna latająca ryba. Wydawało mi się, że nagle zwała się na

mnie wielka góra; byłem zgnieciony i głuchy. Dopiero ponad chmurami odzyskałem równowagę i słuch. Motory samolotu pracowały równomiernie, spokojnie i nam, zamkniętym w hermetycznym kadłubie, zdawało się, że są prawie zupełnie ciche. Cichsze od wiatru, który gniótł kadłub, rozpruwający powietrze w straszliwym pędzie.

Mój sąsiad, oficer marynarki, wszczął ze mną rozmowę. Podobnie jak i ja – leciał do Chabarowska. Stamtąd miał pojechać pociągiem do Władywostoku. Miejsca przed nami zajęła rodzina – mąż, żona i niemowlę, które złożono do specjalnie przygotowanego łóżeczka z siatki. Dziecko zapłakało i w samolocie od razu zrobiło się jakoś przytulniej, po domowemu.

Chmury leżały w dole tak nisko, że stały się prawie niewidoczne. Zaświeciło słońce. Lecieliśmy w stronę Uralu.

...Do Chabarowska nad Amurem – 12 godzin podróży, z tego 9 godzin lotu.

A w czasach Nicefora Czernichowskiego przestrzeń tę przemierzano dwa lata, zatrzymując się na okres zim i zamrzniętych rzek. Zimy w tamtych stronach są długie i mroźne.

W owych odległych latach, gdy Nicefor przybył do Jenisejska, aby odbyć służbę wojskową, gródek ten istniał dopiero od dwunastu lat i był najdalej na Wschód sięgającym ramieniem władcy zasiadającego w moskiewskim Kremlu. Potężna, leniwie płynąca rzeka Jenisej była granicą świata już zbadanego, poznanego, opanowanego.

*Na wschód od Jeniseju – pisał Dubiecki – Tunguz, Buryat i Sacha, później nazwany Jakutem, mienili się jeszcze panami dzikich ostępów, szerokich i wartkich rzek, niezbrodzonych puszczy, poza którymi w naiwności ducha uważali się za najzupełniej bezpiecznych, niby pod osłoną dział...*

Na oczach Czernichowskiego i przy jego czynnym współudziale dokonał się nowy wielki skok – z Jeniseju na Lenę.

Chabarow w pustyni u ujścia Kirengi zakłada warzelnię soli, osadza rolników, a Czernichowski jest z tymi przedsięwzięciami dość chyba silnie związany, skoro został zarządcą pierwszego osiedla chłopskiego, skoro ściga chłopów uciekających Leną z nowych osad. Tak z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok – trwa walka o nowe, wciąż nowe terytoria.

*Chyżby lodzie osadczych, tratwy naprędce sklecone, napelnione zbrojnymi szykami różnobarwnej i wielojęzycznej rzeszy, jednocześnie prawie dają się widzieć na wszystkich rzekach, co Lenie haracz ze swych wód płacą. Oko spostrzegacza gubi się wśród przestrzeni i zaledwie biec*

*zdola za mnogimi wyprawami, przedsiębranymi przez śmiałych kondotierów<sup>25</sup> w czwartym dziesiątku siedemnastego stulecia. Oto jedni zapuszczają się w knieję dziką Sachy i nad ojczystą jego rzeką budują ostróżek Jakuck, który ma przewodniczyć długo podrzędniejszym placówkom osadczych tłumów, inni idą w zapasy z Buryatem, gromią niesforne hufy tubylców u wodospadów Angary lub powierzają swe losy szeroko rozlanym falom Leny, rozniecając wędrowne ogniska na lodowatym pomorzu wód podbiegunowych.*

*Dążąc ku owym nieznanym morzom, spotkali mężni przodownicy wieść o krajach obfitych we wszystko, zaludnionych plemieniem rolniczym, mających miasta i rojących się kupczącą ludnością. Wieść owa, spotkana na krańcach globu, wśród dzikiego otoczenia pustyni, przyjęta była z zapalem.*

*...Widzieliśmy – mówili wędrowcy – ludy mające swe grodki; widzieliśmy u nich bardziej cenne ruchomości niż u dotychczasowych poskromionych tubylców. Jedni z nich, Daurowie i Duczary, bawią się rolnictwem, inni z ościennymi kupczą, płacąc im nie skórą, ale kawalkami srebra i złota, którego do syta zawiera w swym łonie ich cudna kraina...*

I rodziła się legenda o przebogatych krainach, leżących za łańcuchami gór, nad ogromną nie zbadaną rzeką. Jej czarne, niespokojne wody, rozlewające się na wiele kilometrów, budziły grozę w wyobraźni ludzkiej. Wydawała się bowiem jakby żywym stworem wijącym się po ziemi w węzowych splotach i dwa razy do roku pochłaniającym wielkie połacie łądu. Chińczycy nazywali ją „Hejlunghiang”, co znaczy Rzeka Czarnego Smoka, Mandżurowie – Sachalian-Uła, czyli Czarna Rzeka, Mongołowie – Kara Muren, czyli Czarna Niezbrodzona Woda. Rosjanie ochrzcili ją imieniem – Amur.

Im groźniejsze były wieści o trudach i wielkich niebezpieczeństwach, zagrażających podróżnym w wyprawie nad Czarną Rzekę, im dokładniejsze nadchodziły informacje o srogich zimach, które w drodze czyhają na wędrowców, o dzikich zwierzętach zamieszkujących lasy, o stromych skałach, które wypadnie pokonać, o licznych rzekach, których nurt trzeba zwyciężać – tym bardziej wyraziste stawało się wyobrażenie o krainie chlebem i złotem płynącej, gotowej otworzyć swe skarby przed tymi, co pokonają wszystkie niebezpieczeństwa. I tym silniejsze stawało się pragnienie dotarcia w te strony legendarne. Wieści o amurskim Eldorado wprawiały w ruch dwa najpotężniejsze motory ludzkich poczynań: ciekawość i żądza bogactwa.

*Nikt wprawdzie jeszcze nie stanął w onym raju ziemi, nikt nie sięgał po cenny kruszec, co tam tak obficie miał zalegać nadbrzeżne smugi, a przecież każdy pragnął być przodownikiem w osiedleniu się na Kara-Murenie.*

<sup>25</sup> Kondotier (z włos.) – w XIV i XV w. najemny dowódca oddziału wojskowego we Włoszech.



*Wielka jednak odległość, a bardziej jeszcze twierdze zdziałane dłonią przyrody – owe knieje niezbrodzone, niezmierne przestrzenie pozbawione osiedlisk ludzkich, najeżone legowiskami dzikiego zwierza – wstrzymywały najśmielszych nawet przodowników.*

Lecz nie na długo.

...Za okrągłymi okienkami TU-104 – noc pełna głębokiej czerni. Dotknąłem dłonią malutkiej dźwigni ukrytej w ręczce fotela, opadło oparcie i teraz już półleżę w szerokim fotelu. Samolot sunie równiutko jakby po gładkiej powierzchni. Gdyby nie te leciutkie, ledwie wyczuwalne drgania kadłuba i tak monotony, że prawie niedosłyszalny szum motorów odrzutowych, można by przymknąć oczy i zatracić poczucie rzeczywistości. Nic nie podtrzymuje bowiem przekonania, że z niezwykłą szybkością przecina się przestworza, że pod nogami, pod wyłożoną dywanem podłogą, 10 kilometrów poniżej – leżą szczyty Uralu.

A może już jesteśmy w Azji, lecimy nad rzeką Toboń lub Iszym?

Znowu ucisk w uszach. Trwa długo. Obniżamy lot bardzo powoli. Potem błyska czerwone światelko przy kabinie pilotów i prawie równocześnie dostrzegam miliony światel majestatycznie przesuwających się w dół.

– Omsk – mówi stewardessa.

Omsk leży nad wielką syberyjską rzeką Irtysz. Godzinna przerwa w podróży. Nabieranie nowego zapasu paliwa.

Samolot wylądował na krańcu lotniska. Stoi na betonowym pasie startowym – niemy i mroczny. Otacza nas noc, w dali widać kilkanaście światel. Zajeżdżają dwie duże cysterny, reflektory oświetlają samolot; rozpoczyna się tankowanie paliwa.

Noc jest mroźna, wieje przenikliwy, chłodny wiatr. Drepczemy po stwardniałej od chłodu ziemi obok pasa startowego. Nie mogę nie myśleć, że oto znajduję się w miejscu, dokąd zsyłano tysiące Polaków na mękę trudnego, prymitywnego życia, na straszliwe mrozy i cierpienia. Drepczę w ciemnościach z dala od samolotu, potykam się na koleinach wyżłobionych przez koła cystern. Świszczę wiatr. Trudno opędzić się od obrazów, które zostały w pamięci po przeczytaniu wstrząsającej książki Maksimowa *Sybir i katorga*. Podmuchy wiatru uderzają w samolot, łomocą w skrzydła.

Z lotniska, które zdaje się nie mieć kresu, w ciemności nocy syberyjskiej nadchodzi wciąż zimno i chłód. Uparcie przypominają mi się słowa „pieśni miłosiernej”, śpiewanej przez zesłańców błagających na etapach o kęs pożywienia.

*Litościwi nasi ojcowie,  
Pamiętajcie o nas, niewolnikach,  
Zamkniętych.*

*Na miłość Chrystusa,  
Dajcie nam jeść, ojcowie.  
Nakarmcie nas biednych, uwięzionych.  
Ulitujcie się, nasi ojcowie,  
Ulitujcie się, nasze matki...*

Denerwujący jest łomot i świst wichru. Pustka i ciemność lotniska szarpia nerwy. Reflektory cystern oświetlają fragment samolotu – jakiś dziwny, srebrzysty kształt i sylwetki ludzkie okropnie połamane i wyolbrzymione przez światło.

Po kręconych żelaznych schodach pnę się do wnętrza TU-104. Zapadam w swój fotel, ogarnia mnie rozkoszne ciepło. Przez okrągłe okienko widzę odjazd cystern. Piloci zajmują miejsca w swojej kabinie. Trzaskają zamykane drzwi. Czerwone światełko. Odrywamy się od ziemi do nowego wielkiego skoku.

Bierzemy kurs na Nowosybirsk nad rzeką Ob, w stronę Abakanu nad Jenisejem, w kierunku gór Sajany.

Na chwilę zapadam w drzemkę. Potem budzę się, palę papierosa. W samolocie jest łagodny, miły półmrok. Próbuję zastanowić się nad pytaniem, które trapiło mnie już od dawna. W XVII wieku tu nad Jenisejem i dalej na wschód, jak pisał Dubiecki, trwał bój wielki, przeoczony przez dziejopisów świata; zdobywano przestrzenie, wobec ogromu których znikają przestrzenie Europy.

O odkryciu obydwu Ameryk napisano tysiące rozpraw naukowych i powieści. Jakież skromny jest wykaz książek związanych z poznaniem i zdobyciem łądu na wschód od Uralu.

Zapewne, odkrycie Nowego Świata dokonane przez Kolumba było czymś naprawdę niezwykłym i jedynym w historii, najbardziej brzemienne, w bezpośrednie skutki dla całej ludzkości. Ale obok Kolumba zażywają sławy dziesiątki i setki innych podróżników, gdy nie mniejsi od nich – odkrywcy obszarów pomocnej i wschodniej Azji – pozostają w zapomnieniu. Jeśli pragniemy poszukać Polaków, którzy odegrali naprawdę poważną rolę w poznaniu świata, to znaleźć ich możemy przede wszystkim w historii odkryć ziem położonych na wschód od Uralu. Kopec<sup>26</sup>, Kowalewski<sup>27</sup>, Czekanowski<sup>28</sup>, Czerski<sup>29</sup>, Dybowski<sup>30</sup>, Sieroszewski<sup>31</sup>, Piłsudski<sup>32</sup> – cała plejada nazwisk polskich.

<sup>26</sup> Józef Kopec (1762-1810) – brygadier wojsk polskich, wzięty do niewoli w bitwie pod Maciejówkami, został zesłany do Irkucka, następnie na Kamczatkę; ziemie te opisał w wydanym dopiero w 1837 r. Dzienniku podróży.

<sup>27</sup> Józef Kowalewski (1810-1878) – filomata, po aresztowaniach wśród młodzieży wileńskiej zesłany do Kazania, gdzie był profesorem języka mongolskiego; badacz; języków wschodnich, autor słownika mongolsko-rosyjsko-francuskiego; jeszcze za życia wystawiono mu pomnik w Pekinie.

<sup>28</sup> Aleksander Czekanowski (1830-1876) – geologia – nauka o ziemi, badacz Syberii, gdzie został zesłany za udział w powstaniu styczniowym. Czekanowski przeprowadził szerokie badania geologiczne i geograficzne nad Bajkałem i nad Leną, przebył około 25000 kilometrów po niemal zupełnie nieznanymi obszarach północnej Azji i zgromadził ogromne zbiory naukowe, obejmujące: 4000 okazów paleontologicznych, 18000 okazów zoologicznych i 8000 botanicznych. Jego imieniem nazwane zostało pasmo gór w pobliżu ujścia Leny, jeden z grzbietów Gór Daurkich i osada nad górną Chatangą.

<sup>29</sup> Jan Czerski (1845-1892) – paleontolog (badacz skamieniałości zwierzęcych i roślinnych), geolog; jako siedemnastoletni młodzieniec zesłany na Syberię za udział w powstaniu styczniowym, wslawił się wyprawami

Podróże odkrywcze przez burzliwy ocean zdawały się być bardziej niebezpieczne, a tym samym otoczone większą chwałą niż podróże odbywane drogą lądową. Odmęty oceanu, romantyka podróży morskich – być może – miały więcej uroku dla ludzi pióra.

Czy bardziej bolesna jest jednak śmierć załogi okrętu, pozbawionej słodkiej wody i pozostającej z dala od lądu niż śmierć, jakiej uległa drużyna Pojarkowa, śmierć z głodu na ogromnych przestrzeniach syberyjskich, w bezludnej pustyni zasypanej śniegiem? Ci na morzu marzyli o ujrzaniu lądu. Ci na lądzie tęsknili i całą siłą swej woli parli do brzegu oceanu. Dlaczego niejednakowo widzieć ich bohaterstwo.

Na odkrycie ziem leżących nad mityczną rzeką Amur wyruszył Kozak, Wasyl Pojarkow, w dniu 15 lipca 1643 roku z gródka Jakuck nad dolną Leną. Jakuckiem zarządzał wówczas wojewoda Gołowin, on to wyposażył ekspedycję i wraz z Pojarkowem ustalił początkową trasę wyprawy.

Pojarkow otrzymał od Gołowina kilkanaście łódek, oddział stu dwunastu Kozaków i piętnastu ochotników, żadnych przygód. Dla obrony, o ironio, przydano wyprawie jedno działo żelazne, strzelające kulami o ciężarze pół funta. Na domiar złego, prawie na początku podróży łódka z zapasami ołowiu do działa uległa uszkodzeniu i zapas ołowiu utonął. Działo okazało się więc bezużyteczne.

Organizując wyprawę myślał wojewoda Gołowin przede wszystkim o konkretnych korzyściach, jakie mu ona może przynieść: o zwiększeniu jasku i daniny dla cara w Moskwie. Nie można mieć pretensji, że wojewoda jakucki nie okazał się inny niż królowie Hiszpanii i Portugalii.

Popłynęli najpierw w dół Leny i przebywszy około 125 kilometrów skierowali się przeciw nurtowi Ałdanu. Cztery tygodnie ciągnęli łodzie na linach idąc wzdłuż brzegu, przebyli prawie 1300 kilometrów, zanim ukazało im się ujście rzeki Uczur. Dziesięć dni wędrowali wzdłuż Uczuru, potem skręcili w rzekę Gonam. Wypadło im teraz dokonać wprost nadludzkiego wysiłku, by przebyć czterdzieści dwa porohy<sup>33</sup> i dwadzieścia dwa straszliwe wiry. Budowali na rzece drewniane tamy, niekiedy wlekli łodzie po skałach nadbrzeżnych. Trzydzieści pięć dni trwało przedzieranie się przez ten ciężki teren. A gdy już tylko pięć dni geologicznymi i geograficznymi na obszary Kraju Zabajkalskiego, gór Sajanów, Gór Wierchojańskich. Zbadał dorzecze Jany, Indigirki, Kołomy. Tutaj zmarł na gruźlicę, a po jego śmierci żona Marta doprowadziła do końca naukową ekspedycję męża, docierając do brzegów Oceanu Lodowatego. Najwyższy masyw gór wschodniej Syberii nosi nazwę Gór Czerskiego. Nazwisko Czerskiego nosi także pasmo gór na Zabajkału.

<sup>30</sup> Benedykt Dybowski (1833-1930) – wybitny zoolog i podróżnik, zesłany w 1864 r. na Sybir, wstawił się odkryciami i badaniami bogatej fauny Bajkału, Amuru, Ussuri; jego imieniem nazwano około 50 gatunków zwierząt.

<sup>31</sup> Wacław Sieroszewski (1858-1945) – powieściopisarz i etnograf (ludoznawca); w 1880 r. zesłany na Syberię, powrócił w 1885r. od 1900 r. podróżował – zwiedził Mongolię, Mandżurię, Chiny, Japonię, Koreę, Sachalin, następnie Indie i Egipt; pracę naukową łączył z twórczością literacką.

<sup>32</sup> Bronisław Piłsudski (1866-1918) – etnograf i lingwista (znawca języków), w 1886 r. został skazany na 15 lat ciężkich robót na Sachalinie. Po kilku latach, uzyskawszy trochę swobody, zajął się studiami nad kulturą tamtejszych ludów, w 1899 r. został kustoszem muzeum we Władywostoku, w 1903 r. brał udział w wyprawie Sieroszewskiego na Hokaido i do Japonii, zorganizowanej w celu przeprowadzenia badań etnograficznych.

<sup>33</sup> Poroh (ukr.) – próg skalny w łożysku rzeki, powodujący wodospad.

drogi dzieliło ich od ujścia rzeczki Nujemki – łodzie dostały się w okowy lodu. Zakończył się pierwszy etap podróży.

Znaleźli się w nieznannej, dzikiej i zupełnie bezludnej okolicy, niedaleko gór. Poczęli rąbać drzewa i budować zimowisko, w którym zamierzano przeczekać mrozy. Lecz Pojarkow nie potrafił pogodzić się z myślą, że podróż jego została wstrzymana na długie zimowe miesiące. W zimowisku pozostawił część oddziału wraz z zapasami żywności i broni, a sam wraz z dziewięćdziesięciu ludźmi, zbudowawszy sanie i narty, rozpoczął dalszą podróż. Oddział pozostający w zimowisku miał z wiosną następnego roku dotrzeć nad rzekę Zeję i popłynąć na spotkanie z Pojarkowem.

Ludzie szli na nartach trzy tygodnie, wlokąc za sobą sanie z żywnością, grzęznąc w głębokim śniegu, pnąc się na szczyty górskie. Wreszcie dotarli nad górny bieg rzeki Brianty, skąd po lodzie udało im się dostać nad Zeję. Tutaj u ujścia rzeki Umlekan po raz pierwszy napotkali tubylców. Byli to Daurowie, zajmujący się myślistwem i pasterstwem.

Znalazszy u Daurów chleb i bydło, Pojarkow zdecydował się prezimować. Lecz żywności u Daurów starczyło na bardzo krótko, zapasy ekspedycji wyczerpały się – przyszły mrozy, a wraz z nimi głód. Próbowano odżywiać się korą sosnową i wykopywać spod śniegu korzenie drzew; zimowe tygodnie stały się długim, okropnym konaniem z głodu i wycieńczenia. Co kilka dni umierał ktoś z oddziału Pojarkowa, a wiosna zdawała się być ciągle daleka i nieosiągalna. Umierali z głodu w śnieżnej pustyni, z dala od domów rodzinnych i bliskich.

*Zapasy się kończą, lecz trzeba iść w przód,  
Szlak ciemny w nieznanne się ścieli.  
I trudy, i znoje, i zimno, i głód  
Kozacy znieść w drodze musieli.  
A w oczy ich biły wichura i deszcz,  
Niejedną noc w śniegu przebyli,  
I wielu Kozaków dosięgła tu śmierć,  
Zostali w śniegowej pustyni.<sup>34</sup>*

Gdy pozostawiony za górami niewielki oddziałek wczesną wiosną spłynął Zeją i napotkał zimowe leże Pojarkowa, z dziewięćdziesięciu ludzi – którzy wraz z innymi wyruszyli na nartach – przeżyło zaledwie czterdziestu.

Świadomy czyhających niebezpieczeństw, podjął Pojarkow znowu trud wyprawy. Ledwo ruszyły lody na rzekach, spłynęli Kozacy Zeją do Amuru, który Pojarkow nazwał „Szylkarem”. Po trzytygodniowej podróży w dół Amuru zobaczyli ujście rzeki Sungari. Zatrzymali się tu na odpoczynek, a podjąwszy dalszą podróż, po sześciu dniach stanęli u ujścia Ussuri, którą Pojarkow nazwał „Mamur”.

<sup>34</sup> Piotr Komorow, Srebrny kubek.

I znowu miesiąc podróży Amurem aż do Morza Ochockiego, do ujścia Czarnej Rzeki. Wśród Giliaków zamieszkujących ujście Amuru zdecydował się Pojarkow pozostać na zimę 1644/45 roku. Giliacy uznali władzę Rosjan i złożyli im jasad 12 „soroków”<sup>35</sup> soboli i 6 sobolich futer.

Zimą Kozacy Pojarkowa zbudowali łodzie, którymi na początku lata 1645 roku wypłynęli na Morze Ochockie i, trzymając się brzegów łądu, trzy miesiące przedzierali się na północ przez burzliwe fale. Dopiero w rok później, a w trzy lata od rozpoczęcia podróży, wrócił Pojarkow do Jakucka. Przybyło z nim tylko trzydziestu trzech ludzi, dwudziestu osadził u ujścia rzeki Uli celem zbierania jasadu. Na szlaku tej ogromnej drogi pozostały kości osiemdziesięciu ludzi, którzy trzy lata wcześniej wraz z Pojarkowem wyruszyli z Jakucka.

A jakież był plon wyprawy?

Przywiózł Pojarkow skóry sobole, trzech Giliaków zabranych znad ujścia Amuru i rzecz najcenniejszą – notatki i plany odkrytych ziem, wryte nożem na korze brzoźowej i na desce...

Zdrzemnąłem się. Obudził mnie lekki ucisk w uszach – znowu szliśmy w dół. Samolot zniża się nad Jenisejem? A może to już Angara i Irkuck?

Ucisk w uszach ustąpił. Znowu płynęliśmy równo, jak statkiem po uśpionym jeziorze, które wokół samolotu rozlewało się czarną nocą.

Wspomniałem poemat Komarowa o srebrnym kubku.

Mroźna by sądzić, że Pojarkow pił wodę amurską gdzieś w pobliżu Ałbazina, bowiem ałbaziński Kozak po trzystu latach wręcza żołnierzom jego srebrny kubek. Jest to oczywiście tylko licencja poetycka<sup>36</sup>. Pojarkow nigdy nie był w Ałbazinie, na Amur wpłynął Zeją, kilkaset kilometrów powyżej Ałbazina. To dopiero Jerofiej Chabarow twardą nogą stanął w Ałbazinie i osadził tam załogę kozacką. Lecz na bardzo krótko. Gdy do Ałbazina przyplłynął Czernichowski – była tam już tylko bezludna pustynia. A i po nim została pustka.

## **Irkuck**

Zawiało od tego słowa chłodem. Otwarto drzwi samolotu i w twarz uderzył mnie pęd ostrego zimowego wiatru, który niósł z sobą śnieg. Pierwszy śnieg, jaki zobaczyłem w tym roku.

...Wciąż jeszcze trwa noc. Przeniknięty chłodem prawie biegnę do stojącego w pobliżu dworca lotniczego. Czuję do siebie niechęć i jakby niesmak. Jest chyba w tym jakiś nietakt, że rozparty w wygodnym fotelu próbuję rozważać sprawy ludzi, którzy odbywali tędy drogę w straszliwej męce. A ledwo ukąsił mnie mróz – umykam w ciepłe wnętrze dworcowej restauracji. Lecz czy krytyk musi być najpierw pisarzem? Czy muszą odbyć drogę na łódkach i na nartach, aby osądzać ludzi, którzy w tych odległych czasach właśnie tak podróżowali?

<sup>35</sup> Sorok (ros.) – czterdzieści.

<sup>36</sup> Licencja poetycka (z łac.) – dowolność poetycka w przedstawianiu rzeczywistości.

A jednak uczucie, że popełniam nietakt, nie opuszcza mnie. Nie opuszcza mnie także mój temat. Rozpoczęta w samolocie dyskusja z moim sąsiadem, oficerem marynarki, przenosi się do restauracyjnego stolika. Tu wygodniej rozłożyć mapę, z zachwytem pokiwać głową nad przestrzenią przebytą z taką prędkością i tak wygodnie.

W górze mapy, nad kółeczkiem z napisem Irkuck, maleńkie kółeczko miasteczka Ust-Kutsk, gdzie Czernichowski nadzorował warzenie soli. Nieco powyżej na prawo – Kireńsk, gdzie Nicefor dokonał zabójstwa. A trochę na lewo – Ilimsk, skąd przybył wojewoda Ławrentij.

Sąsiad z samolotu nie wie, że tropię ślady zesłańca Czernichowskiego. Sądzi, że jestem dziennikarzem, którego obchodzi przede wszystkim współczesność, a tylko gwoli dopełnienia swej wiedzy interesuję się historią ziem syberyjskich. Dlatego najpierw z dumą wskazuje na mapie linię kolejową, która z Taiszetu idzie do Ust-Kutka, pokazuje miejsce, gdzie na Angarze buduje się ogromną elektrownię wodną. Dopiero potem rozmowa znowu schodzi na historię. Dyskutujemy o Chabarowie.

Kim był ten człowiek? Co go gnało naprzeciw niebezpieczeństwom? Czy był awanturnikiem, jakich wielu żyło wówczas na syberyjskich pustkowiach? Człowiekiem interesu goniącym za zyskiem czy gorącym patriotą? A może był i jednym, i drugim, i trzecim. Pełnokrwistym człowiekiem obdarzonym wspaniałymi cechami: rzutkością i odwagą.

Uznać go chyba trzeba za przedstawiciela młodego, rodzącego się kapitalizmu. Z pochodzenia chłop, ale czy to właśnie nie z chłopstwa rodzili się rosyjscy Artamonowie<sup>37</sup>? W rodzinnej wsi nigdy nie okazałyby swych talentów, odrabiając pańszczyznę dla bojarów. Dopiero tutaj, w swobodnych warunkach syberyjskiego życia, okazał swoje żywiołowe zdolności: handluje, buduje młyny i warzelnie soli, osadza chłopów na zdobytej ziemi. A wreszcie decyduje się zainwestować kapitał w imprezie niezwykle ryzykownej, ale mającej przynieść stokrotne zyski. Postanawia zorganizować ekspedycję do przebogatych ziem daurskich, gdzie podobno soboli jest jak wron na polach – jednym strzałem można ich ubić kilka. Skórki sobole są na wagę złota, a na daurskiej ziemi jest także i złoto, i srebro, i chleb, i bydło. Czyż nie przywiózł Pojarkow dwanaście razy po czterdzieści skórek sobolich?

Czyż nie opisywał, że „carowym ludziom na tej ziemi chleba nigdy nie zabraknie”?

Chabarow to typ północnego konkwistadora<sup>38</sup>. Kieruje nim pragnienie zysku, ale czy inne namiętności powodowały Kolumbem? Jest jednocześnie gorącym patriotą rosyjskim. Ale czyż nie byli patriotami konkwistadorzy w Ameryce, czy nie zagarniali ziem dla swoich królów i swojej ojczyzny? Nie łudźmy się – jego metody postępowania wobec tubylców są metodami zdobywcy. Pojarkow radził zachowywać z ludnością daurską stosunki przyjazne, nie uciskać jej, nie wchodzić z nią w konflikt. Ale to zapewne działalności wyprawy

<sup>37</sup> Artamonowie – bohaterowie powieści Maksyma Gorkiego *Artamonow i synowie*, w której autor na przykładzie trzech pokoleń daje obraz kształtowania się społeczeństwa kapitalistycznego.

<sup>38</sup> Konkwistador (z hiszp.) – zdobywca, który w XVI w. na własną rękę opanowywał kraje Ameryki Środkowej i Południowej.

Pojarkowa, należy przypisać fakt, że gdy Chabarow pojawił się na kresach ziem daurskich, zastał grodki opuszczone przez ludność. Daurowie uciekli na samą wieść o Kozakach, choć w czasach Pojarkowa witali ich bardzo życzliwie.

Chabarow zresztą niczego nie ukrywa w swych relacjach z wypraw. Mówi o sobie krótko: „Smażyłem i pytałem”. To, czego nie udawało mu się osiągnąć namową, perswazją lub podstępem, zdobywał torturami. Bo niby dlaczego Kozak Jerofiej Chabarow miałby być inny niż wysłannicy arcychrześcijańskich królów? Niż Cortez<sup>39</sup> i dziesiątki hiszpańskich i portugalskich odkrywców? Mimo ich krwawych czynów historia obesza się z nimi bardzo łagodnie. Podobnie i z Chabarowem. Na szlaku Jerofieja Chabarowa istnieją osady i miasta jego imienia, po Daurach zaś pozostały jedynie resztki starych umocnień „daurskiego typu”, naniesione na archeologiczne mapy.

Skończyliśmy ogryzać kurze kostki. Ułożyliśmy na talerzach noże i widelce.

– Ot, zjedliśmy kurę i z Chabarowem dotarliśmy nad Amur – powiedziałem kończąc naszą dyskusję.

Oficer marynarki roześmiał się i bezradnie rozłożył ręce.

– Przecież nie nasza to wina, że drogę, na którą Pojarkow strawił prawie półtora roku, my przebedziemy w trzy godziny. Takie nastały czasy. Ledwo zdążysz zjeść kurę, a już jesteś na drugim końcu świata.

Wstaliśmy od stołu. Megafon zapowiadał odlot naszego samolotu. Świtało, prószył śnieg, było bardzo zimno. Jeszcze poprzedniego dnia chodziłem po Moskwie w letnim płaszczyku. A tutaj – na gładkim lotnisku wiatr porusza długimi warkoczami śniegu.

Odlatujemy o świcie i jakby wprost we wschodzące słońce.

...Trzy lata minęły od powrotu Pojarkowa, gdy w Ilimsku do wojewody Francbekowa zgłosił się Jerofiej Chabarow z czołobitną prośbą o zezwolenie na zorganizowanie grupy ochotników, z którymi mógłby odbyć nową podróż do ziem daurskich. Wojewoda dał zezwolenie. Koszt wyprawy wziął na swe barki Chabarow.

Zebrało się tylko siedemdziesiąt osób, choć Chabarow zamyślał o stu pięćdziesięcioosobowej wyprawie. Strach przed ogromną przestrzenią, przed głodem i chłodem silniejszy się okazał niż pragnienie bogactwa. Zaledwie z garstką ludzi, wiosną 1649 roku, popłynął Chabarow w dół wodami Leny, a potem skręcił w Oleknę. Poprzez burzliwe i pełne porohów wody Olekmy, przeciw silnemu prądowi wiosłowali ludzie Chabarowa przez całe lato i jesień. Przed nadejściem mrozów zdążyli zaledwie dobić do ujścia Tungiru, prawobrzeżnego dopływu Olekmy. Teraz zbudowano sanie i przygotowano narty, by ciągnąć na saniach zapasy prowiantu. 18 stycznia 1650 roku wyruszono wzdłuż zamrożonego Tungiru. W trzaskający mróz, który niekiedy dochodził do 50 stopni Celsjusza, w zamieciach śnieżnych, w skalistym kraju bez dróg, bez śladu wskazówki, którą należy kierować kroki –

<sup>39</sup> Fernando Cortez (1485-1547) – konkwistador hiszpański; w latach 1513-1521 podbił krwawo państwo Azteków w Meksyku, odkrył Kalifornię.

Chabarow przebył Góry Stanowe i zszedł w dolinę rzeki Ur. Korytem tej rzeki dostał się do niedalekiego już Amuru, na ziemię, gdzie panował daurski książę – Ławkaj.

I tu podróżnych spotkało straszliwe rozczarowanie. Osady Daurów okazały się opuszczone przez tubylców, ogarniętych przerażeniem. Były to gródki obronne, otoczone palisadami, głębokimi rowami i wałami, posiadającymi tajne wyjścia na wypadek wojny. Wewnątrz grodków stały drewniane domy z papierowymi oknami. Lecz domy te witały pustką.

Trzecim kolejnym gródkiem, z którym zetknął się Chabarow, był właśnie Ałbazin, inaczej zwany Jaksa, bo i pod takim imieniem podobno spotkać można go na starych mapach. Pusty ten gródek wybrał Chabarow na główne osiedle dla swych ludzi. Stąd robił wyprawy w dół Amuru. Ale i one przyniosły tylko rozczarowanie. Choć książę Ławkaj odwiedził Chabarowa w Ałbazinie i cierpliwie wysłuchał jego zapewnień o pokojowych celach wyprawy – jednak nie wierząc słowom Chabarowa, wraz ze swymi ludźmi umknął do daurskich książąt Gildigi i Szyłgineja, pod opiekę potężnego księcia Bogdoja, któremu Daurzy płacili daninę. Ów Bogdoj – to chyba nie kto inny, jak: przedstawiciel chińskiego bogdychana. Ziemie daurskie podporządkowane były bowiem państwu chińskiemu, gdzie rządziła wówczas dynastia mandżurska.

Dauria – były to dalekie kresy chińskiego mocarstwa, ogromnego, lecz jakże nieruchawego, nieskorego do szybkiej decyzji. Pierwszy posterunek „władzy” bogdychana znajdował się o dwa tygodnie drogi rzeką od Ałbazinga. A stamtąd do stolicy bogdychana pozostawało jeszcze czterdzieści stacji poczty mandżursko-chińskiej. Dużo wody musiałoby upłynąć, zanim wieść o wypadkach nad Amurem przeniknęłaby do stolicy Chin, jeszcze więcej – zanim zbiurokratyzowana administracja chińska podjęłaby jakąkolwiek decyzję. Mimo to Chabarow czuł się słaby ze swą garstką ludzi. W pierwszym daurskim grodku pozostawił pięćdziesięciu Kozaków, a sam wiosną 1650 roku zjawił się w Jakucku, aby prosić o posiłki.

Tak skończyła się pierwsza wyprawa Chabarowa, a rozpoczął się nowy etap historii gródka Ałbazin.

Ałbazin, czyli Jaksa?

Hubiecki szeroko rozwodził się w tej sprawie.

*„Ałbazin”. Pod tym mianem znajdują je roczniki i pamięć ludu rosyjskiego; te miano i obecna doba wskrzesiła; a jednak chińskie geografie, kroniki pekińskich latopisów<sup>40</sup> i opowieści europejskich ziemopisów w XVIII wieku – jednogłośnie mienią rzekomy „Ałbazin”: „Jaksa”. Powaga owej epoki, świątły Władysław Łubieński, późniejszy prymas Rzeczypospolitej, w swym nader rzadkim dziele „Świat we*

<sup>40</sup> Latopis – kronikarz.



*wszystkich swych częściach” mieni także osadę ową „Jaksa”. Muller w swej „Historii Syberii”, a również i w rozprawie swej, wspomina o nazwie „Jaksa”, szukając w chińskim języku jej pochodzenia. Późniejsi ziemiopisowicze i badacze rzeczy syberyjskich, gdy mówią o pierwocinach kolonizacji na Amurze, zahaczają o tę nazwę lekkomyślnie, zowiąc ją „chińskim wyrazem” i kilku ogólnikami ją rozstrzygając. Tymczasem jest to bez zaprzeczenia nazwa nasza, jest to przydomek, jeśli nie Czernichowskiego, to jednego z najbliższych i najmilszych mu współwędrowców, którego wspomnienie osadczy związał z dziejami swej pracy i energii.*

Nicefor Jaksa-Czernichowski – to brzmi bardzo ładnie. Dubiecki mówi o tym z taką pewnością i z tak wielkim przekonaniem, że aż nie chce się podawać w wątpliwość jego słów. Tym bardziej, że przydomek „Jaksa” był rzeczywiście dość popularny w Polsce; niedawno oglądałem koło Piotrkowa ruiny gniazda rodu Jaksów-Bykowskich. Był Jaksa-Bykowski, czemuż nie miałby być Jaksa-Czernichowski?

A jednak stare rozprawy dotyczące historii Syberii podają, że nazwa „Jaksa” jest wcześniejsza, starsza od nazwy „Ałbazin”. A więc nie mogła być nadana przez Czernichowskiego. Ongiś grodek nad Amurem zwał się „Jaksa” i pod takim mianem figuruje w kronikach chińskich. Przed przybyciem Chabarowa rządził grodkiem daurski książę Ałbaza. Nie znając chińskiej nazwy, Rosjanie ochrztili grodek – Ałbazinem. I to miano przetrwało do czasów dzisiejszych.

Powołuje się Dubiecki na prymasa Łubieńskiego. Ale na próżno szukałem u niego choćby najmniejszej wzmianki o daurskim grodku „Jaksa”. Na mapie załączonej do książki szacownego prymasa widnieje wyraźnie – „Ałbazin”.

A więc Ałbazin czy Jaksa?

– Amur! Oto Amur! – trąca mnie łokciem mój towarzysz podróży.

Przysuwamy twarze do okienka. Samolot płynie w czystym, bezchmurnym przestworzu. Leci dość nisko – pod nami szeroka płaszczyzna o barwach: żółtej, brązowej, szarej i czarnej. Tysiące jeziorok większych i mniejszych, kilka splatających się z sobą wstęg. Rozlewisko Amuru zdaje się ciągnąć dziesiątki kilometrów, nie uregulowana rzeka włada na wielkiej równinie, dwa razy do roku zamieniającej się jakby w jedno wielkie morze.

Samolot zniża się coraz bardziej, zatacza wielki łuk. Na chwileczkę majaczy w kąciku okienka skrawek wielkiego miasta, a potem lądowanie. Koniec długiej, dwunastogodzinnej podróży.

Na dworze jest ciepło. O wiele cieplej niż w Omsku czy w Irkucku. Bliskość Morza Japońskiego i Pacyfiku łagodzi klimat. Świeci słońce i gdy po betonowym lotnisku wędruję na dworzec, tuż za ogrodzeniem dostrzegam drzewa okryte złotymi liśćmi.

Z dworca lotniczego wychodzi mi naprzeciw niski, w średnim wieku mężczyzna o bardzo ujmującym uśmiechu. Może wyróżnił mnie wśród pasażerów samolotu kusy płaszczyk z lodenu? Mężczyzna poznaje mnie nieomylnie, pyta jednak o nazwisko. Witamy się serdecznie. To Andrzej Priszwin, chabarowski pisarz, znany polskim czytelnikom z książki *Na brzegach Zei*. Jest kuzynem owego sławnego i bardzo interesującego pisarza Mikołaja Priszwina, autora tyłu wspaniałych, książek o Dalekim Wschodzie.

Sadowimy się w malutkim moskwiczu, którego Priszwin prowadzi z dużą wprawą. Z lotniska do miasta jest 8 kilometrów. Priszwin wypytuje mnie o temat, który mnie przywiódł aż w te dalekie strony. „Tu jest już koniec naszego globu” – mówi ze swym miłym uśmiechem. I widać od razu że jest zakochany w tym „końcu globu”, że tego kraju „daleko od Moskwy” nie zamieniłby na żaden inny.

Wjeżdżamy w szerokie nowoczesne ulice, zabudowane ładnymi blokami mieszkalnymi. Gdzież jest to drewniane miasteczko parterowych domków, które przed czterdziestu laty oglądał mój krewny, budujący tu kolej żelazną?

Zatrzymujemy się na dużym, okrągłym placu. Andrzej Priszwin zachęcającym gestem zaprasza do wyjścia z samochodu. Stoimy przed wysokim pomnikiem. Na cokole, w nieco niedbałej pozie tkwi wysoki mężczyzna w szubie i kozackiej papasze.

– To Jerofiej Pawłowicz Chabarow – mówi Priszwin. I dodaje: – Nie wie, biedak, że przyjechaliście, aby uszczknąć mu jego młojojeckiej sławy.

Potem gościnny pisarz zawozi mnie do hotelu „Daleki Wschód”, gdzie czeka już na mnie pokój. Priszwin żegna mnie, radzi wypocząć po podróży. Zniosłem ją raczej źle, mam podkrążone oczy, jestem blady i senny.

Wyjmuję z walizki swoje rzeczy i rozwieszam je w szafie. Dzwoni telefon. To redakcja miesięcznika *Daleki Wschód* zaprasza mnie na jutrzejszy dzień.

Budzę się o drugiej w nocy i mimo usiłowań nie potrafię zasnąć.

W Chabarowsku wskazówki zegarka przesunąłem o siedem godzin. Ale przyzwyczajęń organizmu nie można równie łatwo odmienić. Wiercę się na łóżku, wreszcie zapalam światło.

...Aż do rana piszę listy.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

**„DALEKI WSCHÓD” • OKROPNE BÓSTWA W SUKACZI-ALAN • TRZY SŁOŃCA • NOC NA STATKU • STRACH • TAJEMNICZY SZAMAN • DRUGA WYPRAWA CHABAROWA • WAROWNIA ALBAZIŃSKA • GROŻBA MANDŻURSKICH WOJSK • NIEPOKOJĄCE OCZY SZAMANA • KORZEŃ MANDRAGORY • ZEMSTA**

Przedpołudnie następnego dnia spędziłem w redakcji miesięcznika *Daleki Wschód*. Poznałem naczelnego redaktora Aleksandra Rogala – wielkiego, trochę kulejącego mężczyznę. Rozmowa z nim sprawiła mi dużą przyjemność. Okazał się człowiekiem zakochanym w przyrodzie swego kraju. Na krańcu Euroazji, jak kwoka kurczęciem, opiekuje się każdym talentem literackim, pozwala mu zabłysnąć tak, że widać go w całej Rosji. Jak mi mówiono, dał możliwość zadebiutowania czterdziestu znanym dziś pisarzom rosyjskim. Miesięcznik *Daleki Wschód* jest odskocznią dla młodych talentów, jest pierwszym szczeblem na rosyjski parnas<sup>41</sup>.

Było w tym coś ujmującego, gdy redaktor Rogal radził mi machnąć ręką na dysputy z historykami i wypuścić się w nową podróż – na poznanie piękna Amuru. Natychmiast zresztą podniósł słuchawkę telefoniczną i wywiedziało się o statki odpływające z Chabarowska w dół rzeki. Opuszczając redakcję miałem już bilet na statek. Pośpiech ten okazał się bardzo potrzebny. Z Błagowieszceńska sygnalizowano o nadpłynięciu kry. Statek, którym odjechałem w dół Amuru – był jednym z ostatnich w tym roku.

– Musicie najpierw zobaczyć nasz kraj, Amur jest przepiękny. Wielka, nieujarzmiona rzeka. Ach, gdyby to było lato, wypuścilibyśmy się razem w podróż. Nie, nie statkiem. Malutką łódeczką.

Podobał mi się ten jego nieugaszony niczym zachwyty. Mam słabość do ludzi, którzy umieją widzieć piękno swego kraju.

Po południu poszedłem na brzeg Amuru.

<sup>41</sup> Parnas (grec.) – w starożytności siedziby muz i Apollina; przenośnie – zamknięte środowisko wybitnych pisarzy i poetów.

Główna arteria Chabarowska – ulica Karola Marksa – kończy się okrągłym placem. Dalej jest duży park, po stoku wzgórza zbiegający do rzeki. Jest ona tutaj bardzo szeroka, pod Chabarowskim wlewa się do Amuru potężna Ussuri, a jeszcze wyżej – mandżurska rzeka Sungari. Płynące z gór wody Szyłki są jasne i czyste. Lecz mętny i żółty jest nurt rzek spływających z krainy Mandżu. Dlatego wody Amuru wydają się ciemne, a gdy pada na nie słońce – są czarne. Amur nazywają Czarną Rzeką.

W wietrzne dni wzdymają się na rzece fale tak duże, jak na morzu i niosą do brzegu białe grzywy piany. W okresie wojny aż do Chabarowska wpływały z oceanu wielkie statki, bo Amur jest nie tylko szeroki; jego wody mają dużą głębię – nazywają więc Amur niezbrodzonym. – O Wołdze – najpotężniejszej rzece europejskiej – mówią Rosjanie pieszczotliwie „matuszka Wołga”, o Amurze zaś, największej rzece Syberii – „Amur, batiuszka”.

Z pasażerskiej przystani popłynąłem motorówką kilka kilometrów w dół Amuru, do maleńkiej osady o egzotycznej nazwie: Sukaczi-Alan. Motorówka płynęła bardzo szybko, świeciło słońce, pozostawała za nami leciutka mgiełka rozprysniętej wody i długi biały ślad na rzece. Po obydwu stronach wielkiej wody towarzyszyły mi wysokie, porośnięte lasera „sopki”, czyli wzgórza. Te z prawej strony ciągnęły się aż do Chorskiego Grzbietu i dalej, hen ku górcom Sichote-Alin.

Upajał mnie ostry zapach wody, palcami przytrzymałem rondo kapelusza, chroniąc go przed pędem wiatru. Nagle motorówka zrobiła ostry zakręt i poczęła zbliżać się do brzegu. Wpłynęliśmy między laguny i mielizny. I raptem wprost z wody wychyliły się ku nam jak straszliwe potwory – wielkie granitowe głazy. Były one pokryte dziwacznymi rysunkami rozchodzących się coraz szerzej kółek. Przypominały przymrużone oczy okropnych stworów, patrzących na nas ze strasliwym grymasem na kamiennych twarzach.

Sądzi się, że rysunki na skałach mają trzy, a nawet cztery tysiące lat. Jakim strachem musiały one napełniać serca dawnych mieszkańców tych ziem, gdy płynąc po rzece, raptem dostrzegali na skałach wstrząsające oblicza?

Czy był to wizerunek Mu-Anduri, czyli Boga Wody, wedle wierzeń żyjących tutaj Nanajców? Ale wizerunki te starsze są niż zamieszkujące nad Amurem plemiona Nanajców, Ulczów, Nichwów i Giliaków.

To ich dalecy protoplasci pozostawili je na granitowych skałach. A może – jak mówi legenda – są to odbicia okropnych potworów zaludniających glob ziemski, gdy ziemia wrzała i kipiała od gorąca.

Legenda powiada: było to w czasach, kiedy na niebie świeciły aż trzy słońca. Ich żar czynił na ziemi piekło, ziemia była jak gotujący się kocioł. Ludzie ginęli od żaru, aż znalazł się pewien odważny szaman, ustrzelił z łuku dwa słońca. „Jedno, środkowe, pozostało. Woda kipiała – stała się górą. Góra kipiała – stała się rzeką. Potem można było żyć dobrze, ludzie zaczęli rozmnażać się szybko”.

Nad Amurem i w Kraju Nadmorskim nigdy nie ma za wiele słońca, a jego blask i ciepło są życiodajne. Skądże więc opowieść o strasznym słońcu u ludu, który go nigdy nie miał za dużo, który po ciężkiej zimie odżywał w jego promieniach?

Uczeni szukają źródeł legendy. Sądzą, że zrodziła się ona na południu, gdzie słońce ma siłę niszczycielską, susze zamieniają ziemię w pustynię i gubią rodzaj ludzki. Może w ucieczce przed śmiertelnością suszą i żarem słońca wywędrowały z południa jakieś ludy i osiadły tutaj, nad Amurem? Czy więc kolebką ludu zamieszkującego ongiś środkowy Amur i Kraj Nadmorski była dolina Żółtej Rzeki, Huang-ho, gdzie przed pięcioma tysiącami lat rozwijała się pradawna kultura?

Po powrocie do Chabarowska udało mi się nabyć w antykwariacie dzieła Arsenjewa. Czytałem je do późnej nocy – natrafiłem na opis legendy o cesarzu Czinie, o którym na moskiewskim skwerku opowiadał mi staruszek. Z żalem dowiedziałem się od Arsenjewa, że na próżno poszukiwano studni, w której miały się znajdować złote posągi; na miejscu studni rozpościerały się teraz bagna. Zaginęła ona chyba bezpowrotnie.

O pierwszej w nocy opuściłem hotel i poszedłem ku nabrzeżu. Miasto już spało, ulicą z rzadka przejeżdżały samochody, śpieszyli do domów bardzo nieliczni przechodnie. W mroku nie widziałem już ani świateł miasta, ani rzeki, czułem tylko szeroki zapach wody i słyszałem głos parostatku, jakby nawołujący mnie do podróży.

Byłem o dziesięć tysięcy kilometrów od domu – ta myśl nawiedziła mnie niespodziewanie. Słyszałem na betonie nabrzeża werbel swych głośnych kroków i poczułem się ogromnie samotny, zagubiony na ogromnych przestrzeniach ziemi. Statek u przystani miał mnie zawieźć jeszcze dalej na wschód, jego głos narastał w ciemnościach, stawał się coraz głośniejszy i bardziej rozkazujący: wzywał i gromił.

Przystanąłem. Tknęło mnie pytanie, które dotąd ukrywałem tak skrętnie, odsuwałem od siebie niecierpliwym gestem maniaka.

„Właściwie czego tutaj szukam? Po co znów jadę, wciąż dalej i dalej? Jaka siła kazała mi porzucić wygodny fotel przy biurku i gnać tysiące kilometrów?”

Byłem oślepiiony ciemnością i otaczającą mnie ciszą październikowej nocy. Wydawało mi się, że na całym globie ziemskim, okrytym mrokiem, pozostałem tylko ja sam i ów ponury, głęboki głos – buczenie statku – dobywający się jakby spod ziemi. Chciało mi się krzyczeć ze strachu – i dziś nawet nie wiem, dlaczego. Nie znajdowałem żadnej realnej przyczyny swej podróży. Wydawała mi się niezrozumiała, a przez to i przerażająca. Rozpaczliwie rozglądałem się wokół siebie, szukając w ciemnościach jaśniejszego punktu, na którym mógłbym oprzeć wzrok.

Zerwał się wiatr i z szelestem poniósł po betonie garść zeschniętych liści. Dojrzałem w mroku dwa czerwone światelka przystani. I ogarnęła mnie tak wielka tęsknota na dalszą podróżą i przygodą, że potykając się na śliskich stopniach, na oślep zbiegłem w dół nad samą rzekę. Po drewnianym pomoście wszedłem na statek, jakiś marynarz wskazał mi schody w

górze do pomieszczeń I klasy, gdzie zarezerwowano dla mnie jednoosobową kabinę. Zadyszany rzuciłem na małą kojekę futerał lornetki i torbę z pidżamą, notatnikiem i maszynką do golenia. Potem przysunąłem twarz do szyby okienka, ale niczego oprócz mroku nie mogłem dojrzeć. Z głębi statku, spoza cieniutkich, drewnianych przepierzeń kajuty, dochodziło do mnie całe bogactwo dźwięków: łoskot biegnących nóg, brzęk kotwicy, jakieś gwizdki i nawoływania. Później statek zadygotał jak żywy zwierz, zabulgotała woda miazdżona, wielkimi łopatami kół, przystań przesunęła się za oknem. Wypłynęliśmy na rzekę.

Po stromych schodach nieśmiało zszedłem na dolny pokład. Przyjemnie pachniało tutaj smarem i oliwą, z maszynowni ciągnęło rozkoszne ciepło. Pasażerów było niewielu albo też rozeszli się po swoich kabinach. Tylko na jakiejś dużej, żelaznej skrzyni, w sąsiedztwie buchającej gorącym maszynowni, leżał w grubym kozuchu stary Nanajec w ogromnej czapie z nausznikami. Wyglądałem chyba dość pociesznie w swych wąziutkich spodenkach moskiewskiego „stilagi”<sup>42</sup>, w kusym płaszczyku. Mój strój nie harmonizował z otoczeniem, z pachnącym smarem statkiem, płynącym wodami Amuru w rejony polowań i rybołówstwa, w głąb lasów i tajgi. Stary Nanajec nie spuszczał ze mnie wzroku. Jego podłużne oczy i promieniście rozchodzące się od oczu zmarszczki upodobały go do wizerunków wykutych na granitowych głazach Sukaczi-Alan. A może właśnie teraz mijaliśmy ukryte w nocnej pomroce twarze starych bóstw?

– Ej, ty, szaman, chcesz jeść? – zapytał leżącego mężczyzna w watomanej kurtce i długich wojłokowych butach. Przyniósł ze sobą zawinięty w papier chleb i wędlinę. Wyciągnął z kieszeni flaszkę z wódką. Szaman mruknął z zadowoleniem, ale oczy jego wciąż spoglądały w moją stronę.

Czułem się nieswojo. Te wąziutkie oczy, ledwo widoczne pod zmrużonymi powiekami, zdawały się odgadywać mój nastrój: uczucie samotności i lęku. Dlaczego wpatruje się we mnie? Czego żąda?

Wycofałem się na piętro. W kabinie zrzuciłem ubranie i włożyłem pidżamę. Próbowałem zasnąć, ale sen spędził mi z oczu monotony, gwałtowny dygot statku i brzęk źle oprawionego okna, od którego przez liczne szczeliny zawiewało chłodem rzeki. Znekany bezsennością podniosłem się z kojki, narzuciłem na siebie płaszcz i wąziutkim korytarzykiem wyszedłem na górny pokład.

Rzeka spoczywała w zupełnej ciemności, która nie miała kresu, tak jak, zdawało się, nie ma kresu dla rzeki. Drogę statku wyznaczały zielonkawe świecące boje, podobne do jednookich ryb, wychylających głowy z głębi nocy.

Było bardzo zimno. Szybko uciekłem pod koc i aż do rana śniły mi się wryte na kamieniach oblicza bóstw, tajemnicze jak twarz nanajskiego szamana.

Obudziła mnie cisza i niepokojący bezruch. Minęła dłuższa chwila, zanim uświadomiłem sobie, że znajduję się na statku płynącym w dół Amuru. Uklęknąłem na kojce i odsunąłem zasłonkę w oknie. Zobaczyłem niedaleki wysoki brzeg, podobny do nadwiślańskiego. Na

<sup>42</sup> Stilaga (roś.) – bikiniarz, młodzieniec przesadnie hołdujący modzie.

brzegu stało kilka zagród i duże kopy siana. Wśród drewnianych okólników pasło się nieliczne stadko krów. Na brzegu biegały dwa białe psy i oszczekiwały statek. Od brzegów odbijała łódka, a w niej kilku podróżnych – dwóch myśliwych i kobieta okutana w grubą chustkę.

Domy i kawałek pola na brzegu otaczała zwarta ściana tajgi, świecąca białymi pniami brzóz. I to był ów wyróżnik, który przypominał, że jednak stoimy nie u brzegu nadwiślańskiej równiny, lecz u brzegu Amuru, obok małego sioła, zagubionego w lasach i błotach. Potem, gdy ubrałem się i zasiadłem do posiłku w oszklonej restauracji na dziobie statku, pejzaż, jaki mogłem oglądać, nie przypominał w niczym Polski i Wisły.

...Szeroka, wielka rzeka. Niekiedy tak wielka, że drugi brzeg widać z trudnością. Czasem wąska, kilkoma korytami opływająca wyspy porośnięte żółkłymi krzakami i zrudziałą trzcina. Lecz nawet w tych rzadkich chwilach, gdy brzegi rzeki były bliskie, jak na Wiśle – ciągle miało się przed oczami zamykającą horyzont tajgę, ciągnącą się bez kresu.

Niekiedy tajga podchodziła do brzegów, to znów odbiegała od rzeki na kilometr lub więcej, oddzielona od wody płaszczyzną rudych i żółtych, traw bagiennych i trzin. Tajga była czerwona, siwa, to znów ruda, żółta, zielonkawa. Nieraz przez kilka godzin szkła mej lornetki na próżno szukały po brzegach śladu człowieka. Widziałem tylko ścianę drzew, nieruchomą jakby martwą.

Świeciło blade, jesienne słońce. Amur miał barwę granatową. Spotykaliśmy małe stateczki, ciągnące przeciw prądowi obładowane barki. Wówczas rozlegało się głębokie buczenie syren i dźwięk ten pogłębiał jeszcze uczucie smutku, które wywoływał widok zalanej wodą równiny, zamkniętej zielonkawym morzem lasu.

Za każdym kilometrem odsłaniał się coraz nowy i coraz inny pejzaż: otwierały się wielkie jeziora, jakieś nowe ukształtowanie brzegu, półwyspy, przesmyki, laguny i mielizny. Ale w gruncie rzeczy, mimo tych licznych różnic, już po kilku godzinach obserwacji pejzaż amurski wydawał się monotony i nudny, utworzony z ciągle tych samych elementów: rzeki, rudych traw na brzegu i pasma tajgi. Brakowało w nim czegoś, co zawsze jest inne i odmienne: człowieka.

Wkrótce przestałem obserwować rzekę, zacząłem rozglądać się po statku, wypatrując mych współpodróżnych. Statek był jednak prawie pusty lub może pasażerowie woleli przebywać w kabinach. Zobaczyłem tylko bardzo ładną, ale zbyt otyłą kobietę, młodego mężczyznę w okularach, wyglądającego na geologa (dlaczego na geologa, a nie nauczyciela?). A na dole, w tym samym miejscu co wczoraj, na wielkiej żelaznej skrzyni drzemał nanajski szaman. Szaman? Podobno nie ma już szamanów na Dalekim Wschodzie. Zapewne ów wczorajszy okrzyk: „Ej, ty, szaman” był tylko drwiną.

Trzy razy przeszedłem mimo niego, aby upewnić się, że pierzchły moje wczorajsze strachy. Za każdym razem oczy Nanajca uchylały się trochę, patrzyły na mnie badawczo i

drgały leciutko muskuły jego policzków, jakby pragnął mnie o coś zapytać czy rzecz coś. Lecz milczał. I czekał. Na co?

Minęliśmy osadę położoną na prawym brzegu rzeki. Z lornetką przy oczach stałem na wysokim pomoście statku, wpatrując się w jednostajny krajobraz. Płynęliśmy bliźniotko brzegu zarosłego chaszczami. W tym miejscu Amur był niezwykle potężny, ale za chwilę podzieliły go wyspy i wysepki, statek prowadziły kołyszące się na wodzie trójkątne boje. Wyobraziłem sobie, jak dziwnie czuje się tutaj człowiek na malutkiej łódeczce, zagubiony na wielkim obszarze wód, wśród setek mielizn i wysp, krętych rzeczulek i odnog potężnej rzeki. Nie ma na Dalekim Wschodzie człowieka, który mógłby powiedzieć, że zna wszystkie zakątki Amuru. To gdzieś tutaj, pośród wielkich rozlewisk i bagien, prowadzących w głąb dzikich lasów i puszczy, wedle wierzeń Nanajców prowadzi wodna droga w krainę zmarłych – do Buni.

Jakież uczucia ogarnęły pierwszych białych przybyszów, przed którymi stanął otworem wielki Amur? Czy nie doznali uczucia zabobonnego lęku przed potęgą przyrody, przed niebezpieczeństwami czającymi się w komyszach rzeki?

A jednak to tędy przed trzystu laty spłynął łódkami Pojarkow. I w takiej samej jak teraz porze jesiennej płynął tędy Jerofiej Chabarow podczas swej drugiej wyprawy. Zapewne krajobraz wyglądał i wówczas tak samo jak dzisiaj – granatowy nurt rzeki, pożółkłe krzaki na brzegach, zeschnięte trzciny na bagnach i pastelowe barwy tajgi.

Rosyjscy przybysze odrzucili już słowa o pokoju i przyjaźni, na szlaku swej wędrówki pozostawili trupy zwyciężonych przeciwników i pogorzeliska daurskich grodków. Jako niewolników i zakładników wzięli z sobą porwanych kniaziów daurskich.

Byli potężni, mieli broń palną i armaty – przeciwko Daurom uzbrojonym tylko w łuki i strzały. Zresztą Daurów mieszkało nad Amurem nie więcej niż piętnaście tysięcy.

Na wieść o potędze przybyszów bez walki opuścili Daurowie Ałbazin, który znowu stał się twierdzą Chabarowa. I 22 listopada 1650 roku, wedle zaś innych danych w 1651 roku, druga wyprawa Chabarowa wyruszyła w dół Amuru. Armaty i zapasy wieziono na saniach, ciągnionych po lodzie zamrożonej rzeki. I tu, gdzie dziś jest wioska Kumara, stoczono bitwę z Daurami. Bój trwał od rana do nocy, zwyciężyła konnica Chabarowa. Na miejscu bitwy wzniesli potem Kozacy umocnienia, budując warownię nazwaną Kumarską.

Tak przyszła zima. Wiosną wznowiono pochód. Na ogromnych łodziach i pontonach jechały konie kozackie, armaty i żywność. Wkrótce zdobyto trzy daurskie grodki, leżące na drodze pochodu. U ujścia Zei zdecydował się Chabarow podpalić wielką osadę daurską, bo odmówiono mu żywności na dalszą drogę. 22 września oddział dotarł do miejsca, gdzie Amur przeciska się między grodkami Małego Chinganu, 24 września minęli ujście Sungari i wkrótce dotarli do pierwszych osad Aczanów, trudniących się rybołówstwem.

Poniżej ujścia Ussuri napotkał Chabarow dość dużą osadę, w której zdecydował się przeczimować. Wzniesiono umocnienia i tak powstała warownia, nazwana Aczańską. 8



października pod ściany nowo wzniesionej fortecy nadciągnął oddział Aczanów i Duczerów liczący około tysiąca wojowników. Broń palna i konnica kozacka zadały tubylcom klęskę – padło ich stu siedemnastu, gdy Rosjanie stracili zaledwie jednego człowieka i mieli dziesięciu rannych.

Ale mimo tylu zwycięstw sytuacja Rosjan nie przedstawiała się dobrze. Do tej pory mieli do czynienia z przeciwnikiem o wiele słabszym, nie posiadającym broni palnej. Teraz zagroziły im regularne wojska Mandżurów, zazdrosnych o władzę nad podległymi sobie plemionami. Całą zimę umacniał Chabarow twierdzę Aczańską, czyniąc ją coraz trudniejszą do zdobycia. 24 marca następnego roku zamkniętych w twierdzy dwustu Kozaków otoczył oddział dwóch tysięcy Mandżurów, uzbrojonych w sześć armat i trzydzieści strzelb. Mandżurowie mieli także ze sobą kilka glinianych petard wypełnionych prochem, doskonałych do rozwalania drewnianych ścian twierdzy.

Rozpoczął się bój...

...Tkwiłem na dziobie statku i lornetką penetrowałem wybrzeża, szukając miejsca, które nadawałoby się na zbudowanie warowni. Bo przecież właśnie gdzieś tutaj, w tej okolicy, znajdowała się owa warownia Aczańska. Brzegi jednak były niskie, równina bagnista, nieprzyjazna, dla obrony.

I gdy tak stałem z lornetką przy oczach, usłyszałem za sobą ciężkie, powolne kroki. Ktoś szedł ku mnie po drewnianym pokładzie. Obejrzałem się.

Ciężkim, przewalającym się krokiem stapał po pokładzie „szaman”. Jego wielki kozuch prawie wślókł się po ziemi.

– Wy cudzoziemiec, aaa? – zapytał po rosyjsku, ale dziwnie szybko i bełkotliwie.

Skinałem głową.

– A skąd? Skąd? – powtórzył pytanie.

Zrobiłem szeroki gest ręką.

– Z Zachodu. Z Europy – dodałem.

Odpowiedzieć u nas „z Europy”, to właściwie nic nie odpowiedzieć. Tutaj jednak było to określenie prawie że dokładne.

Włożył dłoń za pazuchę i wyciągnął w moim kierunku jakiś przedmiot, który na pierwszy rzut oka przypominał brudny korzeń białej marchwi.

– Kupicie? Sprzedam tanio – zawiesił głos.

Zapadło między nami kłopotliwe milczenie. „Pijany czy co”? – pomyślałem.

– Tanio – powtórzył.

Milczałem. Jego zmrużone oczy patrzyły na mnie z szyderstwem. Pachniał wódką i cebulą.

– No co? Kupicie? – zamruczał.

Nabrałem w płuca dużo powietrza, powiedziałem:

– A co to takiego?

W jego oczach dostrzegłem szczere zdumienie. Potem, gdy zrozumiał, że naprawdę nie pojmuję, co chce mi sprzedać, wrzucił ramionami z ogromną pogardą.

– To jest żeń-szeń – wybełkotał.

Żeń-szeń? „Korzeń życia”, korzeń mandragory, posiadający legendarną moc przywracania zdrowia i siły?

Obejrzałem go uważnie. Przypominał korzeń chrzanu. Dopiero po dłuższym przypatrywaniu się zauważyłem, że być może rzeczywiście w kształcie swoim podobny jest do sylwetki człowieka.

– Tanio sprzedam – zachęcał.

Oddałem mu go. Nie stać mnie było na szastanie pieniędzmi. „Szaman” zacisnął usta i odszedł bez słowa.

W pół roku później umierający, dusząc się od ropy zalewającej mi płuca, omdlały i w malignie, w monotonnym syku butli tlenowej słyszałem czyjś głos: „To jest żeń-szeń, kupisz?” I pobudzona gorączką wyobraźnia nasuwała przed oczy płaską twarz „szamana”, złośliwą i straszną jak oblicza bóstw na kamieniach w Sukaczi-Alan.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

**W TROICKOJE • OBRONA WAROWNI ACZAŃSKIEJ • „100 KM – TO NIE ODLEGŁOŚĆ” • NA MALUTKIM LOTNISKU SZKODA, ŻE NIE JESTEM KOBIETĄ • ODLATUJĘ ZE STIEPANEM • KATASTROFA • W CHORSKICH GÓRACH • „MIESZKANIE TYGRYSÓW” • SKAŁY MEKA • NANAJEC**

Troickoje okazało się malutką osadką z drewnianymi domkami i białym, murowanym budynkiem Rejonowego Komitetu Partii. Troickoje stanowi centrum rejonu, czegoś w rodzaju powiatu, obszarem swoim odpowiadającego naszemu województwu, lecz pod względem ilości mieszkańców nie większego od naszej gminy. Troickoje zamieszkują Rosjanie, ale w pobliskich kolchozach żyje bardzo wielu Nanajców. Kiedyś nazywano ich Goldami, a jeszcze dawniej, w czasach Chabarowa – Aczanami.

Na przystani rzecznej oczekiwał na mnie naczelny redaktor rejonowej gazety. Kilkanaście minut spędziłem na rozmowie z I sekretarzem Komitetu, a później zaproponowano mi krótką podróż do miejsca, gdzie znajdują się ślady starych umocnień. Zdaniem moich informatorów miała to być właśnie aczańska warownia Chabarowa.

Oczywiście pojechałem. Była to karkołomna jazda małym terenowym wozem po wyboistych drogach, na których teraz jesienią po prostu można utonąć w błocie. Ech, to już nie drogi, ale bagniste pola, rozorane kołami samochodów, z wądołami wypełnionymi wodą. Kilometr za Troickoje „drogi” kończą się, odtąd są tylko szlaki wycięte w lesie.

Aż pod dach samochodu podskakiwaliśmy na wykrotach. Żołądek wciskał się do gardła, głowa toczyła się pod nogi. Jechaliśmy nad brzegiem Amuru, który pod Troickoje rozlewa się w potężne jezioro. Niebo zaciągnęło się leciutką siną mgiełką – drugi brzeg był zaledwie widoczny, stanowił cieniutką smużkę, oddzieloną od nas potężną przepaścią wodną, skłębioną od wysokich fal. Popędziliśmy po malutkim pasku wybrzeża, między wodą a stromą ścianą skał. Fale Amuru wybiegały na brzeg i spieszyły jakby na spotkanie kół samochodu.

Po pół godzinie jazdy wolny przesmyk między wodą i stromą ścianą zwęził się do tego stopnia, że trzeba było przerwać podróż. Dalej poszliśmy pieszo. Od rzeki wiał silny chłodny wiatr. Niebo stało się sine, sina była przestrzeń wody – chłodna, melancholijnie jednostajna.

Wąziutką, mało widoczną ścieżką poczęliśmy się wdrapywać na wysoki brzeg. Buty ślizgały się na mokrej trawie i butwiejących liściach. Aby nie zsunąć się do rzeki, chwytaliśmy się kolczastych krzewów.

Na szczycie wzgórza przekonał się niespodziewanie, że oto wysoki brzeg urywa się gwałtownie i odtąd zaczyna się niska, bagienna okolica nadamurska. Czyż może być lepsze miejsce do zbudowania warowni nad to wzgórze, górujące nad całym otoczeniem? Na wiele kilometrów widać stąd rzekę i nizinę, aż do pierwszych sopek niedalekiego Mynymu.

Na wzgórzu rosną duże, grube drzewa, widać płytkie zagłębienia – wyraźne ślady starych wałów. Jeśli to rzeczywiście tutaj była warownia aczańska, nie trudno pojąć, dlaczego Chabarow potrafił odeprzeć silniejszego napastnika. Choć z początku zwycięstwo zdawało się przechylać na stronę Mandżurów i Aczanów. Mandżurskim armatom udało się zrobić wylom w drewnianych ścianach gródka. Kozacy umieścili jednak w wyrwie jedną ze swych miedzianych armat i złamali atak przeciwnika. Potem kawaleria Chabarowa przystąpiła do ostatecznego rozgromienia wroga – padło ponad sześciuset Mandżurów, zdobyto 2 armaty i 18 strzelb oraz 830 koni. Po stronie rosyjskiej zginęło dziesięciu Kozaków, rannych zaś było siedemdziesiąt sześć osób. Raniono także Chabarowa.

Ale Chabarow zdawał sobie sprawę, że zwycięstwo odniesione nad Mandżurami nie było decydujące. Przeciwnik umknął, ale mógł rychło wrócić jeszcze silniejszy i lepiej uzbrojony. Nie byli to już Daurowie, Duczery i Aczanowie ze swymi łukami i strzałami, lecz regularna armia, władająca bronią palną.

I 22 kwietnia Chabarow porzucił warownię Aczańską. Popłynął w górę rzeki, przeciw silnemu prądowi Amuru.

U ujścia Sungari czekała na niego zasadzka – sześć tysięcy wojska mandżurskiego. Chabarow przemknął niepostrzeżenie między wyspami i mieliznami ujścia Sungari. Na początku 1655 roku przybył do Moskwy i w Kremlu złożył sprawozdanie ze swych obydwu pochodów wzdłuż Amuru.

Jeszcze kilkakrotnie łodzie z Kozakami płynęły w dół i w górę Czarnej Rzeki. Jeszcze tu i ówdzie wywiązywała się walka i ginęli ludzie. Nad brzegami Amuru zawisł już jednak krzywy miecz Mandżura, spłonęły drewniane ściany umocnionego przez Kozaków Ałbazina.. Pekin wydał rozkaz, aby plemiona Daurów przeniosły się na prawy brzeg Czarnej Rzeki. Lewy brzeg wyludnił się, opustoszał i uprawny kraj, który – jak pisał Chabarow – mógł wyżywić i dwadzieścia tysięcy żołnierzy, zmienił się w pustynię.

Dubiecki pisze:

*Rok 1659 nie widział już ani jednego z kolonizatorów Amuru. Garstki popiołów zagaszonych ognisk krajowca, ugorami stojące niwy, których, odbiegł lemiesz, gdzieśgdzie świecąca czaszka wśród chwastów z około trzystu lub więcej brańców w chińskim jasyrze – oto był wynik pierwszych prób zdobycia nadmorskich ziem. Chiński kronikarz, patrzący z dala na owe usiłowania kolonizacji, zapisał na karcie swych roczników powątpiewanie, aby kiedy obca stopa mogła zawitać w dorzecze Amuru. Wypadki zadały jednak kłam pekińskim przepowiedniom. Po kilkuletniej przerwie, kiedy już na brzdach pól odbieżonych bujny krzew porósł i łowcy prawego brzegu coraz to częściej niecić rozpoczynali na lewym swe samotne ogniska, pewien dzień wiosenny udarował ich niespodziewanie wieścią dziwną a straszną, wspomnieniem niedawnego krwawego wczoraj.*

*Wieść głosiła, iż garstka ludzi z północy stanęła nad wspianiałymi nurty Czarnej Rzeki (...)*

Owym przybyszem z północy był Nicefor Czernichowski.

...Wilgotny wiatr od rzeki chłostał nam twarze. Po sinym przestworzu wody płynęła malutka łódka, sterowana przez samotnego człowieka. Płynął przeciw prądowi, kołysząc się na gwałtownej fali. Zdawało się, że łódka stoi w miejscu, że ów człowiek samotny nigdy nie przebędzie ogromnej wodnej przestrzeni, dzielącej go od brzegu. A jednak płynął. Przez szkła lornetki dostrzegłem wytrwale ruchy wiosła.

Niebo zaciągnęło się chmurami. Rzeka płynęła bez plusku, jakby martwa. Wiatr szumiał pośród gałęzi drzew, porastających resztki starych umocnień. Pomyślałem, że jestem trochę podobny do owego człowieka w łódce. Albazin – cel mej podróży – był ciągle daleki i nieosiągalny. Albazin leżał daleko w górze Amuru, a ja znalazłem się hen, w dole rzeki, w Troickoje – jakby zniósł mnie tu jakiś potężny nurt. Weszliśmy do małego drewnianego domku na skraju osady. W dobrze ogrzanej izbie siedział brodaty mężczyzna o jasnej, zmierzwionej czuprynie. Na nogach miał niezgrabne wołkowe buty – przypominał mi niezyczliwe karykatury z podpisem „rosyjski chłop w łapciach”. Ten „chłop w łapciach” obsługiwał jednak najnowocześniejszą aparaturę nadawczo-odbiorczą i siedząc tutaj, w swych niezgrabnych butach, był w stałym kontakcie z dziesiątkami małych samolocików przemierzających przestrzeń powietrza nad obszarami Amuru. Widziałem potem, jak ów brodaty mężczyzna szybciutko elektryczną maszynką ogolił swoje policzki, pozostawiając nietkniętą jedynie długą brodę.

Widziałem także, jak na malutkim, podobnym do łąki lotnisku lądowały niewielkie samolociki, zabierając po kilku pasażerów, którzy wykupywali bilety w sąsiedniej chałupie.

Widziałem wielkie helikoptery, zabierające jakieś towary i odwożące je do osad położonych na bagnach i w górach. Tu, gdzie jeszcze do niedawna żyły na wpół dzikie plemiona, zajmujące się polowaniem i rybołówstwem, samolot traktuje się już jak autobus na naszych wsiach. Zapewniam was jednak, że trudniej dostać się z Grójca do Warszawy, niż z jakiegokolwiek osady zagubionej w tajdze Dalekiego Wschodu do Chabarowska czy Komsomolska. Nie ma tu wygodnych bitych dróg, ale zawładnięto powietrzem – małe samolociki potrafią lądować prawie w każdych warunkach.

Ludzie na Dalekim Wschodzie charakteryzuje jakiś dziwny rozmach, do którego my, mieszkańcy niewielkiego kraju, nie jesteśmy przyzwyczajeni. To tutaj narodziło się powiedzonko: „100 kilometrów – to nie odległość, 100 rubli – to nie pieniądze”.

Poprzedniego dnia w Chabarowsku młody dziennikarz ogromnie żałował, że nie może się ze mną spotkać wieczorem. „Niestety, jeszcze dziś muszę być w Pietropawłowsku – powiedział. – Może więc spotkamy się jutro”. Po powrocie do hotelu zerknąłem na mapę. Pietropawłowsk leży na Kamczatce, trzy tysiące kilometrów od Chabarowska. A ten młody człowiek mówił o tej podróży tak, jak warszawiak o odwiedzinach w Milanówku. Cóż byście sądzili o człowieku, który mówi wam: „Niestety, nie mogę się dziś z wami spotkać, bo wieczorem zmuszę być w Lizbonie. Ale może zobaczymy się jutro?”

Brodatemu mężczyźnie, obsługującemu prowizoryczne lotnisko w Troickoje, powiedziałem, że chciałbym się dostać do Chabarowska.

Skrzywił się.

– Spóźniliście się o dziesięć minut. Właśnie przed chwilą odleciał prawie pusty helikopter.

Pogładził swoją brodę.

– No nic, poczekajcie. Jakoś to się zrobi...

I począł w stojącej przed nim aparaturze kręcić jakimiś śrubkami, przyciskać guziczki. Za chwilę między nim i znajdującymi się w powietrzu lotnikami rozpoczął się wesoły dialog:

– Ej, Alosza, a nie zabrałbyś pasażera?

Odezwał się głośnik, aż zahuczało w całej izbie.

– Idź do diabła. Maszynę mam obładowaną, ledwo leci. W Komsomolsku skrzyń mi naładowali.

– Ej, ty, Griszka. A od nas nie weźmiesz?

– Nie wezmę. Jestem pełny. Zapytaj Stiepana. Stiepan za dziesięć minut odlatuje z Komsomolska.

– Ale samolot Stiepana również był załadowany towarami, a poza tym nie chciało mu się lądować w Troickoje.

– Tam u was na lotnisku krowy się pasą. Taki porządny lotnik, jak ja, ma między krowami lądować? – grzmiał głośnik.

Po niedługim czasie Stiepan jednak odezwał się znowu:

- Jeśli pasażer dziewczyna i ładna, to wyląduję.
- To nie dziewczyna. Cudzoziemiec. Do Chabarowska chce się dostać.

W głośniku zapadło milczenie.

- No dobrze. Zaraz tam u was usiądę. A zgońcie krowy z lotniska.

I tak oto poznałem Stiepana, rosłe chłopisko o wesołych niebieskich oczach. Lotniczą czapkę nosił nasuniętą na tył głowy. Śmiesznie perkocząc motorem swego samolotu wypłynął nagle spoza lesistych wzgórz i zgrabnie wylądował na środku łączki. Samolot jego był dwupłatowcem, trochę większym od kukuruźnika – nie znam się zresztą na typach samolotów.

Stiepan wyskoczył z maszyny, uściśnął moją prawicę tak silnie, że mało nie krzyknąłem z bólu. Przyjrzał się dokładnie mojej osobie i coś, jak uśmieszek, zjawilo się na jego ustach.

- Hm, taaak – mruknął z wyraźną dezaprobatą.

Potem szerokim gestem zaprosił mnie do wnętrza maszyny. Samolot miał jakiś ładunek i Stiepan usadził mnie w swej kabinie, na drugim wolnym miejscu – wbrew przepisom. Zanim zasiadł za sterami i nałożył słuchawki radiowe, zadał mi kilka pytań:

– Na tygrysy pewnie przyjechaliście polować? Tylko strzelby u was nie widzę, bo strój to macie myśliwski.

Kpił sobie ze mnie. Odpowiedziałem mu również nie na serio:

- Tygrysy jak tygrysy. Ale żywego lwa to chętnie bym przywiózł. Obiecałem.

– Ach, tak? Obiecaliście przywieźć żywego lwa? No, lwów u nas nie ma. Ale postaramy się.

Polecieliśmy. To nie był TU-104. Wzlecieliśmy na wysokość 200 metrów i co chwila to wznosiliśmy się wyżej, to znów zapadaliśmy w doły powietrzne, niewidoczne dla oka, ale wyczuwalne skrzydłami. Droga powietrzna była równie wyboista, jak ta przez Troickoje.

Motor perkotał w tonach wyższych i niższych, aż przejmował mnie strach, że zakrztusi się i umilknie. Samolocik wydawał mi się kruchy i słabowity, a dołem wolno, majestatycznie przesuwaly się rozlewiska Amura. Teraz, w czerwonym świetle zachodzącego słońca, ziemia pode mną podobna była do rysunku ciała ludzkiego. Niebieskawą barwą, jak naczynia krwionośne, znaczyły się setki wątych niteczek-rzeczulek i grube arterie głównych koryt Czarnej Rzeki. Na jednej z nich płynął, a właściwie stał, biały stateczek, drobny i śmieszny jak makieta.

Potem rzeka pozostała gdzieś po prawej ręce i zasłoniły ją skrzydła samolotu. Lecieliśmy nad lasem podobnym do wielkiej płaszczyzny zamalowanej przez tasyzstę<sup>43</sup>. Różnobarwne pastelowe plamy – rude, czerwone, różowe. Później rozlało się pod nami jakby żółte morze, bagnisko porośnięte zeschlą trzcina, która kołysała się na wietrze i marszczyła jak wielki łan żyta. Było to ujście jakiejś rzeki.

<sup>43</sup> Tasyzm (z franc. tache – plama) – odmiana malarstwa abstrakcyjnego, występująca po 1950 r.; polega ona na przypadkowym zestawieniu plam i smug farby.

– To Pichca, rzeka tygrysów – krzyknął do mnie Stiepan.

Teraz pojawiły się góry. Były porośnięte gęstym lasem liściastym. Zachodziło słońce – las wydawał się brunatny, a szczyty gór siwe i żółtawe. Domyśliłem się, że mamy przed sobą Chorski Grzbiet, odgradzający nas od szczytów Sichote-Alina. Tu, w trójkącie, jaki tworzyły rzeki Ussuri i Amur (u podstawy tego trójkąta rozciągało się wybrzeże Morza Japońskiego), leżał tak zwany Ussuryjski Kraj, pełen dzikiego zwierza, niedźwiedzi i tygrysów, egzotycznej południowej roślinności.

Nagle Stiepan począł coś krzyczeć do mikrofonu swego radia, motor parsknął, kichnął i umilkł. Nastąpiła cisza, zdawało się, że bujając na skrzydłach samolotu zatrzymaliśmy się w przestworzach. Potem samolot począł bezszelestnie sunąć w dół łagodnym, ślizgowym lotem. Przemykały pod nami poszarpane, nagie grzbiety górskie i doliny zarosłe gęstym lasem.

– Zepsuło się – wrzasnął Stiepan.

Zobaczyłem jego przestraszone oczy i dopiero w tej chwili i mnie obleciał lęk. Serce załomotało, zaczęło mnie dusić wciskając się do krtani.

Ostre sine krawędzie skał były coraz bliżej. Wyobraziłem sobie, jak się z nimi, pękając krusze ściany samolotu, wybucha benzyna i ginimy w płomieniach. Więc po to odbyłem tę daleką podróż, po to zjawiał się przede mną miraż Ałbazina? A więc Ałbazin to była pułapka, to było imię mojej śmierci?

Strach sparaliżował mnie zupełnie. Nie byłem w stanie rozchylić warg do okrzyku przerażenia, nie potrafiłem ruszyć ręką, nogą. Zresztą, nie istniała ucieczka. Można było tylko siedzieć i czekać, i patrzeć, jak wznosi się ku nam ziemia, nieprzyjazna i kolczasta pniami wielkich drzew.

Grzbiety gór znalazły się jakby pod kołami samolotu. Otworzyłem oczy. Wciąż jeszcze nie byłem w stanie wydać z siebie choćby słowa. Zdawało mi się, że nie oddycham. Lękałem się spojrzeć w bok, na Stiepana. Bałem się cudzego strachu.

...Ostry szczyt góry jest już na poziomie moich oczu. Lecimy wprost na niego. Jest wyraźny, czerwony od promieni zachodzącego słońca. Widzę wyraźnie każdy głaz, każdą nierówność i szczelinę. A więc tak wygląda śmierć?

Raptem motor samolotu obudził się. Zacharczał jak rzeźący. Wydawało mi się, że odczuwam straszliwy wysiłek maszyny, która uniosła się w górę o metr od skał i przeniosła nasze ciała ponad poszarpaną krawędź. Charkot maszyny urwał się. Pod koła samolotu podsunęła się prawie równa, pokryta żwirem płaszczyna, podobna do ogromnego tarasu pośród gór i lasów. Już nie pamiętam swych uczuć, gdy lądowaliśmy na niej – spokojni, bezpieczni.

Stiepan wyskoczył z maszyny. Ja wygramoliłem się z niej dopiero po dłuższej chwili. A gdy stanąłem na ziemi – zachwiałem się.

W twarzy Stiepana nie znalazłem ani cienia lęku. Znowu miał kpiące, wesołe oczy.

– Mieliśmy szczęście, co? – zaśmiał się.



I ja także się roześmiałem. A więc jeszcze nie teraz? Ogarnęła mnie radość, że przeżyłem przygodę, że jestem zdrowy i cały. Byliśmy wśród Chorskich Gór, zbliżała się noc – czy może być piękniejsza chwila?

Znowu się roześmiałem. A gdy Stiepan rozchylił jakieś blachy okrywające motor samolotu, powędrowałem przed siebie po żwirowatej płaszczyźnie, która dała nam ocalenie.

Stiepan wołał za mną:

– Nie odchodźcie za daleko! Widzicie te skały, tam na prawo za dolinką? Nazywają je „mieszkaniami tygrysów”. To nie żarty. W skalach gnieźdzą się tygrysy. One są teraz rozzuchwalone, bo nie wolno do nich strzelać. Więc uważajcie. Jak będziecie potrzebni, wystrzelę z pistoletu. Usłyszycie. – I na pożegnanie pomachał ku mnie dłonią uzbrojoną w pistolet.

Szedłem wolno, jak na spacerze w parku. Pałęm papierosa i zabawiałem się kręceniem paska od lornetki. Wiedziałem, że muszę dojść do „mieszkania tygrysów”, że nie wolno mi uронić ani sekundy z przeżytego tutaj czasu, bo później każda minuta będzie cenna, gdy o przygodzie opowiadać będę kolegom w zaciszu kawiarnianej sali. Czy uwierzą mi? Wątpy, szczupły, chorowity – nie miałem w sobie nic z poszukiwacza przygód i podróżnika.

Był wieczór. Gdy opuściłem się w dolinkę, otoczył mnie półmrok. Rozpoznawałem znany mi z książkowych ilustracji mongolski dąb, cedr i amurską lipę. Grube, potężne pnie, garbate od jakichś potwornych narośli, wyglądały jak czarne poczwary przygarbione do ziemi, okrywające konarami tajemnice ukryte w gęstym poszyciu leśnym. Dolinka była całkiem zarośnięta i musiałem się przez nią przedzierać jak przez dżunglę. Drogę zagradzały zwalone pnie, zbutwiałe, gnijące, schowane pod zeszlými liśćmi. Szedłem nieledwie po omacku, w dusznym zapachu zgnilizny, lękając się, że zabłądę. Na szczęście dolinka była niewielka. Kończyła się u podnóża stromych, dziwacznych skał, opadających w dół wielkim osypiskiem, zarzuconym kłodami powalonych drzew. Tu było jaśniej, widniej.

Próbowałem się pięć ku górze – cierniste aralie chwyciły mnie za nogawki spodni i za połę płaszcza. Zziąjany przystanąłem, zdając sobie sprawę, że nim dotrę do skał, zapadnie noc i nogi połamię wśród wykrotów. Stałem za jakimś krzakiem i przyłożyłem do oczu lornetkę. Na tle czerwonego nieba rysowały się wyraźnie ciemne cienie siedmiu ogromnych, niebotycznych głazów granitowych. Stały tutaj jak skamieniałe postacie wielkoludów i gigantycznych przedpotopowych zwierząt. Jedna ze skał podobna była do wielkiej żaby, druga do zgarbionego człowieka, trzecia przypominała wymierzoną w niebo raketę wielostopniową, czwarta była jakąś wiedźmą ogromną. Szczeliny pośród nich ziały mrokiem, jak wejścia do wielkich pieczar.

Wtem mignął mi w szklach lornetki jaśniejszy, podłużny kształt. Mignął i znikł za wielkim głazem. Po sekundzie drugi cień przemknął przed moim wzrokiem. Czekałem z napięciem, aż do klucia w oczach wpatrując się w wielki głaz. Czekałem długo, chyba ze trzy minuty. Dwa duże, rudawo-złote tygrysy przedelfilowały przede mną uchodząc w szczelinę

skalną. Były najwyżej czterysta metrów ode mnie – niskie, podłużne, podobne do gigantycznych jamników na łapach nieproporcjonalnie krótkich w stosunku do długich tułowi. Wśród szarych i ciemnych skał przebiegały bezszelestnie, jak złote promyki słońca odbite przez lusterko.

Wiedziałem, że były daleko, że chyba przeszły na drugą stronę gór. Słyszałem, że nie zaczepione przez człowieka, nie napadają. Ale mimo tej wiedzy, aż spociłem się ze strachu. Strach odczuwałem większy niż w samolocie pędzącym na skały. Stałem za krzakiem, bojąc się ruszyć, a nawet drgnąć.

Po chwili udało mi się wmówić w siebie, że tygrysów w ogóle nie widziałem, że uległem tylko złudzeniu, bo nic nie potwierdzało ich bytności. Już zdecydowałem się ruszyć w powrotną drogę przez zarośniętą dolinę, gdy uwagę moją przykuło coś dziwnego, zupełnie niepojętego. To „coś” znajdowało się najwyżej sto metrów ode mnie. Siedziało na powalonym pniu drzewnym – czarne, kosmate, o ludzkim kształcie i wzroście dwunastoletniego chłopca. „Coś” czochrało się nerwowymi szybkimi ruchami, jak małpa. Oczy załzawiły mi się od wysiłku wypatrywania przez szkła – ale przecież wyraźnie dojrzałem, że „coś” ma psią mordę. Pies? Dlaczego jednak siedzi jak człowiek na pniu drzewa i drapie się jak małpa? A może to niedźwiadek?

Gwizdnąłem. I przepadło, po prostu jakby rozwiało się w powietrzu. Uczyniło się już prawie zupełnie mroczno, lękałem się zapuszczać w czarną gęstwinę doliny, wołałem nałożyć drogi, obchodząc skrajem. Szedłem szybko, skacząc z kamienia na kamień, pogwizdując, potykając się w pętach dzikiego wina i roślin podobnych do podzwrotnikowych lian.

Chciałem zapalić, ale papieros wypadł mi z palców. Przyklęknąłem szukając go między kamieniami, a gdy podniosłem się z klęczek, spostrzegłem o pięć kroków ode mnie nieruchomą postać ludzką. Był to myśliwy, sądząc po strzelbie, która wisiała mu na ramieniu. Miał wielką czapę futrzaną, watówkę i grube watowane spodnie, wsadzone w harmonijkę wysokich butów. Patrzył na mnie z wyraźnym strachem, jak na jakąś zjawę fantastyczną.

– Halo! – zawołałem przyjaźnie.

Zdawałem sobie sprawę, że jak na tutejsze warunki – dziką, bezludną okolicę – wyglądam dość dziwnie. Jak w Hyde Parku grzecznie uchyliłem kapelusza.

– Halo! – powtórzyłem, ale już z mniejszą pewnością siebie, bo spotkany osobnik milczał i wciąż tkwił nieruchomo. Jego płaska, szeroka twarz o pucołowatych policzkach miała barwę starej cegły i wskazywała wyraźnie, że mam przed sobą tubylca, najprawdopodobniej Nanajca.

Myśliwy podejrzliwie lustrował moje czarne, szpiczaste buciki, zarzuconą na ramię lornetkę.

„A może bierze mnie za szpiega?” – pomyślałem. I zląkłem się komplikacji, jakie mogły wynikać z takiego nieporozumienia.

– Dzień dobry – rzekłem i jak na złość mój nierosyjski akcent zabrzmiał wyraźniej niż zwykle. – Piękną tu macie okolicę. Wracam właśnie z tych wspaniałych skał. Czy nie wiecie, jak one się nazywają? A dwóch tygrysów nie spotkaliście? Właśnie niedawno przebiegły mi drogę.

Mówiłem długo i bez sensu, coraz dobitniej zdradzając swój obcy akcent. Myśliwy milczał i strach wciąż wyglądał z jego oczu. Zapewne gotów był stawiać czoła tygrysom, niedźwiedziom, kłusownikom czy włóczęgom. Lecz natknął się na człowieka, który przez skalisty kraj wędrował w cieniotkich półbucikach i w białym kołnierzyku, bez plecaka, w kapelusiku i z lornetką, jakby znajdował się na wyścigach konnych albo w drodze do teatru.

– Myślicie może, że jestem szpiegiem? Ale nie, zapewniam was – powiedziałem.

Uśmiechnął się z lekceważeniem.

– Szpiegiem? E, nie. Szpieg nie chodzi w okularach. Do tego trzeba mieć dobre oczy – rzekł. Miał równie jak i ja kiepski akcent.

– Myślałem, że jesteście diabłem albo Kazmu. Szliście przecież od skał Męka. W tych bucikach daleko nie zajdziecie.

O kilkaset metrów od nas zabłysło w mroku czerwone światło. To Stiepan rozpałił ognisko, żebym nie zgubił drogi.

Pokazałem Nanajcowi blask ognia i zaproponowałem, żeby poszedł ze mną. Po chwili usłyszeliśmy wystrzał z pistoletu, który odbił się wśród skał stokrotnym echem. Nanajec przystanął podejrzliwie, wytłumaczyłem mu jednak, że to strzela rosyjski lotnik. Poszliśmy dalej, lecz zauważyłem, że Nanajec dyskretnie zsunął z ramienia swoją strzelbę i trzymał ją gotową do strzału.

Wreszcie dojrzeliliśmy samolot i Stiepana krzążącego się przy ognisku. Stiepan wyjaśnił Nanajcowi naszą przygodę i w trójkę zabraliśmy się do zbierania suchego drzewa dla podsycania ognia. Wieczór był bowiem chłodny, noc zapowiadała się mroźna. Samolot – według zapewnień Stiepana – był gotowy do podróży. Tylko z powodu ciemności nie mogliśmy wystartować, byliśmy więc skazani na spędzenie nocy w górach.

Nanajec miał w torbie trochę chleba i wędzoną rybę. Okazał się gościnnie i owego wieczoru wśród dzikich Chorskich Grzbietów nie byłem głodny. Opowiedziałem o dwóch tygrysach, które udało mi się zobaczyć koło skał Męka, i o dziwnym kosmatym stworze posiadającym pysk psa, a kształty chłopca.

– To był Kazmu – stwierdził autorytatywnie Nanajec.

– Co to jest Kazmu?

Do wyjaśnień zabrał się Stiepan:

– Kazmu to duch gór. Prawdopodobnie jest to ów Yeti, tak poszukiwany przez uczonych i podróżników.

– Yeti? Tutaj? W Chorskich Górach? – roześmiałem się. Zawsze uważałem, że Yeti to wymysł dziennikarzy na kanikuły<sup>44</sup>. Coś w rodzaju węża morskiego. Zresztą Yeti żyje podobno w Himalajach.

– Nie tylko – upierał się Stiepan. – Nasi uczeni i podróżnicy widzieli Yeti również w Mongolii. Czytałem o tym w gazetach. A skoro był w Mongolii, to czemuż nie miałby być i tutaj? Przecież to stąd niedaleko. A poza tym warto wiedzieć, że właśnie tutaj, między Ussuri i Amurem, w południowym klimacie przetrwało od niepamiętnych czasów wiele ciekawych i dziwnych roślin południowych. Żyją tu tygrysy, czemuż nie miałby przetrwać i Yeti? Są miejsca nie tknięte przez stopę ludzką. Trzydzieści trzy lata minęły, odkąd szedł tędy Arsenjew ze swą naukową ekspedycją i nowo odkrytym przełęczom i górom nadawał imiona. Ot, nowy i jeszcze nie do końca zbadany kraj.

W tym, co mówił, było wiele prawdy. Wątpliwy wydawał mi się tylko Yeti. Dlatego, że nie wierzyłem w jego istnienie. I także dlatego, że tego rodzaju historia nie nadawała się do opowiadania. Nikt nie uwierzyłby. Wolę sądzić, że po prostu widziałem niedźwiadka siedzącego na skale. Czyż mały niedźwiadek nie jest podobny do człowieka?

Po posiłku Nanajec pogrzebał w swej myśliwskiej torbie i wyciągnął ku mnie otwartą dłoń. Leżał na niej mały miedziany krążek z prostokątnym otworem w środku. Była to stara moneta z napisem chińskim lub japońskim.

– Znalazłem to w górach. Mogę wam sprzedać. Przynosi szczęście przy grze w karty. Przynosi szczęście w miłości. No, kupicie? Któż nie chce, żeby go kochały kobiety?

Kupiłem. Potem w Chabarowsku dowiedziałem się, że podobne pieniążki dość często znajduje się w Ussuryjskim Kraju. Nie są one stare, zaledwie z XVII wieku, i pochodzą z Japonii. Odnajdywane nad Ussuri dowodzą bliskich kontaktów handlowych między Japonią a plemionami zamieszkującymi dorzecze Ussuri i dolnego Amuru. Wedle wierzeń ludowych posiadanie takiej monety przynosi szczęście w miłości, szamani wróżyli z tych monet przyszłość i przeszłość człowieka.

Nastała noc – mroźne górskie powietrze kąsało mi policzki, mroziło dłonie. Leżeliśmy przytuleni do siebie i okryci dwiema brezentowymi płachtami, które Stiepan wyciągnął z samolotu. U naszych nóg paliło się ognisko. Gdyby nie jego ciepło, kto wie, czy nie zamarzlibyśmy. Do północy pilnował ognia Stiepan, potem Nanajec, a po nim nadeszła moja kolejka.

Otaczała nas groźna, przejmująca cisza górskich pustkowi. Blask ognia zataczał niewielkie koła; poza nim trwała zupełna ciemność.

Nie spałem prawie całą noc. Gdy przy ognisku wartował myśliwy nanajski, długo leżałem z otwartymi oczami, starając się na zawsze utrwalić w pamięci widziany obraz: wyrwany ciemności skrawek ziemi z ogniskiem, a przy ogniu nieruchoma, siedząca w kucki postać Nanajca.

<sup>44</sup> Kanikuła (z łac.) – okres największych upałów; sezon ogórkowy.

Wczesnym rankiem, głodni i zmarznięci, pożegnaliśmy myśliwego. Na żwirowym tarasie pośród Chorskich Gór samolot nasz wystartował bez żadnych trudności. W godzinę później lądowaliśmy w Chabarowsku.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

**KAMIENNE ŻÓŁWIE • WYJEŹDŹAM DO SKOWORODINA •  
TAJEMNICZY GRZYB • KARTECZKA W POCIĄGU • OKRUTNY ROBERT  
I PRZEWROTNA KAMIŁA • ROZBÓJNIK CZY ROKOSZANIN • OPAT  
HERMOGENES • MRÓZ • „AMURSKA GWIAZDA” • STARA  
FOTOGRAFIA • KTO ZABRAŁ ZŁOTO ALBAZINA?**

Następne dni zbiegły mi na zwiedzaniu chabarowskiego muzeum, zapoznawaniu się z folklorem i historią Dalekiego Wschodu. Wczytywałem się w stare dokumenty, oglądałem eksponaty, fotografie i rysunki zabytków. Robiłem też wycieczki w okolice Amuru i Ussuri.

Kraj Nadmorski, ziemie nad Ussuri i Amurem noszą ślady niezwykle starych kultur i cywilizacji. Gdy na ziemiach dzisiejszej Polski jeszcze ani myślano o zbudowaniu jednolitego organizmu państwowego, tutaj istniały już potężne państwa o bogatych, kwitnących grodach. Gdy na naszych ziemiach dopiero obejmował władzę książę Mieszko, tutaj toczyły się gigantyczne boje między mocarstwami. Ale gdy u nas krzepło potężne państwo piastowskie, tajga poczynała porastać gruzy dawnych twierdz i miast, a odwiedzający te strony myśliwi nawet już nie domyślali się, że stąpają po ludnych ongiś ziemiach.

Przed pierwszą wojną światową koło wsi Nikolskoje odnaleziono dwa ogromne kamienne żółwie. Były one nagrobkami. Jeden z nich przywieziono do Chabarowska – stoi teraz przed muzeum.

Wielki kamienny żółw o rzeźbionym grzbiecie. Choć wykuty został w ciężkim materiale, ma bardzo wiele życia, wykonał go nie lada rzemieślnik. Kamienna płyta na pancerzu żółwia opowiada, że jest to grobowy pomnik postawiony w XII wieku głównodowodzącemu Czińskiego Imperium, wszechmądrym kniaziowi Wan-Jan.

Czińskie Imperium. Pamiętacie legendę o cesarzu Czinie i jego pięknej, mądrej żonie? Pamiętacie, jak to Chińczycy przyjechali w głąb tajgi ussuryjskiej, aby pod takim właśnie kamiennym żółwiem szukać grobowca?

Żółwie. Z nauki zoologii wiemy, że żyją one bardzo długo, nieraz i trzysta lat. Ludziom zdawały się wieczne, stąd też wizerunki żółwi na grobach. Symbolizują one wieczność...

Wieczór w przeddzień odjazdu z Chabarowska spędziłem w gościnie w autora *Na brzegach Zei*. Podarował mi on swą nową książkę pt. *Prawda życia*. Syn Priszwina wręczył mi kilka pamiątkowych zdjęć Amuru i Ussuri. Od redaktora Rogala w redakcji *Dalekiego Wschodu* otrzymałem list polecający, który miał mi dopomóc w mej podróży do Ałbazina. Ostrzegano mnie przed długą i męczącą drogą: prawdopodobnie część jej wypadnie przebyć konno. Uprzedzono mnie również, że choć w Chabarowsku jest jeszcze jesień, na drodze do Ałbazina natknę się już na surową syberyjską zimą.

Wróciłem do hotelu dość późno. Jakież było moje zdziwienie, gdy z korytarza i sąsiadującego ze mną pokoju dobiegły mnie głosy kłótni w języku polskim. To polscy myśliwi, dwaj dziennikarze i jeden ze sławnych polskich pisarzy, powrócili z polowania i sprzeczali się o swe łowieckie sukcesy. Nie wydawało mi się słusznym składać im wizyty po nocy, tym bardziej że byli w dość burzliwych nastrojach. A wczesnym rankiem zająłem miejsce w wagonie sypialnym pociągu, który miał mnie wieźć już na zachód, do Skoworodina – dużej, węzłowej stacji na trasie syberyjskiej kolei.

Przedział był czteroosobowy. Wyznaczono mi miejsce na dolnej ławce, górne zajęło starsze małżeństwo, jadące z Sachalinu w odwiedzinach do krewnych koło Rostowa. Naprzeciw mnie rozłożyła się tęga kołchoźnica z okolic Swierdłowska. Postawiła ona na stoliczku pod oknem słoik, wypełniony jakąś brunatną cieczą i czymś podobnym do kawałka pieczonego mięsa. Wkrótce wyszło na jaw, że ów słoik z interesującą zawartością jest czymś w rodzaju pasażera-lekarza. Karmiliśmy go herbatą niezbyt słodką i niezbyt gorącą. W zamian za to mieliśmy prawo popijać ze słoika ową brunatną ciecz, która jakoby dobrze działała na wątrobę. Tak więc podróżowaliśmy w piątkę: starsze małżeństwo, kołchoźnica, ja i... japoński grzyb w słoiku.

W Chabarowsku – na pożegnanie – zaczął padać śnieg z deszczem. Odjeżdżałem w dzień smutny, szary i chłodny. Wolno przebywaliśmy wielki most na Amurze, toń rzeki była sina i brunatna, żałośnie wyglądały rozlewiska, które przecinaliśmy jadąc po wysokim nasypie kolejowym. Piękne pejzaże, które oglądałem robiąc wycieczki w okolice Chabarowska, teraz ustąpiły miejsca szarym, pokrytym wodą i błotem równinom, chłostanym przez topniejący śnieg.

Aż do Birobidżanu, stolicy Żydowskiej Autonomicznej Republiki, krajobraz był równinny i nieciekawy – porośnięte trawami pola z kępami krzaków i kópkami siana. Birobidżan ma bardzo czystą, barwną stację kolejową, a samo miasto jest podobno ładne i wesołe, z dużą ilością fabryk. Za Birobidżanem rozpoczynają się sopki – lesiste wzgórza – aż do stacji Bira, nad rzeką o tej samej nazwie. Bira leży na dość wysokim wzgórzu, z jednej strony opadającym stromym urwiskiem, z drugiej – bardzo łagodnym stokiem. Na stoku rozpostarło

się miasteczko. Pociąg stał 12 minut – pod dużym dachem, tuż obok stacji i peronów, odbywał się targ. Sprzedawano podróżnym pieczone kury, kiszone ogórki, gruszki i małe orzeszki, rosnące na drzewach w tajdze.

Moje sąsiadki kupiły trochę ogórków i orzechów, długo potem jadły je cmokając i chrzęszcząc. Po słonych ogórkach zachciało im się pić, więc na każdej stacji wybiegały po gorącą wodę.

Za Bira teren znowu był równinny, monotony, porośły niskim lasem. W miarę jednak, jak poczynaliśmy się zbliżać do stacji Birakan – ukazywały się wzgórza i skały, coraz wyższe i bardziej urwiste. Wykutymi w skałach korytarzami, głębokimi wąwozami, omijając najbardziej strome góry, przebywaliśmy Bireński Grzbiet, ciągnący się z południa na północ.

Wieczorem przybyliśmy do położonej w górach stacji Obłucze, a gdy głośnik w wagonie obwieścił stację Archara, jeszcze na chwilę przykleiłem nos do szyby. Na dworze było już zupełnie ciemno – ułożyłem się do snu. Minął pierwszy dzień podróży transsyberyjską koleją.

Leżałem wyciągnięty na twardym posłaniu, z małą poduszczką pod głową. Pode mną jednostajnie dudniły koła pociągu, który niestrudzenie gnał przez wielkie przestrzenie Azji Wschodniej. Gdybym nagle zmienił zamiar i, zamiast wysiadać jutro w Skoworodnie, zdecydował się jechać dalej tym samym pociągiem – to za siedem dni i siedem nocy przybyłbym na Jarosławski Dworzec w Moskwie.

Jakże stąd daleko do Moskwy i daleko od Moskwy. A jeszcze dalej do Warszawy. W liście, który zastał mnie w Chabarowsku, pisał Robert, że wreszcie oświadczył się Kamili. Przyjęła go – a więc zbyt późno nabyłem w Chorskich Górach ów stary pieniążek, przynoszący szczęście w miłości! Pisał Robert, że postanowili z Kamilą wystarać się dla mnie o pokój, mój zaś ma zająć Robert; będą mieli z Kamilą dwa pokoje.

„To tak? To tak? – irytowałem się nasłuchując postukiwania kół. – Szukam Ałbazina, a oni wykorzystując moją nieobecność decydują o moim pokoju? To tak? To tak się robi, przyjaciele?”

W Chabarowsku otrzymałem depezę od mistrza Ludwika P.

*Czy dotarł pan już do Ałbazina? Bo ja wygrywam.*

*Ludwik*

Nie, nie dotarłem jeszcze do Ałbazina. Czy dotrę do niego kiedykolwiek? I po co?

Żyjemy w świecie, w którym buduje się doskonale maszyny, każde najmniejsze kółeczko jest podporządkowane swojemu trybowi, wszystko ma być celowe i wygodne, każda rzecz i każdy człowiek musi czemuś służyć. A jeśli moja podróż do Ałbazina jest swego rodzaju buntem przeciw powszechnej celowości? Jest czymś bezinteresownym i dlatego wydaje mi się piękna.



Dla Czernichowskiego Albazin stał się bezpieczną przystanią po dokonanych zabójstwie. Uciekł do Albazina, bo musiał to uczynić, jeśli chciał uratować swe życie. Jego postępek jest celowy i dlatego można go śledzić z uwagą i podziwem. A moja droga do Albazina nie ma żadnego sensu. Ale czy dlatego jest tylko śmieszna?

Tej nocy na twardym łożu w wagonie wszystko mnie złościło i denerwowało. Nawet wspomnienie nakreślonej przez Dubieckiego sylwetki Nicefora.

*Niceforowi wiara w siebie, świadomość swej niezaprzeczanej wyższości,  
dodawala wiele nadziei.*

U licha, skądże brała się ta „niezaprzeczona wyższość?”

Dubiecki jest historykiem. Lecz zdaje się nie wiedzieć lub nie chce wiedzieć o prawach kierujących historią.

Przecież zagadka ucieczki do Albazina kryje się nie tylko w osobie Czernichowskiego, lecz także w osobowości Obuchowa. A przede wszystkim w syberyjskich warunkach, które ukształtowały te osobowości.

Wyobraźmy sobie jarmark w Kireńsku latem 1665 roku. Z okolic zjechali kupcy ze swymi towarami, z tajg przyszli myśliwi, aby zaopatrzyć się w broń i żywność, przyciągnęli rybacy, chłopci, urzędnicy carscy.

*Ostróżek miał postać świąteczną: roił się mnogą rzeszą przybyszów, a nawet miejscowy monaster, poświęcony czci Zbawiciela, przygotowywał się do obchodu dorocznego w swej cerkwi. Liczne galary mieściły na swych pokładach tych, co nie mogli znaleźć dla siebie miejsca w szczupłym gródku.*

Wśród tłumów przebywa także nadzorca warzelni soli w Ust-Kutsku, poplecznik Chabarowa – Nicefor Czernichowski wraz z żoną. Zapewne była to kobieta bardzo urodziwa, może Polka – jak mniemał Maksimów – może Rosjanka poznana w Moskwie, a może miejscowa Sybiraczka?

Obuchów zapragnął pięknej żony Czernichowskiego. A że otoczony uzbrojonym oddziałem, pewny był swej siły i bezkarności, zwabił ją na statek i nie czekając aż jarmark dobiegnie końca, umknął w górę Leny. Ucieczka przed końcem jarmarku jest chyba najlepszym dowodem, że Czernichowski nie był samotnym, nieszczęśliwym „brańcem” (jakim chce go widzieć Dubiecki), lecz kimś ważnym, wpływowym i groźnym.

Wśród kupczących tłumów w Kireńsku rozchodzi się wieść o niespodziewanym wyjeździe Obuchowa, o porwaniu żony nadzorcy warzelni soli. Powiada Dubiecki, że w warunkach syberyjskich porwanie kobiety było rzeczą zwykłą, nie budzącą niczyjogo zdziwienia ani oburzenia (przecież kobiety traktowano tu jako rzecz, przedmiot handlu).

Zdaniem Dubieckiego, tylko Czernichowski, stojący „wyżej tłumu”, mógł się oburzać na pozbawienie czci niewiasty. Lecz w takim razie, jak mógł Nicefor natychmiast zorganizować zbrojną drużynę liczącą aż osiemdziesięciu czterech ludzi (z taką drużyną Chabarow ruszał na podbój ziem nadamurskich), z którą puszcza się w pogoń za wojewodą, dopada go i morduje? Wątpliwe jest, aby osiemdziesięciu czterech Kozaków zdecydowało się narażać na walkę z ludźmi wojewody, na zabójstwo przedstawiciela władzy, za które groziła kara śmierci, tylko dlatego, że zhańbiono kobietę. Musiała istnieć jakaś inna, daleko ważniejsza przyczyna pogoni za Obuchowem.

Jaka?...

Podczas kireńskiego jarmarku Obuchów zapewne dopuścił się straszliwych zdzierstw, budząc ogólną nienawiść i pragnienie zemsty. O tym przecież wspomina Parszyn.

*Zazwyczaj na taki jarmark przyjeżdżał z Ilimska wojewoda w celu pilnowania porządku oraz zabrania tzw. dziesięciny, czyli dziesięciu procent od sprzedanych towarów. Była to danina na rzecz skarbu państwa, ale wojewoda nie był od tego, żeby i jemu coś przypadło Czy był zbyt srogimi i dokładny w swych obowiązkach, czy też za bardzo zuchwały w swych żądaniach? Jak by nie było – ludzie nie czuli się zadowoleni.*

Lecz od uczuć nienawiści i pragnienia zemsty jest jeszcze daleko do aktu zabójstwa wysokiego urzędnika carskiego. Obuchów porwał żonę Czernichowskiego – również przedstawiciela władzy. Nicefor, osoba urzędowa, poważana, ciesząca się dużymi wpływami, staje na czele rokoszu zbrojnego i dokonuje siłą aktu sprawiedliwości, zabija okrutnika i zdziercę. Poczucie własnej, prywatnej krzywdy zbiegło się w tym wypadku z poczuciem krzywdy społecznej. Czyż nie tak samo było w wypadku Chmielnickiego, choć w bez porównania większych rozmiarach?

Dlatego słowa o wrażliwości na cześć kobietą, o „wyższości duchowej”, o „europejskości” Nicefora – są czymś niepoważnym. Chmielnicki nie dlatego podniósł ogień buntu na Ukrainie, że wadził się z Czaplickim o kobietę. I nie dlatego zabito Obuchowa, że ten porwał żonę Czernichowskiego. Nie o kobietę toczyły się walki między Polską a Ukrainą, zbuntowaną przez Chmielnickiego. Nie o kobietę dokonano rozprawy między kireńskimi Kozakami i Obuchowem. Sprawa porwanej żony Czernichowskiego była tylko jedną z przyczyn walki z Obuchowem. Lecz nie najistotniejszą.

Czernichowski i jego drużyna doganiają łodzie Obuchowa, wywiązuje się walka na rzece. Pada zabity wojewoda-okrutnik, ludzie Czernichowskiego grabią towary wiezione przez wojewodę. Potem wszyscy płyną do Kireńska w poczuciu, że dokonali aktu sprawiedliwości. Czyż ośmieliliby się przybyć do Kireńska, gdyby zabójstwo Obuchowa było zwykłym morderstwem na tle rabunkowym lub aktem zemsty osobistej?

Wiedząc jednak, że prędzej czy później oczekuje ich surowa kara, postanawiają opuścić Kireńsk, wyruszyć w kraje, gdzie nie sięga władza urzędników carskich. Jest to exodus<sup>45</sup> uciemiężonych – fakt jakże częsty w historii. Buntownicy sposobią łodzie do dalekiej wyprawy w krainy wolności, przygotowują broń i żywność. Przyłącza się do nich przełożony kireńskiego klasztoru, opat Hermogenes, i zabiera z sobą rzecz w klasztorze najświętszą – cudowny obraz Zbawiciela, od którego imienia klasztor wziął swą nazwę.

W obawie przed represjami ze strony władz kireńscy mnisi powiedzieli potem, że opat Hermogenes został porwany przez drużynę Czernichowskiego. Historyków zadziwił ten fakt. „Wspaniała cecha w rozbójniku, który nawet w chwili morderstwa i gwałtu myśli o religii” – woła zdziwiony Parszyn. Nie rozumie on bowiem, że Czernichowskiego i jego ludzi nie uważano za rozbójników. Opat kireńskiego klasztoru był zapewne człowiekiem wrażliwym na krzywdę społeczną i oddany szczerze służbie bożej na ziemi. Swoją osobą i cudownym obrazem Zbawiciela chciał uświęcić wyprawę w kraje nadamurskie.

Jak mało ważną w tym wielkim przedsięwzięciu była osoba żony Czernichowskiego, najlepszym dowodem jest brak o niej jakichkolwiek informacji w starych dokumentach i „hramotach”. Na próżno szukałem choćby najdrobniejszej wzmianki o tym, kim była – Polką czy Rosjanką – i co się z nią stało po zabójstwie wojewody.

Spałem. A w tym czasie druty telegraficzne niosły rozmowę, w której wymieniano kilkakrotnie moje nazwisko. Rankiem gruba kołchoźnica popijając nocną produkcję swego grzyba – patrzyła na mnie dość podejrzliwie. Ale jak to zwykle kobieta, nie utrzymała języka za zębami.

– W nocy jakiś mężczyzna zaglądał do naszego przedziału. Pytał o was. Spaliście, więc nie chciał was budzić...

W chwilę później „przewodnica wagonu” roznosząc nam mocną, gorącą herbatę, przyniosła mi kartkę:

*Wielce Szanowny Obywatelu! Z polecenia redaktora Rogala powiadamiam Was, że w Skoworodinie oczekiwać Was będzie redaktor rejonowej gazety, który ułatwi Wam odwiedzenie Albazina.*

W radosnym nastroju, popijając herbatę, zasiadłem przy oknie pędzącego pociągu. Wstał dzień jasny, słoneczny, na wzgórzach pokrytych kosodrzewiną leżał śnieg. Zdziwiłem się, gdy powiedziano mi, że w tych syberyjskich okolicach śnieg rzadko bywa głęboki; zdarzają się nawet zimy zupełnie bezśnieżne.

Przystanęliśmy na stacji Tygda. Zobaczyłem osadę parterowych domków z nie otynkowanymi belek modrzewiowych. W spokojnym powietrzu zimowym z kominów wznosiły się ku niebu niebieskawe dymki i widok ten wydawał mi się niezwykle przyjemny.

<sup>45</sup> Exodus (grec.) – tu: wyjazd z kraju ojczystego, emigracja.

Skoworodino. Objuczony walizkami wpadłem na peronie w ramiona dwóch bardzo miłych ludzi. Jeden z nich – o ładnej, bardzo regularnej twarzy – był naczelnym redaktorem rejonowej gazety *Amurska Gwiazda* i nazywał się Kolewatow. Drugi – nazwiskiem Guljow – był jego zastępcą. Mimo mych gorących protestów odebrali ode mnie walizki i pomaszerowaliśmy ze stacji do hotelu.

– Musicie mieć wolne ręce – powiedzieli.

– Dlaczego?

– Przecież jest trzydzieści stopni mrozu. A wy w kapeluszu. Zakryjcie uszy rękami.

Zaledwie doba podróży pociągiem. W Chabarowsku jeszcze jesień, a tu zima. Surowy klimat syberyjski. W styczniu, gdy Wierchojańsk melduje 70 stopni mrozu, w Skoworodinie jest minus 50 stopni. Okazuje się, że im dalej na wschód, tym cieplej. Decyduje o tym bliskość Morza Japońskiego i Pacyfiku. Najzimniej jest w centrum ogromnego łądu Azji i w górach.

W okolicach Skoworodina zimom na ogół nie towarzyszą duże opady śniegu. Termometr wskazywał minus 30 stopni, a ulice ledwo przyprószyło siwizną. W ziemi, na głębokość metra, leży wieczna zmarzlina, dlatego okoliczne lasy nie są wysokie i nie mają grubych pni; drzewa nie mogą zapuścić głęboko swych korzeni, a płytko uczonepione ziemi, wywracają się za silniejszym podmuchem wiatru. Jednak i tutaj poczynają już rozpościerać się sady owocowe, w których rosną zaaklimatyzowane drzewka.

– Jak daleko stąd do Amuru, do Ałbazina? – dopytywałem się.

– Do Amuru jest około osiemdziesięciu kilometrów. Dojechać można miejscową kolejką do osady Dżalinda. Potem trzeba przebyć jeszcze dwadzieścia kilometrów wzdłuż brzegów rzeki.

– Konno?

– Zobaczmy. Amur tworzy granicę z Chinami, a na granicy, jak na całym świecie, znajdują się strażnice „pograniczników”. Dzwoniliśmy do nich, powiedzieli, że gotowi są wam pomóc w dotarciu do Ałbazina.

Szliśmy ulicą w pobliżu torów kolejowych. Jezdnia była nie brukowana, a chodniki zrobione z desek, na których głośno dudniły nasze kroki. Po obydwu stronach uliczek stały niskie, parterowe domki z drewnianych, nie otynkowanych bali. W jednym z tych domów mieścił się hotel. Otrzymałem maleńki pokój z wielkim blaszanym piecem, w którym paliło się brzożowymi polanami.

Rozpakowałem się i umyłem po podróży. Potem naciągnąłem nauszniki i poszliśmy na kolację do restauracji. Zbliżał się wieczór i moi mili gospodarze kazali mi się wcześniej położyć spać. O trzeciej w nocy mieliśmy bowiem wyruszyć do Dżalindy.

Redaktor Kolewatow dowiedziawszy się, że jestem dziennikarzem, przyniósł mi ostatni rocznik *Amurskiej Gwiazdy*, abym zapoznał się z gazetą i problemami skoworodińskiego rejonu. Był wczesny wieczór i zupełnie nie chciało mi się spać. Posłuszny jednak

„rozkazom”, wlałem pod kołdrę i zabrałem się do czytania. Odczuwałem przyjemne ciepło, za oknami słyszałem dudnienie kroków na drewnianym chodniku, od strony torów kolejowych dobiegało głośnie porykiwanie syren parowozów. Głos syren podobny do wołania statków, ciągle przypominał mi, że leżę nie na tapczanie w swoim mieszkaniu, lecz w małym domku drewnianym, hen, daleko, na trasie transsyberyjskiej kolei.

Czytałem o problemach rozwoju sadownictwa w rejonie Skoworodina, o projekcie budowy elektrowni wodnej na Amurze w okolicy Dżalindy, o historii amurskiej linii kolejowej. Zainteresowały mnie wspominki byłego partyzanta z czasów Wielkiej Rewolucji Październikowej, bo w artykule dostrzegłem słowo „Ałbazin”. Po chwili jak oparzony wyskoczyłem z łóżka i boso przebiegłem pokój. Począłem szperać w walizkach szukając lupy. Znalazłem ją i znowu zasiadłem nad gazetą, a raczej nad zamieszczoną w gazecie starą, pamiątkową fotografią z okresu walk partyzanckich.

Taaak Nie ulegało wątpliwości. Znowu natrafiłem na nić sensacyjnej sprawy, która miała w Polsce swe tragiczne zakończenie.

Wspominki obejmowały okres pierwszych lat po rewolucji. Daleki Wschód okupowany był przez Japończyków, którzy zawładnęli linią kolejową. W osadzie Ignaszyno (słynnej z czasów Ignaszyńskiej Kalifornii, czyli Żółtugińskiej Republiki), we wsiach: Pokrowka, Swierbiejewo i Dżalinda generał Siemionow organizował białogwardyjskie sotnie<sup>46</sup> kozackie. Amurem od Błagowieszczenska nadpływały wojska japońskie. Wkrótce okolice osady Skoworodino (w owym czasie – Ruchłowo) zajęły wojska białogwardystów i japońskich interwentów – władza radziecka została zniesiona. Komuniści zdołali jednak dostarczyć do Moskwy około 1200 pudów złota z tutejszych kopalń.

Na terenach zajętych przez Japończyków i białogwardystów wszczął się ruch partyzancki. Niejaki Dejbek, zarządca kopalni złota w miejscowości Łabędzie, mieszczonej się w głębokiej tajdze, wydał w ręce białych kozaków zdemobilizowanego żołnierza Czerwonej Gwardii – Draganina. Draganin zbiegł, przez dłuższy czas ukrywał się w wiosce Dżalinda nad Amurem, a potem skontaktowawszy się z innymi komunistami, zorganizował szesnastoosobowy oddział partyzancki.

W czasie jednego z wypadów Draganina udało się wziąć do niewoli trzech żołnierzy białogwardyjskich, idących brzegiem rzeki od strony Ałbazina w kierunku Dżalindy. W plecaku jednego z jeńców znaleziono dwunastokilogramowy worek złota, u innego zaś zrabowany aparat fotograficzny. Tym aparatem partyzanci zrobili zdjęcia schwytych jeńców i fotografia zachowała się aż do naszych czasów. Odbito ją teraz w gazecie. Widać na niej trzech żołnierzy w wielkich papachach na głowach. Jeden z nich trzyma w ręku ciężki worek, zapewne zawierający złoto. Rysy twarzy tego człowieka wydały mi się bardzo znajome.

Przypomniałem sobie noc w pokoiku leśniczówki. Kamila już śpi, a ja leżę na staroświeckim szezlongu, dręczony bezsennością i światłem naftowej lampki. Patrząc na

<sup>46</sup> Sotnia (ros.) – oddział złożony ze stu żołnierzy.

ścianę i na wiszącą na niej fotografię Dudy w mundurze carskiego żołnierza. Na fotografii twarz o nosie z krótkimi nozdrzami, odkrywającymi chrząstkę.

Ta sama twarz spogląda teraz na mnie ze starej fotografii w gazecie.

Czyż to możliwe? Duda? Aż tutaj, nad Amurem? Wzięty do niewoli przez ludzi Draganina? Schwytyany z workiem złota?

Nie miałem jednak ani cienia wątpliwości. To był Duda. Na pewno!

Trzeba mi było zajechać do Skoworodina, trzeba mi było rozczytać się w komplecie rejonowej gazetki, aby natrafić na ślady Dudy!

Tak więc Duda dotarł jednak do Ałbazina, choć nie wspomniał o tym Szulcowi.

Zapewne wzięto go do rosyjskiego wojska w 1914 roku; gdzie walczył, na jakich frontach – nie wiadomo. Być może podczas rewolucji i ogólnego chaosu udało mu się dostać na Daleki Wschód i tam, w Ałbazinie nad Amurem, posługując się planem Bełzaka, odnalazł ukryty złoty kruszec. Było tego jednak zbyt wiele, aby mogła to wziąć jedna osoba. Dlatego Duda zabrał do wojskowego plecaka tylko 12 kilogramów kruszcu i ruszył w powrotną drogę, gdzie spotkał jeszcze jakichś dwóch żołnierzy maruderów. Tych trzech ludzi schwytał później oddział Draganina.

W artykule obok zdjęcia Dudy i jego dwóch kompanów napisano:

*„Schwymano trzech żołnierzy maruderów, których posądzono o to, że chcieli się dostać do Białej Gwardii. U jednego z nich, Polaka, odnaleziono w plecaku aż 12 kilogramów złotego piasku. Za cenę uratowania życia Polak ów wyznał, że wie o ukrytym skarbie, złożonym z prawie 15 pudów czystego złota. Żołnierze Draganina zabrali to złoto i odesłali do Irkucka, a Polaka wcielili do swego oddziału. Niestety, wkrótce zdołał on uciec. Albo przyłączył się do białych, albo też skierował się do swej ojczyzny, do Polski”.*

Jak z tego wynikało ludzie Draganina, idąc za wskazówkami Dudy, odnaleźli cały skarb i odesłali go do Irkucka. Duda powrócił do Polski, ale bez złota. Wiedział też, że w Ałbazinie żadnego skarbu już nie ma.

Dlaczego jednak wciąż mówił Szulcowi o skarbie i nawet wręczył mu plan, na którym strzałka wskazywała miejsce ukrytego bogactwa?

Nie umiem sobie odpowiedzieć na to pytanie. Jedno tylko było pewne: w Ałbazinie nie było już żadnego skarbu w postaci złotego piasku i kruszcu. I w gruncie rzeczy odetchnąłem z ulgą. Nie przyjechałem bowiem tutaj, aby odnaleźć skarb, ale rozwiązać zagadkę historyczną i w ten sposób spełnić swoje marzenia.

O wpół do trzeciej w nocy, gdy zapukano do drzwi mego pokoju, abym szykował się do dalszej drogi – jeszcze nie spałem. Prędyutko umyłem się, wypilem szklankę gorącej herbaty,

wdziałem na siebie przyniesione mi wczoraj ubranie podróżne – długie wołokowe buty i futrzaną czapkę z nausznikami.

O trzeciej byłem gotowy do drogi.

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

**WZDŁUŻ RZEKI „WIELKA NIEWIARA” • PUŁAPKA NA LODZIE •  
PRZYBYCIE DO AŁBAZINA • TWIERDZA NICEFORA • CMENTARZYK •  
DLACZEGO MANDŻUROWIE NIE ATAKOWALI  
CZERNICHOWSKIEGO? • CHIŃSKA DYPLOMACJA • KARA I  
UŁASKAWIENIE • DOBRY CAR I ŹLI URZĘDNICY • KTO BYŁ  
AUTOREM LISTU? • JEZUICI • „AŁBAZIŃCY” W CHINACH • CO SIĘ  
STAŁO Z DZIEĆMI NICEFORA?**

Skoworodino i osadę Dżalinda nad Amurem łączy odnoga linii kolejowej. W czasie przeprowadzania transsyberyjskiej magistrali Moskwa – Władywostok bocznica tą dostarczano do budowy torów kolejowych materiały, które do Dżalindy spławiano Szyłką i Amurem. Obecnie, co drugi dzień, ze Skoworodina do Dżalindy odchodzi pociąg złożony z kilku wagoników i małego parowozu. Na przebycie siedemdziesięciokilometrowego odcinka pociąg ten traci prawie cały dzień, bo wraz z nim jedzie tak zwany wagon-ławka, czyli sklep na kółkach. W wagonie-sklepie zaopatrują się po drodze ludzie mieszkający w pobliżu linii kolejowej; niekiedy do pociągu doczepia się wagon sanitarny z dentystą i lekarzem.

Ponieważ pociąg okropnie się wlecze – oczekiwała nas kryta drezyna motorowa. Wyruszyliśmy kilkanaście minut po trzeciej w nocy; linia kolejowa do Dżalindy jest jednotorowa, musieliśmy wyjechać przed pociągiem.

Było zimno. Prawie 30 stopni mrozu. Świecił wielki, jasny księżyc, przez szpary w podłodze drezyny nawiewał chłód. Motor jazgotał bardzo głośno i parsknął iskrami. Pędziliśmy w ciemności, a obok nas, tuż przy torze kolejowym, na zlodowaciałej powierzchni rzeki Bolszaj Niewier ślizgał się zielonkawy blask księżyca.

Zanim zbudowano kolej, wędrowały tędy karawany wielbłądów objuczonych żywnością dla poszukiwaczy złota, grzebiących w zagubionych w tajdze kopalniach. Powracały dźwigając cenny kruszec. Bolszaj Niewier nazywa się ta rzeka, czyli Wielka Niewiara. Nie



wierzyli ludzie, że tutaj można znaleźć złoto. A złoto było nawet niedaleko stąd, koło Dżalindy i nad Żeftugą.

Drezyna biegnie z łoskotem po spojeniach szyn. Za szybami, na które wszedł mróz, migają drzewa i krzaki oświetlone księżycowym światłem. Niekiedy wydaje się, że na szybach widać cienie garbatych wielbłądów, że w łoskocie kół słychać czyjeś wołania i krzyki. Bolszaj Niewier – Wielka Niewiara. Czterdzieści lat temu przemierzał tę drogę Duda z Kamionki. Może jechał tędy w „tiepluszce”<sup>47</sup> wojskowym „eszelonem”<sup>48</sup>? Na rozkaz Lenina ustępujące oddziały Armii Czerwonej dokonały, jak ironicznie mówiono „kapitalnego remontu” amurskiej linii kolejowej – zerwały mosty, zniszczyły tory. Jakże inaczej w tych warunkach odbywały się podróże! Odcinek, na który dziś traci się co najwyżej dobę – wówczas przebywano w dwa lub trzy tygodnie. Co kilka godzin pociąg zatrzymywał się i, jeśli maszynista dawał jeden długi sygnał i trzy krótkie, każdy pasażer brał do rąk siekiere lub piłę i szedł w tajgę rąbać las na ogrzanie wody w lokomotywie. Co kilka godzin pociąg zatrzymywał się przy moście – pasażerowie ustawiali się wtedy w długi sznur, ciągnący się z nasypu aż do rzeki, i z rąk do rąk przekazywali sobie wiadra z wodą.

...O kilkadziesiąt kilometrów na zachód, niedaleko ujścia Amazaru, wpada do Amuru rzeka Urka. To po niej – podobno – spłynął ongiś Chabarow, a później tą samą drogą dotarł do Amuru Nicefor Czernichowski.

Z Kireńska popłynęli łodziami w dół Leny i, podobnie jak Chabarow, skęcili w Olekme, pracę przeciw prądowi. Zima się już zaczynała, gdy dotarli do Tungiru. Natknęli się tutaj na zimowisko zbudowane przez Chabarowa i, tak samo jak on, przysposobili do dalszej podróży sanie i narty. Potem już pieszo powędrowali po lodzie zamrożonego Tungiru, przy pięćdziesięciostopniowym mrozie zapuścili się w Olekmiński Stanowik, którego szczyty wznoszą się na 1500 metrów ponad poziom morza. Tak dobrnęli do źródeł rzeki Urki. W którymś miejscu tej drogi wpadli w zasadzkę, zgotowaną im przez Tunguzów, znających groźbę śmierci, jaką niosą z sobą biali przybysze z północy. W walce z Tunguzami zginęło piętnastu ludzi z drużyny Czernichowskiego.

Wiosną 1666 roku łodzie drużyny Czernichowskiego zakołysały się na wodach Amuru. Ale nie był to już ten sam Amur, który oglądał Chabarow. Daurowie przenieśli się na prawy brzeg, po dawnych grodkach pozostały tylko niewielkie wzniesienia porastające trawą i krzakami. Ziemia na lewym brzegu straszyla pustką i czerepami czaszek zabitych ludzi.

Czy Czernichowski widział już kiedyś czarne wody Amuru, czy oglądał jego wysokie brzegi?

Zastanawiająca jest pewność i nieomyślność, z jaką prowadził swą drużynę. Być może znajomość pierwszego odcinka zdobył ścigając chłopów uciekających nad Amur, a może uczestniczył w pierwszej wyprawie Chabarowa?

<sup>47</sup> Tiepluszka (ros.) – ogrzewany wagon kolejowy.

<sup>48</sup> Eszelon (z franc.) – grupa ludzi wspólnie podróżująca pod opieką władz.

Nad Amurem panowała wówczas wiosna. Setki wezbranych rzek i rzeczulek łączyło swe nurty z wodami wielkiej rzeki. Chmary ptactwa wlatywały z wysp i rozlewisk. Z głębokiej jak przepaść tajgi wychylał łeb rogaty łoś, północny jelen, śnieżny baran o wielkich grubych rogach. W rzece przewalały się ogromne ryby. Wiosna nad Amurem jest na pewno piękna. Lecz jakże mam ją sobie wyobrazić, gdy nigdy jej nie oglądałem? A teraz przybywam tutaj w początkach zimy, z łoskotem mknę parszczącą iskrami dreżyną i chucham na zamrożone szyby, aby dojrzeć po prawej ręce szklistą powierzchnię rzeki, a po lewej – stromy stok skalistych wzgórz.

W Dżalindzie jest noc. Przed małą stacyjką czeka na nas wojskowy samochód o przyjemnie wygrzanym wnętrzu. Jedziemy nim do przygranicznej strażnicy, wartownik u wejścia pręży się na nasz widok. Rozgościliśmy się w kancelarii, oblepionej mapami; od wielkiego pieca bucha gorąco – robię się senny i znużony. Przychodzi do nas oficer w stopniu majora, żartuje z nami, proponuje herbatę. Moi gospodarze głośno zastanawiają się, w jaki sposób dostarczyć mnie do Ałbazina.

Wspaniały Ałbazin Czernichowskiego jest teraz maleńką wioską o nazwie Ałbazino, leżącą od Dżalindy o 18 kilometrów w dół Amuru. Drogę do Ałbazina przegradzają dwa strumienie. Wezbrały wodą i zamorzyły zaledwie po wierzchu. Jakże się przez nie przedostać samochodem? Można by spróbować popłynąć wojskową łodzią motorową. Lecz po Amurze od kilkunastu dni ciągnie kra. Ogromne kawały lodu zgmiotłyby łódkę jak skorupkę orzecha. Więc może konno?

Wyjechaliśmy z Dżalindy wojskowym „łazikiem” o szarej godzinie. Świt zastał nas już w tajdze, gdy posuwaliśmy się wąską drożyną biegnącą o kilkanaście metrów od urwistego brzegu. Rzeka wydawała się jakby gigantycznym węzem pełzającym z głośnym chrzęstem białych łusek. Kry zderzały się z sobą, wirowały i z suchym trzaskiem odpływały niesione prądem. Na drugim brzegu świt obieleł lasy Mandżurii, łańcuch wysokich wzgórz, stanowiących czoło potężnego masywu Wielkiego Chinganu. Na lewym brzegu rosły brzozy – cętkowane pnie o chudziutkich gałązkach, którym mróz przydał siwe wąsy. Podskakując na wybojach, kolebaliśmy się między pniami brzoź – droga biegła kręto, to zbliżała się do rzeki, to znów oddalała.

Wzeszło słońce. Wielkie, czerwone. Las wypełnił się delikatną złocistą barwą jak szklanka mleka, do którego dolano mocnej herbaty. Wspięliśmy się na niskie wzgórze, później zjechaliśmy głębokim wąwozem. Stanęliśmy. W krzakach bulgotała woda. Wydobywała się ona wąską szczeliną, jakby w głębi ziemi, i rozlewała po zlodowaciałym jeziorcu. Droga kończyła się w jeziorcu i znów zaczynała na jego przeciwległym brzegu – to był bród przez rzeczkę. Kierowca-żołnierz i towarzyszący mu oficer wyskoczyli z samochodu i długą chwilę medytowali, słuchając bulgotu wody. Wreszcie zdecydowali. Wjechaliśmy w wodę samochodem. Motor wył, warczał, buchał kłębami sinego dymu. Buksujące koła ledwo

pchały nas do przodu. Do wnętrza samochodu wciekał lodowaty strumień. Raptem samochodem szarpnęło – wyskoczyliśmy na brzeg, tracąc szkło w prawej lampie.

Kilkanaście minut jazdy po wądołach i znowu rzeka. Do połowy pokrywał ją lód, na drugiej połowie bystro płynęła woda. Lód załamał się już na pierwszym metrze. Poczuliśmy się zanurzać w lodowatej kaszy – głębiej i głębiej. Kierowca uruchamiał obydwa napędy wozu, to cofał go, to znów rzucał do przodu. Samochód był jak zwierzę schwytane w bagnistą topiel. Wreszcie motor zgasł. Tkwieliśmy bezradnie na środku rzeczulki, która bulgocząc wesoło przepływała przez wnętrze naszego wozu. Trzymaliśmy nogi wysoko, żeby nam nie zamokły, a motor stygł, odpoczywał, gotując się do dalszej walki.

Centymetr za centymetrem z jazgotem motoru i bulgotem wody brnęliśmy przez jeziorko. Jeszcze tylko cztery metry od brzegu. Jeszcze tylko trzy metry. Jeszcze dwa! I wóz zapadł się w dół. Równy z szybami dojrzałem brudną kaszę lodową, woda wciskała się do auta wszystkimi szczelinami! Motor zgasł, Guljow szarpał się z drzwiczkami, które zablokował lód. Do licha, czyżbyśmy mieli utopić się w małej rzeczulce o kilometr od Albazina?

Guljow nareszcie uchylił drzwiczki. Do auta buchnęła woda. Zostaliśmy doszczętnie przemoczeni, jak szczury wdrapaliśmy się na dach, skąd duży skok i stoimy na suchym lądzie. Razem z nami skoczył kierowca i oficer. A samochód sterczy o metr od brzegu, zanurzony w wodzie aż po szyby.

Do Albazina wpadliśmy truchcikiem, przemoczeni do pasa, lękający się zaziębienia. Było przecież prawie 25 stopni mrozu!

W strażnicy wojskowej przy ciepłym piecu zrzuciliśmy z siebie odzież i poczuliśmy ją suszyć. A w tym czasie traktor z albazińskiej maszynowo-tractorowej stacji wyciągnął nasz wóz z lodowatej topieli.

Nie, nie tak zamierzałem wkroczyć do Albazina. Dlaczego marzenia, gdy się spełniają, zazwyczaj pozostawiają nam jakąś zadkę?

Osiągnąłem Albazin! W słoneczny, mroźny dzień stąpałem uliczką małego sioła, uważnie przekraczałem skamieniałe koleiny wyryte w żółtawej glinie, pilnie nasłuchiwałem uderzeń własnego serca. Oczekiwałem, że nagle zdjęty zostanie ze mnie ów dziwaczny czar, który ogarnął mnie wtedy, kiedy podniosłem z podłogi małą karteczkę. Od tamtego dnia minęło pół roku, które przeżyłem czyniąc wysiłki, aby dostać się aż tutaj. Teraz osiągnąłem cel, zaspokoilem ciekawość. Czyż nie nadeszła pora zbudzić się ze snu?

W wysokich wojskowych butach stąpałem jak słoń. Wdychałem ostre, mroźne powietrze. Z zaciekawieniem spoglądałem na drewniane domostwa z grubych pni, zaglądałem w okienka przystrojone u góry wyciętymi w drzewie ornamentami o wzorach, jakich nie spotyka się nigdzie indziej. Wędrowałem przez wioskę, jakże niepodobną do naszych. Te domy z grubych bali, niskie płoty, a w nich wysokie bramy nakryte spadzistymi daszkami. I szeroka uliczka biegnąca gdzieś w pola, których granice na horyzoncie zakreśla sine pasmo tajgi. A z boku, za rzeką – wysokie „sopki” o łagodnych zboczach.

Tuż na brzegu rzeki (trzeba wyminąć długi budynek Sielsowietu<sup>49</sup>) łagodne wybrzuszenie ziemi. Jakby kopiec rozmyty przez deszcze. Ziemia ma brunatny odcień wypalanej gliny. Kilka głębokich dołów i zaraz kilkunastometrowy brzeg, urwisty jak przepaść.

– To są ślady dawnych obwarowań – objaśnia mnie przewodniczący albazińskiego kolchozu.

O kilkanaście metrów dalej znowu resztki umocnień. Przed pierwszą wojną światową po Amurze płynął jeden z członków carskiej rodziny. Na miejscu murów albazińskiej twierdzy, wzniesionej przez Czernichowskiego, kazano ludziom ułożyć kamienną ścianę. Planowano nawet budowę pomnika, który górowałby nad rzeką i przypominał ludziom o dniach zdobycia Amuru dla Rosji. Pozostała tylko bezsensowna płaszczyzna kamienna, pokrywająca duży kwadrat ziemi. Obecnie rozgrywają się tu mecze piłkarskie, a kamienna ściana służy jako łoża dla kibiców.

Patrzę na rzekę, na niski chiński brzeg, gdzie stoi kilka drewnianych domków i unoszą się w górę smugi sinego dymu. Amur wciąż chrzęści krami, na niebieskawej toni białe płyty lodu wyglądają jak obłoki na czystym niebie. Wiosną spoza dalekiego zakrętu rzeki, zza zielonkawych lesistych wzgórz – wyłoniły się łodzie drużyny Czernichowskiego. Ujrano stromy brzeg, a na nim resztki zniszczonych wałów i budowli. Czy od razu pojęli, że są to pozostałości albazińskiej warowni Chabarowa? Miejsce było obronne, górujące nad rzeką i okolicą. Widać stąd dokładnie brzeg mandżurski i tajgę po lewej stronie rzeki. Z wysokich drewnianych baszt można by dość wcześnie dostrzec zbliżanie się wroga.

Tu, u piaszczystego brzegu przycumowały łodzie. Uzbrojeni w żelazne topory wspięli się na strome wzgórze. Brzeg był pusty, bezludny. Na resztkach glinianych wałów kiełkowała młoda trawa, wpół zwęglone bale walały się po ziemi. Wszędzie widziało się niszczycielską dłoń mandżurskich żołnierzy. Jakby chciano, aby ślady Rosjan nie przetrwały dłużej niż ich obecność, aby nie pozostał po nich kamień na kamieniu. Wśród zwęglonych pni ludzie Czernichowskiego odkryli białe, wysuszone na słońcu kości ludzkie: Mandżurowie pozostawili nie pogrzebane trupy kozackie na postrach tym, którzy jeszcze kiedyś ośmieliliby się zajrzeć w tę okolicę.

Lecz następna wiosna spotkała na albazińskim brzegu wysokie wieże nowej twierdzy. Przepięknie jaśniały w słońcu białe ściany ze świeżego drewna, widne z dala, przytulne i dające obronę zamkniętym w niej ludziom. Historycy notują:

*Warownia albazińska była czworokątna, drewniana, z trzema basztami. Jedna z nich stała od strony gór i tajgi, dwie zaś od strony Amuru. W wieży głównej mieściły się wrota, a nad nimi urządzono kancelarię, na szczycie zaś znajdowała się warownia strzegąca twierdzy w dzień i w nocy. W dwóch pozostałych wieżach były pokoje mieszkalne, a ponad nimi pomieszczenia obronne. Wewnątrz zbudowano tylko spichlerz, a koszary stanęły już poza*

<sup>49</sup> Sielsowiet (ros.) – rada gminna.

*ścianami warowni. Budynek koszar ogrodzono wysoką palisadą ze słupów drewnianych.*

W dziesięć lat później, pod koniec rządów Czernichowskiego, Ałbazin otoczony został głęboką i szeroką na dwa sążnie fosą oraz sześcioma rzędami gęstego żywopłotu. Dubiecki pisze:

*Po pierwszych kilku latach (...) Jaksza panująca nad szeroko rozciągającym się porzeczem posiadała wszelkie warunki znośnej i bezpiecznej egzystencji. (...) Praca osadników rychło przedzierzgnęła ugorem leżące ongi daurskie łany na pola, gdzie falowały kłosa zboża na znacznych przestrzeniach, ogrody zaś u siola i na futorach dawały warzywa różnorodne*

*...Osadczy Jaksy, dziś wspomnianej pod imieniem „Ałbazin”, nieograniczoną dzierżył władzę nad lewym porzeczem Amuru (...). Był on elekcyjnym wprawdzie, ale niemniej nieograniczonym królikiem. Ludność osadnicza, która rozmaitymi szlakami i w różnych czasach zbiegła pod osłonę drewnianych fortyfikacji jego gródka, a z nią i wszystkie szalasy krajowców zholdowane przez drużynę Czernichowskiego, podlegały mu bezwarunkowo. Zbierał on daninę; był panem życia i śmierci; sprawował władzę sądowniczą; tworzył zbrojne gromady i rzucał je w puszcze na północ lub wschód, w celu zholdowania tubylców i ściągnięcia od nich haraczu, który składał się ze skór więcej lub mniej cennych.*

Czernichowski postępował inaczej niż jego poprzednicy, bo też i inne przyświecały mu cele. Pojarkow i Chabarow musieli działać szybko, chcąc zawładnąć krajem i wycisnąć z niego jak najwięcej. Nie zawsze więc liczyli się z nastrojami ludności tubylczej. W wypadku klęski mieli otwartą drogę nad Lenę.

Inaczej było z Czernichowskim – odwrót miał zamknięty. Przybył nad Amur z myślą osiedlenia się tu na stałe; plany jego obliczone były na całe lata; mógł działać z większą precyzją, bez pośpiechu, sprawiedliwiej. Chabarow rozniecił nad Amurem pożogę wojenną, w której spłonęły również i rezultaty jego działania. Pobyt Czernichowskiego przyniósł rozkwit na ziemiach nadamurskich, pod jego władzę poczynali się garnać zbiegli chłopci, powstawały sioła, chutory, osady.

Stąd też wielkie znaczenie Czernichowskiego w historii opanowania przez Rosję ziem nadamurskich. Tego faktu nie ukrywają zresztą rosyjscy badacze stosunków syberyjskich.

Ponownie zaglądam do noszonych w kieszeni planów warowni ałbazińskiej i do planu, jaki stary Duda pozostawił Szulcowi. Niby wyglądają podobnie – na każdym widać prostokąt

przedstawiający ściany warowni, a tuż obok dwie poprzeczne kreski, mające oznaczać rzekę Amur. Ale na planie Dudy zaznaczono małą prostokąt w rzucie pionowym, coś na kształt małej cerkiewki lub kapliczki zwieńczonej krzyżem. A przecież, jak to wynika ze starych dokumentów, w Ałbazynie nie było cerkwi ani kaplicy. Mnich Hermogenes, który uciekł tutaj wraz z Czernichowskim, zbudował z jego pomocą wieś Słobodę Pokrowską, a tuż obok niej, na Brusianym Kamieniu, klasztor pod wezwaniem Zbawiciela.

Maksimów pisze:

*Towarzysze Czernichowskiego zbudowali Słobodę Pokrowską i zajęli się rolnictwem. Życie rosyjskie nad Amurem znowu zawrzało i utrwaliło się już tak dalece, że Hermogenes założył w pobliżu grodu na Brusianym Kamieniu klasztor pod wezwaniem Zbawiciela. Przybyli włościanie, Słoboda Pokrowską stała się podobna do wsi poważnej. Dzieło Czernichowskiego wydało wspaniałe owoce, strony nadamurskie stały się ogniskiem rosyjskim.*

Marian Dubiecki zwraca uwagę na dziwny fakt w historii Ałbazina. Mandżurowie, którzy w czasach wyprawy Chabarowa tak szybko zmobilizowali swe siły do wyparcia go z nad Amuru, w ciągu dziesięciu lat władzy Czernichowskiego ani razu nie pojawiają się pod ścianami ałbazińskiej twierdzy, ani razu nie zakłócają pracy osadników rosyjskich.

I powiada Dubiecki:

*W Czernichowskim władze chińskie widziały człowieka niesyberyjskiej narodowości, nie wcielały jego imienia do tłumy opryszków waleśających się po falach Amuru; snadź szanowały osadczego, gdyż już po złożeniu przez niego władzy pisały do załogi Jaksy po polsku.*

Zapewne jest w tych słowach sporo słuszności. Trudno przecież zaprzeczyć wypadkom. Zaledwie bowiem władzę w Ałbazynie objął carski wojewoda Aleksiej Tołbuzin, nad Ałbazinem zawisła groza mandżurskiego miecza.

Lecz sprawa ta nie jest aż tak prosta. Stare dokumenty powiadają, że bezpośrednim powodem wszczęcia kroków wojennych ze strony Chin było właśnie nietaktyczne posunięcie Czernichowskiego, który na czele trzech sotni Kozaków wyprawił się w głąb Mandżurii nad rzekę Han i okazał pomoc tunguskiemu książętku imieniem Gantimur Ułan, umożliwiając mu przesiedlenie się na rosyjski, lewy brzeg Amuru. Chińczycy zażądali wydania im Gantimura, ale carscy zarządcy Ałbazina odmówili żądaniom. To stało się powodem rozpoczęcia wojny.

Jakim więc przyczynom przypisać ów dziesięcioletni okres pokoju, gdy władzę w Ałbazinie sprawował Czernichowski? Czy zdecydowała o tym narodowość Czernichowskiego?

A może to wszystko przedstawiało się inaczej? Dyplomaci chińscy – kochający się w misternej koronkowej robocie – dość rychło chyba dowiedzieli się, że drużyna, która znowu przybyła nad opustoszałe brzegi Amura, jest grupą uciekinierów spod władzy carskiej, ba, ze strony tej władzy groziły jej surowe represje. Chińczycy lubili działać powoli i ostrożnie, pozwalając, aby sam bieg wypadków dostatecznie jasno wykrystalizował sytuację. Spokojnie więc i z daleka przypatrywali się poczynaniom przybyszów, obserwując, jak tamci wznoszą grodek, zaorują leżące odłogiem pola, jak pustynie zamieniają w kraj żyzny i ludny. Liczyli, że prędzej czy później ów kraj na nowo rozkwitły na zgliszczach, zagrożony przez władze moskiewskie, będzie musiał prosić Chin o obronę i opiekę. Dopóki Czernichowski lawirował, nie deklarując się po żadnej stronie – dopóty był bezpieczny. Lecz gdy jasnym się stało, że Ałbazin oddano władzy cara, gdy przybył do niego carski wojewoda, wówczas dopiero w Chinach pomyślano o krokach wojennych. A bezpośredni powód znalazł się szybko. Była nią sprawa Gantimura.

Można chyba Chińczyków posądzić o tak subtelną dyplomację? Czyż nie było szczytem dyplomacji wysłanie do Ałbazina ultimatum napisanego w trzech językach, między innymi po polsku? Liczono na rozłam w załodze warowni, bo być może oprócz Czernichowskiego byli tam jeszcze inni Polacy.

Niestety, nie znamy treści tego ultimatum. Nie znamy także jego autora. W tej sprawie istnieją tylko domysły.

Spaceruję po Ałbazinie. W tę i z powrotem – od brzegu tajgi aż do rzeki i wzdłuż rzeki aż na kraniec sioła. Sioło jest nieduże: 300 zagród, 1100 mieszkańców, kołchoz, stacje maszynowo-traktorowe.

Na każdym kroku odkrywam coś nowego, co uchodzi oczu mieszkańców, lecz dla mnie jest ważne – przyprowadza na pamięć przeszłość. Oto już prawie poza wioską dwa głębokie rowy. Z pozoru wydają się najzwyczajniejszymi dołami, z których wybrano glinę lub ziemię. Rowy obiegają wieś, to niknąc wśród zaoranych pól, między opłotkami ogrodów, to znów, gdzieś na łące, ujawniając się w całej swej symetrycznej doskonałości. Po chwili domyślam się: tak, to przecież pozostałości rowu z sześcioma żywopłotami. Ogradzał on całą osadę założoną przez Czernichowskiego.

Na skraju wsi maleńki lasek brzozowy. W trawie jakiś ułamek kamienia nagrobnego – zapomniany cmentarzyk. Najstarsi ludzie w Ałbazinie nie pamiętają, kiedy tutaj chowano zmarłych. Może pod grubym kożuchem trawy i zeschniętych liści spoczywają kości Nicefora i jego towarzyszy?

Na cmentarzyku kępa krzaków. Za krzakami gromadka chłopców. Słyszę, jak któryś z nich powiada:

– A on chodzi i chodzi. Wciąż chodzi. Czego tutaj szuka?

To o mnie. Zapewne wydaję się im dziwny. Rzeczywiście, czego tutaj szukam?

Mały chłopiec podbiega do mnie i wręcza mi żelazną kulę, dużą jak dwie pięści.

– Znalazłem w rowie. O, tu często się je znajduje.

A więc jednak oni wiedzą, czego szukam w Ałbazinie. Przeszłości. Takimi kulami strzelano w czasach Czernichowskiego.

Znowu wędruję na wysoki brzeg Amuru. Idę obok kamiennej ściany, patrzę na rzekę, na kry kołujące się w niebieskiej wodzie.

Na krótki moment zapominam o Czernichowskim, przenoszę się w myślach do okresu późniejszego o dwieście lat. Spoglądam na ziemię pod nogami, jakby łudząc się, że dojrzę miejsce, z którego Duda wydobyl woreczek ze złotym piaskiem.

...Nadpłynęli w malutkiej łódce. Było ich trzech: Bełzak, który w Żółtugińskiej Republice miał stanowisko prezydenta, Szulc i Boulain – dobrana trójka awanturników.

Gdy chiński oddział wojskowy wkroczył na teren Żółtugińskiej Republiki, udało im się przekraść aż na brzeg Amuru. Zmyliwszy strażę, ukradli łódeczkę, wrzucili do niej uratowany majątek i postanowili wymknąć się płynąc z nurtem rzeki. Wypływających na rzekę dojrżeli żołnierze, rozpoczęła się pogoń. Chińczycy strzelali, ciężko ranili Szulca, Boulain został lżej ranny. Dopłynąwszy do Ałbazona postanowili porzucić łódkę i dalej powędrować pieszo kierując się na północ. Może zamysłali przedostać się do Czyty lub Irkucka, gdzie można było zyskownie sprzedać kruszec i rozpocząć dostatnie życie?

Każdy z nich posiadał woreczek ze złotem. Szulc nie miał siły do dalekiej wędrówki, porzucili go więc w drodze, a jego worek złota zakopali w Ałbazinie, gdzieś na brzegu rzeki. Potem Boulain razem z kamienicznikiem Połowieckim na próżno kopał nad rzeką, szukając złotego skarbu. Złota nie znalazł, ale zjawił się przed nimi Karol Szulc, żywy, wyrwany z rąk śmierci.

A później?

Później zmarł Bełzak, bogaty obywatel ziemski, właściciel pięknego pałacu w Polsce. A jeszcze później przybył do Ałbazona młody żołnierz, Duda. Wykopał część złota, ale los nie dał mu się nacieszyć skarbem. W drodze do Dżalindy, może właśnie nad rzeczka, gdzie skapałem się w wodzie – odebrali mu bogactwo inni uzbrojeni ludzie.

Ałbazin – malutki skrawek ziemi. A ileż dramatów ludzkich jest z nim związanych, jakież mnóstwo spraw i ludzi zrosło się z historią tego skrawka ziemi.

Kniaź Ałbaza strącony z tronu, wygnany ze swego gródka. Chabarow budujący twierdzę i zamyślający o podbiciu obszarów większych, niż posiadał niejeden król w Europie. Czernichowski, zabójca Obuchowa, uciekający przed kaźnią. I te późniejsze małe postacie, których dramatów i istnienia nie zanotowała historia: porzucony na skałach Szulc, Boulain – pechowy poszukiwacz skarbu, Duda – nieszczęsny znalazca, uwieczniony na starej fotografii.



To ci, których losy są mi znane. A iluż było tu innych? Choćby owi sławni obrońcy ałbazińskiej warowni, opierający się długo przeważającej sile wojsk mandżurskich? A tragiczni poszukiwacze złota, szukający koło Dżalindy fortuny ukrytej w mule i piasku rzeczulek? A ci, których pomordowały setnie białych kozaków Siemionowa?

I to wszystko na tym małym, bardzo małym płachetku ziemi nad brzegiem rzeki.

...Zaproszono mnie do wiejskiej biblioteki. W przytulnej i dobrze ogrzanej salce ze stolikami, na których leżały gazety, przyszło mi dyskutować o książkach Kazimierza Brandysa i o *Chłopcu z salskich stepów* – o jego żywym bohaterze, którego książka Newerlego wybawiła z poważnych kłopotów.

Wieczorem do Sielsowietu przyszli mnie obejrzyć staruszkowie z Ałbazina – brodaci, poźółkli, gadatliwi. Nikołaj Szemielin, Wasyli Pticyń, Nikołaj Kuchcin. Opowiadali, że za ich młodości na wzgórkach, gdzie ongiś znajdowała się twierdza Czernichowskiego, odnajdywali kule wagi 15 funtów, a ów rów obiegający wioskę – ich zdaniem – był pozostałością wału, jaki wzniesli Chińczycy podczas długotrwałego oblężenia ałbazińskiej twierdzy.

Aż do zmroku staruszkowie sprzeczekali się, czy w Ałbazinie stała kiedykolwiek cerkiew. W tym względzie pamięć staruszków zawodzi – Sybiracy nigdy nie byli zbyt przywiązani do religii.

Kolację jemy u przewodniczącej Sielsowietu, Aleksandry Małachowej. Na kolację oczywiście smaczne i tłuste sybirskie „pielmieni”.

Potem wyruszam na samotną przechadzkę. Jest pogodna, mroźna noc. Gwiazdziste niebo ma odcień amarantowy – ostatni ślad słońca, skrytego poza dalekimi „sopkami”. Idę w stronę rzeki, której głos, chrzęszczący i burzliwy, słychać już z oddali. Na chińskim brzegu błyszczy samotnie światelko – jest cisza, tylko gdzieś na skraju wsi z rzadka poszczekuje pies.

„Jestem w Ałbazinie. Nareszcie jestem w Ałbazinie. Dotarłem do Ałbazina” – powtarzam sobie bez końca. Ale nie odczuwam ani wielkiej radości, ani wielkiego rozczarowania.

Ukryty w mroku nocy, niewidoczny nawet dla strażnika, który tuż obok mnie na wysokiej wieży drewnianej obserwuje okolice, stoję na wzgórkach starej fortecy i jeszcze raz próbuję zastanowić się, co skłoniło Czernichowskiego do wyrzeczenia się władzy nad Amurem. Dubiecki sądził, że stało się to na skutek jakichś ponurych i niewidocznych dla historyków intryg agentów wysyłanych do Ałbazina z Nerczyńska, głównego wówczas ośrodka carskiej władzy na południu Syberii, ale przecież w 1672 roku Czernichowski i jego najbliżsi towarzysze samorzutnie wysłali do cara poselstwo z prośbą o łaskę, darując carowi ziemie przez nich zdobyte i zagospodarowane, a car Aleksy Michajłowicz, następca Michała Romanowa, okazał swą carską i jakby ojcowską surowość i dobroć.

15 marca 1672 roku skazał Nicefora Czernichowskiego i jego najbliższych towarzyszy na karę śmierci, a czterdziestu sześciu uczestników napadu na Obuchowa na karę ciężkiej chłosty. W dwa dni później, zwyczajem carskim, okazał łaskawość i całkowicie darował im

winy, Kozakom albazińskim ofiarował 2000 rubli nagrody, a Czernichowskiego oficjalnie mianował wojewodą w Albazynie i przyamurskiej ziemi (był więc Polak, Nicefor Czernichowski, pierwszym wojewodą tych odległych stron nad Czarną Rzeką!)

Dlaczego więc wkrótce jego miejsce zajął Siemion Wieszniakow, a jeszcze później Aleksy Tołbuzin? Być może władze carskie w Nerczyńsku nie miały jednak do Czernichowskiego zaufania – a może Nicefor nie był już zdolny do zarządzania tak rozległym krajem. Trzeba się przecież liczyć z upływem czasu. Czernichowski dobiegał wówczas siedemdziesiątki, a trudny okres pierwszych lat spędzonych nad Amurem mógł nadwyrężyć jego zdrowie.

Od 1675 roku nazwisko Nicefora znika z kart starych dokumentów, lecz Nicefor żył chyba jeszcze w Albazynie dość długo, skoro w 1684 roku Chińczycy wysłali do Albazina ultimatum w języku polskim, starając się go skaptować.

List pisany po polsku. Jego autorów należałoby szukać wśród misjonarzy, głównie polskich jezuitów, przebywających wówczas w Chinach. Był między nimi ów sławny jezuita, Michał Boyma, rodem ze Lwowa, i cieszył się tam dużym szacunkiem.

Jeśli przyjąć, że autorem polskiego listu był polski jezuita przebywający na dworze chińskim, w nowym świetle ukazują się przyczyny długoletniego pokoju, jakiego Czernichowski zażywał w Albazynie.

Wczesnym rankiem wyjechaliśmy do Dżalindy. W nocy rzeczki zupełnie zamarzły i tym razem obyło się bez przygód.

Motorowa dreżyna znowu zawiozła mnie do Skoworodina. Odjazd do Moskwy miał nastąpić rano następnego dnia. Pozostał mi wolny wieczór i jeszcze raz zagłębiłem się w historii albazińskiego grodu.

...Ultimatum chińskie do mieszkańców Albazina nie przyniosło, rzecz jasna, oczekiwanych przez Chińczyków rezultatów. Gród szykował się do obrony. W czerwcu 1685 roku, po długotrwałym oblężeniu przez dziesięcioletnią armię chińską, obrońcy Albazina zmuszeni byli poddać swą twierdzę. Czy Czernichowski doczekał tej klęski? Nic w tej sprawie nie wiadomo, najprawdopodobniej już nie żył.

W następnym roku wojewoda Aleksy Tołbuzin ponownie zajął Albazin i znowu rozpoczęło się oblężenie. W tym czasie jednak nastąpiły w Nerczyńsku rokowania między Rosją a Chinami. Na mocy tak zwanego traktatu nerczyńskiego, zawartego dopiero w 1689 roku, Chińczycy zajęli Albazin. Jednak niewiele troszczyli się o ten kraj, nawet nie ustanowili tutaj stałej administracji. I w połowie XIX wieku lewobrzeżny Amur – aż nim zgliszcza Albazina – przypadły Rosji. W 1858 roku na gruzach starej warowni wzniesiono sioło pod nazwą Albazino.

I jeszcze jeden interesujący szczegół. Po zdobyciu Ałbazina Chińczycy wzięli do niewoli część jego obrońców i zawieźli ich do Pekinu. Tam ałbazińscy Kozacy pożenili się z Chinkami i doczekali się liczego potomstwa, które, pomnie na swoje pochodzenie, zachowało prawosławie i nazwę „Ałbazińcy”. Pod pretekstem opieki nad nimi rząd rosyjski wysłał do Pekinu misję prawosławną, która przez dłuższy czas była doskonałym informatorem o wewnętrznej sytuacji w Państwie Niebieskim. W szkole w Ałbazinie oglądałem bardzo starą fotografię, pochodzącą podobno jeszcze z czasów chińskiego powstania bokserów. Widnieją na tym zdjęciu chińscy „Ałbazińcy” – po matkach Chinkach odziedziczyli wschodnie rysy, ale na piersiach mają prawosławne krzyże.

I poczęło mnie prześladować pytanie: A może któryś z tych utrwalonych na fotografii ludzi jest potomkiem Nicefora?

Nie. Po powrocie do Moskwy znalazłem odpis listu z 1680 roku. List zawiadamia, że dzieci Czernichowskiego ze swymi rodzinami osiedliły się w Jenisejsku, w okolicach Krasnojarska i Tomska. Synowie Czernichowskiego otrzymali rozkaz służenia tam w wojsku. Nie brali więc udziału w obronie Ałbazina.

Rankiem Kolewatow i Guljow prowadzili mnie do przedziału moskiewskiego pociągu. Ucałowali mnie serdecznie i życzyli szczęśliwej drogi. Trzem jeszcze zaspanym towarzyszom mej podróży oświadczyli gromko:

– Zaopiekujcie się w drodze naszym młodym przyjacielem z Polski.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

**TOWARZYSZE PODRÓŻY • W SZPONACH HAZARDU • „MORSKI KOZIÓŁ” • HISTORIA DEKABRYSTÓW • KSIĄŻĘTA I ICH ŻONY • ODBRĄZAWIAM BENIOWSKIEGO • PRZEDZIWNE KOLEJE ALBINY MIGURSKIEJ • BAJKAŁ • CZEREMCHOWO • ANTON ROZPOCZYNA ŚLEDZTWO • KTO BYŁ ZABÓJCĄ BELZAKA? • DO JAKIEGO SKARBU PROWADZI PLAN? • OSKARŻENIE DUDY • BAWIMY SIĘ W GRAFOLOGÓW • PODWÓJNE MORDERSTWO • ANTON JEST GENIALNY • ODKRYWAMY MIEJSCE UKRYCIA SKARBU**

Moi przyszli opiekunowie poziewając zleźli ze swych wagonowych posłań, powędrowali się myć, a później „na moją cześć” postanowili się ogolić. Jeden z nich, Anton Antonowicz – pięćdziesięcioletni łyсы mężczyzna o wielkim nosie i w okularach – posiadał elektryczną maszynkę do golenia.

Po włączeniu maszynki do kontaktu okazało się, że prąd w pociągu ma za niskie napięcie.

– Nie martwcie się, Anton Antonowicz – pocieszali go właściciele zwykłych maszynek. – Pogodzicie się ze starą techniką. Pożyczymy wam naszych maszynek i pędzli.

Wszyscy trzej byli bardzo mili i posiadali duże poczucie humoru. Ciągłe pokpiwali z siebie, żartowali. Wyglądali na pocziwych starszych panów – urzędników, nauczycieli lub może pracowników handlu.

Wygoleni, ubrani objawili mi się jako dwaj pułkownicy i kapitan trzeciej rangi. Anton Antonowicz był pułkownikiem piechoty (o ile dobrze się zorientowałem po naszywkach na jego mundurze), Michaił Siergiejewicz – pułkownikiem lotnictwa, a Iwan Stiepanowicz pracował w administracji portu wojennego we Władywostoku. Znajomość zawarli dopiero w przedziale wagonu, ale przez dobę wspólnej podróży zdążyli się polubić.

**Stacja Amazar**

Poszliśmy w czwórkę zjeść śniadanie w wagonie restauracyjnym. Zamówiliśmy ogromny talerz kanapek z wędzoną rybą amurską, wypiliśmy po dwa kieliszki wódki.

– Anton Antonowicz – grzmiał oficer marynarki, Iwan Stiepanowicz – od tej chwili podejmujemy kolektywną uchwałę, że nie wolno wam szwendać się po innych przedziałach i demoralizować pasażerów grą w preferansa. To przecież hazard!

– To hazard – przytakiwał Michaił Siergiejewicz.

– Ponieważ mamy już czwartego pasażera i wbrew panikarskim przewidywaniom nie jest to kobieta

– Czy aby na pewno? – zerknął w moją stronę Anton Antonowicz.

– Od teraz gramy w domino. W „morskiego kozła”. W najprawdziwszego „morskiego kozła”. Przed nami sześć długich dni. Kupimy główkę surowej kapusty i kto przegra największą ilość razy, będzie musiał ją zjeść. Na surowo.

### **Kseniowskaja**

Zamknęliśmy się w swym przedziale i gramy w „morskiego kozła”. Ja i mój partner, Anton Antonowicz, przegrywamy z mojej winy. Ciągle jeszcze nie opanowałem dostatecznie reguł gry.

– Ach, będziemy jedli kapustę – wzdycha Anton.

Za oknami przesuwa się pejzaż syberyjski, po lewej stronie urwiste wzgórze Amazarskiego Grzbietu, po prawej – rzeka Amazar, dopływ Amuru. Obiecywałem sobie śledzić widoki za oknem wagonu, a teraz z najwyższą uwagą stawiam kostki domina. To nic przyjemnego zjeść na surowo główkę kapusty.

Nasz pociąg jest pośpieszny, zatrzymuje się tylko na większych stacjach. Wówczas wybiegamy z wagonu i łapiemy świeże powietrze. Potem znowu gramy, palimy papierosy, kłócimy się.

– Anton Antonowicz oszukuje! – krzyczy Misza.

– Nieprawda! – oświadczam.

Jemy obiad: befstrogonow i jakąś zupę. Zamawiamy do przedziału kilka butelek piwa. I gramy. Zapamiętałem.

### **Czernyszewsk Zabajkalski**

Gramy. Gramy. Gramy. Wygrywam.

Za oknami pociągu wzgórze stają się coraz wyższe. Wjechaliśmy w góry. Niekiedy pociąg czyni jakieś wielkie zakręty, mijając skały, wówczas widzi się – jak mówi Misza – „własny ogon”.

O zmroku przerywamy zabawę. Anton Antonowicz prawi nam wszystkim surowe kazanie o zgubnych skutkach gry w domino. Starannie wietrzymy przedział łudząc się, że wraz z zapachem piwa i dymu tytoniowego wywietrzeją także opary hazardu.

Gdy po kolacji wracamy z wagonu restauracyjnego, Anton Antonowicz znika podczas długiej i mozolnej drogi przez korytarze wagonów. Nie zjawia się za godzinę, dwie, trzy. Już noc. Układamy się do snu, a Antona Antonowicza jak nie ma, tak nie ma. Wreszcie nasz lotnik, Misza, rusza na zwiad i wraca z wiadomością, że Anton w sąsiednim wagonie gra w preferansa. Pałamy wielkim oburzeniem. Gdy o jedenastej w nocy Anton Antonowicz cichuteńko zakrada się do przedziału, chowamy głowy pod koce.

– Ech, wy, morskie kozły – mruczy Anton rozbierając się do snu. Potem wspina się ku mojemu pościeliu na górze i odkrywając koc zagląda w moją uśmiechniętą twarz.

– Biedny Polaku – wzdycha. – Myślałeś, że pojedziesz ze spokojnymi ludźmi. A oto wpadłeś do jaskini gry. Co teraz będzie?

Siadam na łóżku, a ponieważ obydwaj mamy leżeć na górnych miejscach, rozpoczynamy cichą rozmowę.

### **Szyłka**

Jest ciemna noc i nie mogę zobaczyć rzeki, która daje początek Amurowi. Opowiadam Antonowi o przyczynach swojej podróży. O Czernichowskim, Bełzaku, Dudzie, Szulcu. Anton Antonowicz zdradza wyraźne zainteresowanie dla sprawy morderstwa pana Bełzaka. Mówię więc wszystko, co o tym wiem, sięgam do walizki i pokazuję wszystkie związane z tą sprawą dokumenty – list Boulaina, plan skarbu, wyciętą z gazety fotografię Dudy z woreczkiem złota.

– Tak, to ciekawa historia – przytakuje Anton Antonowicz. – Rozwiązywałem kiedyś podobne zagadki. W czasie wojny pracowałem w kontrwywiadzie – dodaje cicho.

Zasypiam szybko, ukołyszany postukiwaniem kół.

Budzimy się na stacji.

### **Czyta**

Dokoła nas wysokie góry. Pociąg jedzie wolniej niż zazwyczaj, jakby mu ciężaru przybyło. Wspinamy się na Góry Jabłonowe.

Zbudziliśmy się rześcy i głodni. Golimy się, myjemy, pijemy gorącą herbatę. Misza i Iwan ironicznie spoglądają na górne leże, gdzie w leniwym odrętwieniu tkwi Anton Antonowicz.

– Zgadnijcie, kochani, co on tam robi na górze? – pyta Iwan.

Zgadujemy:

– Rozmyśla.

– Przeżywa swoją zdradę.

– A właśnie, że śpię – dobiega głos z góry. – Nie budźcie mnie, aż w Moskwie.

Załamujemy ręce, wzdychamy.

– Biedny on, pięć dni i nocy nic nie będzie jadł? Och, umrze nam z głodu Anton Antonowicz.

Do przedziału wpycha się dwóch grubych pasażerów.

– Anton Antonowicz! – wołają.

Cisza.

– Anton Antonowicz! Mieliśmy rano skończyć partię preferansa.

– Nie będę grał – rozległ się głuchy pomruk.

– Nie będziesz? Musisz!

– Ja człowiek wolny – powiada Anton. I nakrywa się kocem na głowę.

Dwóch grubasów wypychamy siłą z przedziału. Niech nam nie demoralizują poczciwego Antona.

– On stary, stareńki, niech śpi – powiada Iwan.

Zamykamy przedział na klucz, żeby nam go nie porwano, a sami wędrujemy na śniadanie.

Gdy wracamy, drzwi przedziału są już otwarte, a Anton Antonowicz roześmiany, triumfujący, siedzi przy stoliku, je suchą kielbasę i popija mocną herbatą.

– Mnie nie tak łatwo zamknąć – mówi. – Ja człowiek wolny.

### **Jabłonowo**

Powróciliśmy z peronu przebiegnięci do kości. Zaledwie nastąpił odjazd, wsunęliśmy się pod koce, pogrążając się w lekturze. Nasz pociąg przedzierał się wąwozami Gór Jabłonowych, niekiedy wąwóz był tak głęboki i stromy, że w przedziale robiło się mroczno, jakbyśmy jechali tunelem. Czasami przed oknem wagonu otwierała się ogromna dolina, otoczona górami pokrytymi śniegiem. Na zboczach gór rósł las, troszkę wyżej zieleniła się skąpa roślinność i groźne urwiska głazów.

Czytałem trzeci tom Maksimowa pt. *Syberia i ciężkie roboty*. Tom ten nosił podtytuł: „Przestępcy polityczni i państwowi” i zawierał opisy doli zesłańców na Syberii i w Kraju Zabajkalskim. Nie była to przyjemna lektura tym bardziej, że aż roi się w niej od polskich nazwisk. Surowy, groźny widok gór za oknem począł mnie przejmować lękiem – nie powinienem czytać Maksimowa w podróży przez Syberię.

Odłożyłem książkę i próbowałem zasnąć. Zbudził mnie cichy szept Antona Antonowicza.

– Czy to jest pewne, że Duda bardzo lubił młodego Szulca?

Przetarłem senne powieki. Pociąg kołysał, hałasował. Michaił i Iwan spali z otwartymi ustami.

– Tak. To jest chyba pewne – powiedziałem. – Duda namówił Szulca, żeby pozostał w leśniczówce. Opiekował się nim. A kiedy Szulc chciał się ożenić, Duda wysupłał swoje oszczędności. Zapisał mu przed śmiercią kawałek pola pod lasem, a wreszcie wręczył plan

albazińskiego skarbu ze słowami: „Strzeż tego jak oka w głowie. Jeśli znajdziesz się w nędzy, przypatrz się dobrze temu planowi, a zostaniesz bogaty”.

– Tak powiedział?

– Powtarzam dokładnie.

Anton Antonowicz zachichotał, przekomicznie marszcząc skórę na wielkim nosie. Nałożył okulary, usiadł na łóżku i przyjrzał mi się z wielkim zdziwieniem.

– A to dobry numer z tego Dudy! Dał Szulcowi plan albazińskiego skarbu, chociaż sam ten skarb już odnalazł.

I Anton znowu zachichotał. Z namaszczeniem zdjął z nosa okulary, położył je na półeczce i skrył się pod kocem, chichocząc coraz ciszej i ciszej.

Zasnąłem.

### **Mogzon**

Po południu Anton Antonowicz sam zaproponował, żebyśmy zagraли w „morskiego kozła”. Kończąc wygraną partię i z hałasem stawiając ostatni klocek na końcu połamanej linii dominowych kostek, nieoczekiwanie zadał mi pytanie:

– Jak sądzicie, dlaczego Duda umożliwił Szulcowi ucieczkę z aresztu?

– Bo wydawało mu się, że Szulc jest niewinny – odparłem bez namysłu.

Anton poprawił na nosie okulary.

– Och, młody, naiwny człowieku. Duda wiedział, że Szulc nie mógł zabić Bełzaka.

– Dlaczego?

– Najprawdopodobniej dlatego, że sam go zabił. I nie chciał mieć na sumieniu śmierci niewinnego Szulca. Bełzak go oburzał, ale Szulcowi Duda współczuł.

Chciałem wiedzieć, na jakiej podstawie wysnuł tak śmiałą hipotezę. Ale Anton Antonowicz tylko machnął ręką.

– Później wam odpowiem. Teraz trwa gra.

I rozdał nam kostki domina.

### **Pietrowskij Zawód**

#### **A obok malutka stacyjka – Pietrowsk Zabajkalski**

Skończyliśmy grę i Anton znowu zniknął z przedziału. Siedziałem z twarzą przysuniętą do szyby, nie chcąc nic uronić z widoku za oknem. Pietrowsk widział mi się uroczym miejscem – jezioro, góry, las sosnowy. Był już wieczór i krajobraz przybrał różową, pastelową barwę. Tutaj na katorgę zesłano słynnych dekabrystów<sup>50</sup>. Mieszkali w kazamatkach więziennych, pracowali w pietrowskiej fabryce wyrobów żelaznych.

<sup>50</sup> Dekabryści (ros. diekabr – grudzień) – szlacheccy rewolucjoniści rosyjscy z początków XIX w.; dążyli do obalenia samowładztwa carów i zniesienia poddaństwa chłopów. 14 grudnia 1825 r. ogłosili powstanie, odmawiając posłuszeństwa cesarowi Mikołajowi I; przywódcy powstania zostali powieszani w 1826 r.



...Miłość Romea i Julii wzruszyła Szekspira, a poprzez niego wzrusza nas do dzisiaj. Czemu swego Szekspira nie znalazła miłość córki pułkownika, Praskowii Jegorowny, która pojechała dobrowolnie aż do zimnej Czyty za swym narzeczonym, zesłańcem Annenkowem? W trzy dni po przybyciu do Czyty poślubiła narzeczonego, któremu na czas tego obrzędu zdjęto żelazne kajdany. Po skończonej ceremonii ślubnej nałożono mu je znowu i zamknięto w więzieniu, pozwalając, wedle przepisów, widywać się z żoną tylko dwa razy w tygodniu.

Za swym zesłanym mężem pojechała żona Nikity Murawiewa, Aleksandra, z domu hrabianka Czernyszewa. W Rosji zostawiła syna i dwie córki. Co dzień z okna swego pokoju w Czycie widziała, jak prowadzono na ciężkie roboty męża i brata. A miała wówczas zaledwie 24 lata i zwracała ogólną uwagę swą nadzwyczajną urodą i delikatnością. Po roku umarł w Rosji jej syn jedyny, a córki usychały z tęsknoty za matką i ojcem, bowiem wedle ówczesnego prawa dzieci arystokracji nie mogły udawać się z rodzicami na zesłanie. Młodziutka Aleksandra nie zrezygnowała jednak z towarzyszenia mężowi i po czterech latach zmarła na skutek przeziębienia w syberyjskim klimacie.

Dzielić swój los z mężami-dekabrystami zdecydowały się wychowane w zbytku arystokratki – księżna Maria Wołkońska, Katarzyna Trubecka. Zrozumieć ich ciche bohaterstwo może tylko ten, kto wyobrazić sobie potrafi straszliwe warunki pracy w nerczyńskich kopalniach, kto przeglądał akta urzędowe, które musiały podpisać, zanim zezwolono im na przebywanie w pobliżu swych mężów. Wybrały głód i zimno, byle tylko raz na tydzień móc spojrzeć na ukochanych. W Pietrowskim Zawodzie jeszcze do niedawna istniała ulica, która nosiła nazwę „Damskiej”. Przy tej ulicy mieszkały żony zesłańców, „książąt” jak ich nazywano, bo wielu wśród nich, jak na przykład Odojewski, Bariatyński, Szczepin-Rostowski, Trubeckoj, Wołkoński, Szachowski, Oboleński byli rzeczywistymi książętami.

Przez kilka wieków Rosja carska oddawała Syberii wiele z tego, co w niej było piękne i światłe – kwiat inteligencji, wspaniałych poetów, pisarzy, krytyków takich jak: Radiszczew, Odojewski, Bestużew, Dostojewski i wielu innych.

Przez sto pięćdziesiąt lat niewoli Polska miała podcięte swe serdeczne żyły i w przymusowej transfuzji przekazywała Syberii co mądrzejszych, światlejszych i bardziej postępowych ludzi. Spędzili oni na Syberii najpiękniejsze lata swego życia – niektórzy z nich, co nie dali się zadreńczyć przez nostalgię, dokonali tam sławnych odkryć geograficznych i przyrodniczych, stali się nauczycielami dzikich plemion, wnieśli kulturę i oświatę, dokonali rzeczy niezwykłych. Lecz jakże mało wiadomości o tym dotarło do nas.

Sybir, katorga, kajdany i knut – ileż tego w naszych narodowych pieśniach i wierszach. Dla każdego Polaka pojęcie „Sybir” kojarzy się z klęskami narodowymi, niewolą, powstaniem i cierpieniem. Nie potrafimy jednak wyjść poza te ogólniki, nie mamy wiedzy o tym, co robili na zesłaniu nasi rodacy. Bywa i tak, że jakiś człowiek przechodzi do naszej historii i staje się popularny, ponieważ dokonał w kraju szaleńczego czynu, poprowadził

powstańców do ataku z góry skazanego na niepowodzenie, lecz gdy potem – zesłany – dokonuje czynów mniej efektownych, ale za to pożyteczniejszych dla ludzkości, nikt o tym nie pamięta, ten rozdział w życiu bohatera narodowego jest nie zauważony. Gdyby Francuz Denon urodził się Polakiem, zapewne istniałaby w Polsce ogromna literatura dotycząca jego udziału w kampanii napoleońskiej w Egipcie – i tylko gdzieś na szarym końcu historyk wspomniałby półgębkiem, że ów Denon, będąc w Egipcie, rysunkami swymi stworzył podstawę egiptologii.

Wspomnienia i relacje o naszych bohaterach narodowych z okresu niewoli przypominają utwory o jednym rozdziale. Z reguły brakuje drugiego – gdy bohater przebywał na zesłaniu. A przecież niejednokrotnie ten drugi rozdział byłby o wiele bardziej ciekawy i dramatyczny.

### **Ułan-Ude**

Pierwszym polskim zesłańcem, którego nazwisko utrwalono w dokumentach historycznych, jest Nicefor Czernichowski, budowniczy ałbazińskiej warowni i władca kraju prawie tak dużego jak Polska. Drugim – Jerzy Krzyżanowski, poborca jasaku od Tunguzów, okrutnik i zdzierca. Trzecim zaś – Maurycy August Beniowski.

Półwysep Kamczatka był w czasach Beniowskiego bardzo słabo zaludniony i prawie zupełnie pozbawiony sił wojskowych. Jeśli zdecydowano się kierować tu zesłańców, to liczonego się nie z tym, że zdoła ich dopilnować nieliczna grupka Kozaków, ale że odludność miejsca uniemożliwi ucieczkę. Jakże żenująco wydaje się samochwalstwo Beniowskiego, który skromnego kapitana Niłowa, pijaka i pocziwinę, nazywa gubernatorem, zgniły parkan otaczający osadę – fortecą, wąziutki rowek – fosą, a grupkę starych i wiecznie pijanych Kozaków – garnizonom wojskowym. Pocziwy Niłow przyjął Beniowskiego jak syna, opiekował się nim, zapewnił mu znośne warunki, pozwalał, aby tamten zalecał się do jego córki Anastazji, nie dawał wiary ludziom ostrzegającym go przed Beniowskim. W rezultacie Beniowski zламаł życie młodej dziewczynie, a wreszcie zabił jej ojca, choć zabójstwo to było zupełnie zbyteczne.

Beniowski jest w Polsce sławny, a sławny był też we Francji, gdy ukazały się drukiem jego pamiętniki. W zapomnieniu zniknęli ci, którzy nie napisali pamiętników, którzy za granicą nie zyskali sławy. A przecież ile to wspaniałych ucieczek, bardziej dramatycznych niż ta Beniowskiego, oglądała Syberia. Wiele z nich aż prosi się o opracowanie literackie.

### **Selenga**

W niezwykle zdarzenia obfituje historia Polaka Piotrowskiego, który zbiegł z gorzelnicy ekateryneńskiej. W peruce i miejscowym stroju doszedł on po lodzie Irtyszu do Tary, a stąd w przedziwny i arcyciekawy sposób dostał się do Petersburga i jak gdyby nigdy nic spacerował sobie po Newskim Prospekcie. Potem Piotrowski zdecydował się na dalszą ucieczkę i zakończył ją w Paryżu.

Niezwykłe romantyczna, a chwilami makabryczna, była przygoda Polki Albiny Migurskiej. Pojechała ona ze swym narzeczonym wygnańcem aż do Uralska. W Uralsku wyszła za niego za mąż i miała z nim dwoje dzieci, które zmarły. Ogarnięta straszliwą nostalgią, upozorowała śmierć swego męża, a uzyskawszy pozwolenie na powrót do kraju i wywóz kości zmarłych dzieci – w trumnie z prochami ukryła męża i wraz z tym makabrycznym ładunkiem pomknęła saniami ku Polsce.

A dalsze dzieje Piotra Wysockiego? Zesłany do pracy w gorzelni aleksandrowskiej koło Irkucka, obmyślił plan ucieczki przez Góry Sajańskie, Dżungarię i Turkiestan do Indii. Spróbował wykonać swój zamiar wraz z siedmioma towarzyszami. Zbiegowie dotarli już do Angary, ale tutaj, zdradzeni, wpadli pod ostrzał karabinów. Ranny Wysocki został schwytany, a w Irkucku przykuto go do tacek.

Na niektórych stronicach książki Maksimowa wyczuwa się żal autora do Polaków. Maksimów pisze:

*Niewątpliwie Polacy przynieśliby większą korzyść Syberii, gdyby nie zamykali się w swych towarzystwach, gdyby nie stronili od Sybiraków, lecz szukali zbliżenia z nimi, gdyby na obczyźnie nie rozwijała się u nich okropna choroba – tęsknota do stron rodzinnych.*

Ale i tak duży był wkład Polaków w zagospodarowanie Syberii. Znając się na rolnictwie, wprowadzali metody racjonalnej gospodarki, rozwinęli na Syberii pszczelarstwo, ogrodnictwo. Sprowadzili z Polski nasiona, zaaklimatyzowali niektóre, nie znane na Syberii, gatunki owoców i warzyw.

*W małych pięknych ogródkach, nawet u najuboższych wygnańców, Sybiracy widzieli mak, pietruszkę, selery, fasolę, melony, kawony. Zachęceni siłą przykładu i korzystając ze wskazówek ludzi doświadczonych, zaczęli sami uprawiać te produkty na wielką skalę. Polacy tu i ówdzie za Bajkałem w wielu miejscowościach Syberii wprowadzili w użycie pług (...) Najlepsza za Bajkałem pszenica nazywa się „polka” (...) Dotychczas jeszcze Sybiracy pamiętają, że jeden z Polaków, Walecki, za pomocą sztucznego krzyżowania uszlachetniał miejscowe rasy koni (...) Polacy założyli fabrykę serów polskich i szwajcarskich Po wyjeździe Polaków z Syberii znikła dobroć oleju cedrowego, ku wielkiemu żalowi kupców moskiewskich (...) Niewątpliwie jednak trwalszy i skuteczniejszy był wpływ Polaków, którzy się poświęcili uczeniu dzieci. Szerzyli oświatę w najodleglejszych i najbardziej zacofanych kątach, w których, gdyby nie oni, trwałyby jeszcze mroki.*

## **Mysowieja**

Zbliżyliśmy się do jeziora Bajkał, wielkiego jak morze, głębokiego na 1741 metrów, zajmującego obszar ponad 31 000 kilometrów kwadratowych.

Bajkał mijamy nocą. Położyłem się blisko okna i niekiedy dostrzegam nieskończenie długą smugę księżyca, ślizgającą się gdzieś w dole, na falach jeziora.

Współtowarzysze podróży śpią smacznie. Przed chwilą wrócił z preferansa Anton Antonowicz. Po cichuteńku rozebrał się i legł pod kocem. Ja również zasypiam. No, jutro Anton będzie musiał powiedzieć mi, dlaczego oskarżył Dudę o morderstwo. A swoją drogą, były chwile, gdy i mnie coś takiego świtało w głowie.

## **Irkuck**

Krajobraz staje się coraz bardziej równinny. Na ośnieżonych wzgórzach widzę brzozy i świerki opatulone szronem. Od czasu do czasu na horyzoncie pojawiają się wieże szybów kopalnianych, na bocznicach kolejowych stoją pociągi z węglem.

Anton Antonowicz śpi nakryty na głowę. Nie poszedł na śniadanie. Czyżby i obiad miał przespać?

## **Czeremchowe**

W pobliżu stacji wieże szybów kopalnianych, transportery niosą węgiel na wagony. Czeremchowo – zagłębienie węgla kamiennego. Odkrył je nasz rodak, Karol Bohdanowicz, który w kilku swych kolejnych wyprawach geologicznych zbadał kraj za Morzem Kaspijskim, dokonał pierwszych gruntownych zdjęć geologicznych we wschodniej części gór Tiań-Szań, w górach Kunlun i Ałtyn-tag. Czteroosobowa ekspedycja pod kierownictwem Bohdanowicza przez trzy lata badała tereny nad dolnym Amurem, nad Morzem Ochockim, na Kamczatce i przyniosła odkrycia wielu złóż mineralnych, między innymi także i złota. Wspólnie z Rosjaninem Obruczewem Bohdanowicz opracował pierwszą wielką mapę geologiczną Syberii.

Jeśli dzisiaj wielkie obszary Syberii stają się coraz bardziej krajem kwitnącym – to jest w tym niemały udział Polaków, którzy z własnych chęci, jak Bohdanowicz, lub znalazłszy się tu jako zesłańcy, badali ten rozległy kraj i odkryli jego bogactwa. Na przykład zesłani za udział w powstaniu 1863 roku: polski geolog Aleksander Piotr Czekanowski, Jan Czerski, Benedykt Dybowski. Pierwszy opis Kamczatki zawdzięczać należy Józefowi Kopciowi, Polakowi wziętemu do niewoli po bitwie pod Maciejowicami. A Waław Sieroszewski?

Znamy go na ogół jako pisarza. Lecz przecież położył on ogromne zasługi jako naukowiec. Zesłany na Syberię, przebywał długi czas w kraju Jakutów i napisał obszerną pracę *Dwanaście lat w kraju Jakutów*, która przyniosła mu wielką sławę i złoty medal Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Z polecenia tegoż towarzystwa przeprowadził

badania wśród ludności Ajnów, na Sachalinie, w Mandżurii i Japonii. To on dał dokładny i wnikliwy obraz Korei.

### **Zima**

Bardzo ładnie nazywa się ta mała stacyjka zagubiona wśród lasów syberyjskich. Oglądałem ją w śnieżnej szacie i dlatego imię jej zupełnie mnie nie zaskoczyło.

W Zimie Anton Antonowicz zdecydował się ogolić i pójść z nami na obiad. Potem zaczęliśmy znowu grę w „morskiego kozła”. Tym razem ja i mój partner – Iwan Stiepanowicz – przegrywamy.

### **Niznieudyńsk**

Gramy.

### **Tajszet**

Kończymy partię o zmroku, włączamy głośnik radiowy i rozłożywszy się na posłaniach słuchamy rzewnych, sentymentalnych rosyjskich piosenek o samotnym harmoniście, o podmoskiewskich wieczorach, o zielonym światełku taksówki.

Anton Antonowicz na jutrzejszy dzień odkłada złożenie mi wyjaśnień w związku z oskarżeniem Dudy. Prosi, żebym mu jeszcze raz pokazał papiery, które otrzymałem od młodego Szulca.

– Jaka szkoda, że nie ma lupy – wzdycha Anton.

– Nie ma?

Sięgam do walizki. Anton zapala małą lampkę tuż przy poduszce i leżąc ogląda przez lupę każdy centymetr wręczonych mu papierzyk.

A ja studiuje atlas geograficzny. Przez kartki atlasu przebiega czerwona nitka – szlak transsyberyjskiej kolei żelaznej. Już trzy takie kartki przewróciłem od początku podróży, a do Moskwy jeszcze sporo kartek. Co kilka godzin Misza pyta mnie: „No, ile nam pozostało?” Podróż mierzymy nie na doby, lecz na kartki w atlasie.

Na kolację znowu nam podano befstrogonow. Jemy go trzy razy dziennie. Klنیemy kucharza. Czy on aż do Moskwy zamierza nas karmić befstrogonowem?

– Do ust już go nie wezmę – zarzeka się Anton Antonowicz.

W drodze do przedziału przyczepia się do nas na korytarzu dziwny osobnik. Wysoki jak chmielowa tyka, w swetrze, w futrzanej czapie na głowie, choć w wagonie upał. Nie ogolony, trzyma w ręku małą klatkę z łasicą. Wsiadł do pociągu w Irkucku, wysiadł w Krasnojarsku, a tymczasem chce z nami zagrać w „morskiego kozła”.

– Dobrze! Zagramy – godzi się łaskawie Misza, bo Anton zrezygnował z gry. Położył się na posłaniu i znowu ogląda papiery Szulca.

## **Iljanskaja**

Gramy. Łasica w klatce zasnęła. Anton patrzy w lupę. Ja i dziwny osobnik wygrywamy. Już mam zadać decydującą klęskę naszym przeciwnikom, gdy z górnego posłania dobiega mnie pytanie Antona:

– Bracie Polaku, dlaczego twierdzicie, że ten papierek jest planem albańskiego skarbu?

Zastanawiam się nad pytaniem, a moi partnerzy krzyczą na mnie: „Prędeż, bez namysłu!” Kładę więc szybko kostkę. Złą. Przeegraliśmy.

Dziwny osobnik aż czerwienieje ze złości i gniew wyładowuje na łasicę. Wsadza palec między pręty klatki i próbuje ją rozbudzić. Łasica chwyta go zębami za palec. Ukąsiła. Osobnik wrzasnął przeraźliwie. Potem długo ssie zakrwawiony palec.

Dobrze mu tak.

Kończymy grę o dwunastej w nocy. Pragnę porozmawiać z Antonem, lecz on już śpi. Nie pozostaje mi nic innego, jak również zasnąć.

Dudnią koła pociągu – po raz pierwszy odczuwam zmęczenie długą jazdą. A to przecież jeszcze nawet nie połowa drogi.

## **Krasnojarsk**

Za oknami rozciągają się lasy pokryte śniegiem.

Mówię do Antona Antonowicza:

– O ile dobrze pamiętam relację Szulca, Duda nigdy nie powiedział mi wyraźnie, że kartka z narysowanym planem dotyczy albańskiego skarbu. Ale to rozumiało się samo przez się. Mówiło się ciągle o złocie zakopanym w Albazynie, o planie albańskiego skarbu, który Bełzak narysował, gdy zjawił się u niego Karol Szulc. Plan, jaki mamy, jest więc chyba tym zrobionym przez Bełzaka. Opowiadał Duda, że przy zwłokach zabitego Bełzaka znalazł plan albańskiego skarbu...

Anton zaśmiał się złośliwie:

– Nie nadajecie się do roli detektywa. Kojarzycie fakty w sposób najbardziej prymitywny. Jeśli Duda znalazł plan przy zwłokach Bełzaka, to plan, który wręcza Szulcowi, jest tym samym planem. A jeśli tak nie jest?

Wzruszyłem ramionami. Anton powiedział:

– Przy zwłokach Bełzaka znalazł Duda plan albańskiego skarbu. Ten fakt jest prawdopodobny, nie zamierzam go kwestionować.

Co później dzieje się z Dudą? Zostaje wzięty do wojska i zapewne przez cały czas służby ma plan przy sobie w portfelu, jako rzecz niezwykle cenną. W czasie rewolucyjnej zawieruchy udaje się Dudzie przemknąć nad Amur, a potem dostaje się on do Albazina i dzięki planowi odnajduje worek ze złotym piaskiem. Gdybyście byli Dudą, co zrobilibyście z planem w chwili, gdy odnaleźlibyście skarb?

– Zachowałbym go sobie na pamiątkę.

– Ale Duda nie był redaktorem uwielbiającym pamiętki historyczne. Duda był człowiekiem rzeczowym i logicznym. Skoro odnalazł skarb, najpewniej wyrzucił kartkę, jako już do niczego nieprzydatną. Kartka ze szkicem Bełzaka popłynęła sobie spokojnie z falami Amura

– To są tylko hipotezy.

– Tak sądzicie? Nie zadaliście sobie trudu dokładnego obejrzenia planu, który Duda wręczył młodemu Szulcowi. Nie chcę was bowiem posądzać o brak wyobraźni. Czy tak wyglądać może kartka z planem zrobionym przed pięćdziesięciu laty? Nosiło się ją w żołnierskim portfelu i zapewne oglądało setki razy trzymając nie najczystszymi rękami. Przypatrzcie się. Ona jest zupełnie czysta, nie pożółkła, wygląda jakby plan wyrysowano dopiero wczoraj albo przed dwoma, trzema laty.

– Rzeczywiście.

– Podstawiliście siebie na miejsce Dudy i oczywiście wasze rachuby i rozumowania okazały się fałszywe. Nie wolno było sobie wyobrazić, że Duda jest wami, ale że to wy jesteście Dudą. Rozumiecie?

– Nie bardzo

– Przypisaliście Dudzie swój tok myślenia i swój charakter. A należało sobie przypisać charakter i usposobienie Dudy. On z całą pewnością wyrzucił plan Bełzaka, skoro odnalazł skarb.

– Zgoda. Ale z tego jeszcze nie wynika

– Wynika. Właśnie, że wynika. Twierdzicie, że Duda lubił młodego Szulca, że traktował go jak swego syna. Nie mógł mu więc wręczyć planu skarbu, o którym wiedział, że nie istnieje. Zresztą na tym planie nie ma słowa „Ałbazin”. Jest na nim tylko jedno słowo: „złoto” i strzałka prowadząca do miejsca zaznaczonego krzyżykiem. Słowo „złoto” napisano po polsku. Czy po polsku napisałby Bełzak przeznaczając plan dla Karola Szulca? Wszak po rosyjsku porozumiewali się chyba w Żółtugińskiej Republice, po rosyjsku pisał Boulain do Bełzaka. Nie, młody człowieku. Bełzak napisałby po rosyjsku „zołoto”, a nie „złoto”. Plan, który trzymam w ręku, nie jest dziełem Bełzaka. I to nie jest plan albazińskiego skarbu.

– A jakiego skarbu? Gdzież jest ten skarb?

– No, tego to ja nie wiem, młody człowieku – powiedział Anton Antonowicz i uśmiechnął się wyrozumiale. – Gdybym posiadał próbkę pisma Bełzaka albo Dudy, może coś niecoś by się wyjaśniło.

– Jest próbka pisma Dudy. Posiadam jego podanie o przydział papy na reperację dachu.

Zasiedliśmy nad podaniem Dudy.

### **Aczińsk**

Nie ulega wątpliwości, że plan, który otrzymał od Dudy młody Szulc, został narysowany przez samego Dudę.

To samo „z” jest w słowie „złoto” na planie i w słowach „uprzejmie proszę” w podaniu Dudy o przydział papy. To samo „ł”, to samo „t”, taki sam ogonek przy literze „o”. Anton Antonowicz nie jest grafologiem, ja także nie zajmowałem się porównywaniem charakterów pisma. Ale podobieństwo jest tak wyraźne, że nie mamy żadnych wątpliwości.

### **Marińsk**

Znów ten nieszczęsny befstrogonow w restauracyjnym wagonie. Zakrapiamy go wódką. Później gramy w „morskiego kozła”.

### **Tajga**

Lasy i lasy pod śniegiem białym i puszystym. A to przecież dopiero listopad!

Przy stacji Tajga na bazarze kupiłem główkę kapusty. O mało nie spóźniłem się na pociąg. Iwan Stiepanowicz i Michaił Siergiejewicz zeszli na schodki wagonu i dopingowali mnie w biegu za odjeżdżającym pociągiem. Anton Antonowicz chciał już chwycić za hamulec. Na szczęście okazałem się dobrym biegaczem.

### **Bołotnaja**

Wieczór. Gramy w „morskiego kozła”. Moim partnerem jest Michaił. Przegrywamy sromotnie. Coś mi się zdaje, że to ja zjem kupioną przez siebie główkę kapusty.

– Ile kartek w atlasie pozostało nam do Moskwy? – pyta Iwan Stiepanowicz.

– Pięć – odpowiadam.

### **Nowosybirsk**

Leżę na swym górnym posłaniu i dyskutuję z Antonem Antonowiczem o zamordowaniu Bełzaka. Nagle w naszym wagonie słyszymy krzyk. Małżeństwo z sąsiedniego przedziału nie zdążyło wsiąść na stacji w Nowosybirsku. W przedziale pozostało ich roczne niemowlę i trzy walizy. Co teraz będzie?

Zjawia się gruby kierownik pociągu i jakaś babcia, która podejmuje się zaopiekować niemowlęciem.

Kierownik pociągu postanawia dokonać spisu rzeczy pozostawionych przez roztargnione małżeństwo. Wzywa na świadków Michaiła i Iwana. Spis trwa równo pięć godzin, bo kierownik jest wielkim skrupulantem.

„Pozostawiono w przedziale – pisze – dziecko roczne płci...”

– Jakiej płci jest dziecko?

– Chłopiec. Chłopiec – dobrotliwie podpowiada babcia.

„...płci męskiej, cztery pary jedwabnych majtek, mydelniczkę bez wieczka...”

– Jest i wieczko – wtrąca ktoś.

„...z wieczkiem i mydłem toaletowym. Dwa krawaty, pięć koszul męskich...”



## **Barabińsk**

Do naszego wagonu wchodzi sanitariuszka ubrana w biały, czyściutki kitel. Roztargnione małżeństwo dało znać telegraficznie, że do Barabińska przybędą miejscowym pociągiem. Poprosili, aby tutaj pozostawiono im dziecko i walizki. Babcia jednak nie chce oddać sanitariuszce niemowlaka, choć ją wszyscy cierpliwie przekonujemy. „Mój Boże, tak się już do tego dziecka przywiązałam” – popłakuje babcia. Dziecko jednak oddała. Oddychamy z ulgą.

Jedziemy teraz przez barabińskie stopy – wielką równinę z rzadka upstrzoną mokradłami. To tutaj przyjeżdża młodzież radziecka, aby barabińskie stopy zmienić w żyzne pola.

## **Tatarskaja**

– Powtórzcie mi jeszcze raz, proszę, jak Duda wyraził się do młodego Szulca, dając mu plan ukrytego skarbu – rzekł Anton Antonowicz.

– „Strzeż tego jak oka w głowie. Jeśli znajdziesz się w nędzy, przypatrz się dobrze planowi, a zostaniesz bogaty”. Powiedział mu tak, jak się mawia w bajkach. A może stary Duda nie był już wówczas w pełni władz umysłowych? Przecież stało się to na krótko przed jego śmiercią?

Anton Antonowicz nie odpowiada. Gładzi się dłonią po łysej czaszce. Aby go obudzić z zamyślenia, trącam swą szklanką jego szklankę z piwem.

– Dlaczego powiedzieliście, że Duda jest mordercą? – pytam natarczywie.

– Bo tylko on jeden wiedział, że pan Bełzak będzie czekał w leśniczówce. Tylko Dudę mógł Bełzak dopuścić do siebie i pozwolić zabić się z własnej strzelby. Sami przecież twierdzicie, że z Karolem Szulcem pan Bełzak rozmawiałby na odległość, że przenigdy nie dozwoliłby mu znaleźć się wewnątrz leśniczówki. Wiedział bowiem, że tamten gotów jest do zabójstwa.

– Ale brak motywu!

Anton Antonowicz wzrusza ramionami.

– Historię zabójstwa pana Bełzaka znamy jedynie z relacji samego zabójcy. Nie zamierzam kwestionować prawdziwości faktów, które zawiera opowiadanie mordercy. Duda opowiadał Szulcowi w kilkadziesiąt lat po zabójstwie, gdy sprawa ta została dawno zapomniana, a on, Duda, był już stary i poza wszelkimi podejrzeniami. W takiej sytuacji, przypuszczam, Duda zdobył się na szczerść. Zataił tylko, że sam był zabójcą Bełzaka i chyba wszystko, co mogłoby skierować na niego podejrzenie o morderstwo. Zupełnie nie wiemy na przykład, jak układały się stosunki między panem Bełzakiem i jego młodym lokajczykiem, Dudą. Podobno Bełzak był dziwakiem, może przykrym, nieznośnym, okrutnym i bezwzględny? Na okrutny rys jego charakteru zdaje się wskazywać fakt pozostawienia rannego Szulca na pastwę sępów, a potem decyzja opłacenia morderstwa. Kto

wie, ile razy młody lokajczyk dostał po głębie od Bełzaka? Ile razy tamten spuszczał mu lanie za drobne uchybienia w służbie? Może kary te były niesprawiedliwe i wzbudziły w Dudzie nienawiść do swego pana? Wkrótce przybywa Karol Szulc, ofiara okrucieństwa Bełzaka. Duda uderza Szulca kolbą i wyrzuca za drzwi, bo tak uczynić kazał mu jego pan. Ale Duda całym sercem jest po stronie skrzywdzonego człowieka, solidaryzuje się z nim, sam doznał bowiem również wielu krzywd od Bełzaka. Bełzak każe Dudzie zabić Szulca, a potem postanawia czekać na Szulca w leśniczówce. I tak rodzi się w Dudzie myśl zabicia Bełzaka. Być może idąc nocą do leśniczówki Duda jeszcze nie myślał o zgładzeniu swego pana. Ale Bełzak usłyszawszy od Dudy, że ten nie chciał zabić Szulca, rozgniewał się, może znów uderzył lokajczyka za to, że nie sprowadził Szulca, i wówczas Duda chwycił strzelbę i strzelił. Po zabójstwie zabrał Bełzakowi pieniądze i plan ałbazińskiego skarbu.

– Duda zabił Bełzaka, zabrał pieniądze i plan – ciągnie dalej Anton Antonowicz – i wrócił do pałacu. Potem udał zaniepokojenie z powodu nieobecności swego pana, dopomógł w odnalezieniu zwłok. Szulca aresztowano, ale pieniędzy przy nim nie znaleziono. Nie znaleziono, bo pieniądze te miał Duda. Szulc siedzi w areszcie i wszystkie poszlaki wskazują na niego. Usiłował przecież poprzedniego dnia udusić Bełzaka, potem w karczmie odgrażał się, że go zabije, ścieżka, po której szedł Bełzak do leśniczówki, prowadziła obok stogu, gdzie nocował Szulc.

Nalałem piwa do szklanki Antona Antonowicza. Opróżnił ją jednym dużym haustem. Mówi dalej:

– Spróbujemy teraz zastanowić się nad charakterem Dudy. Niewiele o nim wiemy, to prawda. Ale to co znamy, świadczy na jego korzyść. Wiemy, że współczuł Szulcowi i, jak sam opowiadał, nie zdecydował się go zabić. Wiemy, że w kilkadziesiąt lat później napotkawszy przypadkiem młodego Szulca zaopiekował się nim, dał mu swe oszczędności, darował dom i kawałek ziemi. Duda przyznał się, że uwolnił Szulca z aresztu i dopomógł w ucieczce spod szubienicy. To zdarzenie jest bardzo dziwne. Czy wiecie, co groziło Dudzie, gdyby się wydało, że to on umożliwił ucieczkę człowiekowi podejrzanemu o morderstwo? Skazano by go na kilkanaście lat katorgi. A jednak Duda zdobył się na okazanie pomocy. Uczyniłby to, gdyby miał choć cień podejrzenia, że Szulc jest rzeczywistym zabójcą? Przypuszczam, że nie. Duda dopiero później zdał sobie sprawę, że uchyliwszy się od zamordowania Szulca, a zabiwszy Bełzaka, nie tylko nie uchronił nieszczęsnego Szulca od śmierci, ale przeciwnie, nie zabijając go – skazał go na śmierć. To łamigłówka, prawda? Ale tak przecież jest. Nie zabijając Szulca, lecz Bełzaka, Duda popełnił naraz aż dwa morderstwa. Zabił Bełzaka i skazał na śmierć Szulca. A teraz spróbujmy wnikać w psychikę Dudy. Dokonawszy mordu na swym panu, Duda łatwo uporał się ze swym sumieniem, zgładził bowiem ze świata okrutnika, człowieka, który dwukrotnie chciał spowodować śmierć Szulca. Lecz czy Duda potrafi na swym sumieniu unieść stokroć większy ciężar: śmierć niewinnego

człowieka, przez całe życie nieszczęśliwego, oszukanego, a wreszcie powieszzonego za nie popełnioną zbrodnię?

– Dlatego Duda zapragnął, aby Szulc żył. Wszak już raz uchronił go od śmierci! Prosta konsekwencją jest uwolnienie Szulca z aresztu. Szulc ucieka, ratuje życie, ale pozostaje banitą. Duda wciąż czuje się winnym wobec niego. I dlatego tak opiekuje się jego synem. Powtarzam z całym naciskiem: to Duda zabił Bełzaka, bo jak prawie każdy morderca wrócił na miejsce popełnionej zbrodni. Mało tego. On kupił dom, w którym popełnił mord, ba, zamieszkał w nim. A za czyje pieniądze nabył leśniczówkę i kawałek pola, które później darowuje młodemu Szulcowi? Za pieniądze Bełzaka. Za pieniądze odebrane mu po morderstwie Stary Duda umiera w poczuciu, że został oczyszczony z winy wobec Szulca. Bowiem syn Szulca jest posiadaczem domu, gdzie dokonano mordu, który cieniem padł na życie ojca. To patetyczne, prawda? Ale ileż patosu jest w geście starego Dudy. „Jeśli znajdziesz się w nędzy, zajrzyj do tego planu, a zostaniesz bogaty”

### **Omsk**

Nasz wagon restauracyjny został zaopatrzony w świeże mięso. Na obiad jemy sznycel cielęcy z groszkiem. Wmuszam w Antona szklanek gruzińskiego wina. Jestem zachwycony przekonywającym i niezwykle precyzyjnym wywodem oskarżenia Dudy.

– Byliście wspaniałym prokuratorem – mówię. A Anton Antonowicz z zadowoleniem mruży oczy jak kot, którego pogłaskano.

Wracamy do przedziału i sięgamy po domino.

– A wy znowu? – załamuje ręce przewodniczka wagonu.

– Nie możemy zmarnować główki kapusty – tłumaczymy się. – Ktoś z nas musi ją zjeść. Gramy.

### **Tiumeń**

Stoję z Antonem Antonowiczem w korytarzu wagonu. Palimy papierosy, patrzymy w ciemność nocną.

– Powtórzcie mi jeszcze raz, co powiedział Duda, dając młodemu Szulcowi kartkę z planem – prosi mnie Anton.

– Mój Boże, mówiłem wam to już cztery razy. „Strzeż tego jak oka, w głowie. Jeśli znajdziesz się w nędzy, przypatrz się dobrze temu planowi, a zostaniesz bogaty”.

– Taaak – mruży w zamyśleniu i zaciąga się papierosem.

Nagle ożywia się. Mówi zdecydowanie:

– A więc skarb jest gdzieś blisko leśniczówki. Może jest ukryty nawet w samej leśniczówce?

– Macie chyba rację! – wykrzykuje pojmując myśl Antona. – Wystarczy przypatrzeć się, żeby odgadnąć miejsce ukrycia złota. Czyli że złoto musi leżeć gdzieś w pobliżu, ręką po nie można sięgnąć. Co robić, Anton Antonowicz? – wołam błagalnie.

Anton z dezaprobatą kręci głową.

– Ale z was chciwy człowiek, no, no, no.

Nie zważając na potępienie, biegnę do przedziału i przynoszę kopertę z papierami Szulca. Wyjmuję z niej najpierw plan albazińskiej warowni, a potem kartkę z planem.

– Na planie Albazina widać kwadrat twierdzy, a z lewej strony dwiema pionowymi kreskami zaznaczona jest rzeka. Prawie identyczny szkic widnieje na kartce z planem skarbu. Też kwadrat, i także dwie pionowe linie z lewej strony. To mnie zmyliło. Tylko że na planie albazińskiej warowni nie ma malutkiej cerkiewki w lewym rogu, obrysowanym linią.

– To niekoniecznie cerkiewka – zauważa Anton. – To nawet na pewno nie cerkiewka. Jest to raczej jakaś katolicka kapliczka. I krzyż na niej nie prawosławny.

– Dwie pionowe linie na planie albazińskiej warowni oznaczają rzekę Amur. Zaś na kartce z planem skarbu mogą oznaczać drogę czy coś w tym rodzaju, prawda?

– Tak.

– I co dalej?

– Spróbujcie zastosować się do rady starego Dudy. Przypatrzcie się dokładnie planowi Byliście w Kamionkach?

– Anton, jesteście geniuszem – wołam. Ale po chwili dodaję z rezygnacją: – Szulc pewnie po stokroć przyglądał się planowi. I nic nie odkrył. Do licha, żebym wiedział, po co w rogu planu widnieje rysunek kapliczki. Na domiar złego, oddzielony liniami.

Anton odbiera mi kartkę.

– Zwróćcie uwagę, że cały szkic zrobiony jest w rzucie poziomym – mówi. – A tylko kapliczka przedstawiona w rzucie pionowym. I do tego oddzielona kreskami od pozostałej części szkicu. Dlaczego?

– Ach – stukam się palcem w czoło. – Szkic przedstawia kapliczkę w rzucie poziomym. A dla łatwiejszego rozpoznania w rogu kartki Duda narysował jeszcze tę samą kapliczkę w rzucie pionowym. Czyż nie tak?

– Prawdopodobnie

– I co dalej, Anton Antonowicz?

– Co dalej? – śmieje się. – Teraz zamknijcie oczy i spróbujcie w pamięci przespacerować się po Kamionkach. Byliście tam?

– Byłem.

– Dostrzeżliście jakąś kapliczkę?

– Nie... było zimno... A poza tym towarzyszyła mi kobieta.

– No tak. Na przyszłość proszę strzec się kobiet. One odwracają naszą uwagę od spraw zasadniczych – rzekł Anton.

## **Kamyszów**

Leżę na pośłaniu, malutka lampka u wezgłowia łóżka rzuca nagle światełko na kartkę z planem. Od czasu do czasu przemykam oczy, starając się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły mojego pobytu w leśniczówce. Pociąg kołysze łagodnie, zasypiam, budzę się i znowu zasypiam. Wreszcie złażę z pośłania, idę do przewodniczki wagonu i proszę o szklankę mocnej herbaty. Przewodniczka uśmiecha się wyrozumiale, dmucha w samowar i nalewa mi herbaty.

## **Swierdłowski**

Dojechaliśmy do Uralu. Za oknem ciemna, bezksiężycowa noc. Na próżno wypatruję w mroku. Pociąg pędzi w ciemnościach.

...Podczas pobytu w Kamionkach byłem tylko na małym spacerze. Zaprowadził mnie Szulc do miejsca, gdzie ongiś stał dwór Bełzaka. Potem poszliśmy na cmentarz...

Czy widziałem po drodze kapliczkę?... Nie przypominam sobie.

Jak wygląda kapliczka na planie zrobionym przez Dudę?

Kwadratowy domeczek, trójkątnie zakończony i uwieńczony krzyżykiem...

...Szulc wprowadził mnie na cmentarzyk.

„Zobaczy pan grobowiec Bełzaka” – powiedział.

...Idziemy dróżką obok malutkich zapadniętych w ziemi mogił. Brzęczą blaszane wieńce. Potem drzewa i gęste krzaki, zarosła wysoką trawą szeroka cmentarna alejka. I grobowiec Bełzaka – kwadratowe pudło, zakończone trójkątnie i uwieńczone krzyżykiem.

Tak! Tak!

Odstawiam szklankę z nie dopitą herbatą. Wbiegam do przedziału. Wspinam się na górne pośłanie i szarpnię ramię Antona.

– Anton Antonowicz! Anton Antonowicz! Wiem już, gdzie stary Duda ukrył złoto.

Anton nie śpiesząc się zakłada na nos okulary, złazi z pośłania. Wychodzimy na korytarz, nie chcąc przeszkadzać śpiącym towarzyszom podróży.

Opisuję wygląd grobowca. Nie mam wątpliwości, że narysowany na planie domeczek, który uważaliśmy za kapliczkę, jest właśnie grobowcem Bełzaka.

– Tak. Macie chyba rację – kiwa głową Anton i dodaje: Po zabiciu Bełzaka, jak wiadomo, Duda powrócił do pałacu. On, jako lokaj Bełzaka, zapewne dobrze znał skrytkę lub sejf, w którym Bełzak trzymał swoje pieniądze, a może nawet resztki złotego kruszcu zabranego z Żelutugińskiej Republiki. Ten skarb zabrał Duda, aby w przyszłości mieć na utrzymanie rodziny, a nawet kupić sobie jakieś gospodarstwo. Tylko, że po śmierci Bełzaka aresztowano Szulca. Duda wiedział, że Szulc jest niewinny, dlatego dopomógł mu w ucieczce z aresztu. Potem, jak wiemy, kupił starą leśniczówkę i spory kawał lasu, który wykarczował i zamienił w pole uprawne. Wspomnieliście, że Duda postanowił zbudować grobowiec Bełzakowi, a

potem kazał w nim położyć swoją trumnę obok trumny Bełzaka. Wspomnieliście też, że Duda osobiście nadzorował budowę grobowca. Już to wydaje się ciekawe. Lokajczyk, nienawidzący swego pana, buduje mu grobowiec i każe się w nim także pochować. Skąd Duda miał pieniądze na budowę grobowca? Dlaczego kazał się pochować obok Bełzaka? Bo morderca chciał leżeć obok zamordowanego. Tak czasem bywa, ludzka psychika to sprawa zawiła. Nie wiemy, ile pieniędzy zabrał Duda z pałacu Bełzaka. Prawdopodobnie było tego dużo, ale Duda bał się, że ludzie mogą zwrócić uwagę na jego nagłe wzbogacenie się. Dlatego wydał tylko część pieniędzy Bełzaka na zakup leśniczówki i kawałka lasu, a potem na budowę grobowca. Resztę gdzieś ukrył. A gdzie? Najpewniej w grobowcu, który sam murował. Przed śmiercią powierzył młodemu Szulcowi plan z miejscem, gdzie ukrył resztę zrabowanych pieniędzy i zapowiedział, że jeśli młody człowiek znajdzie się w kłopotach, niech kieruje się planem, który mu pozostawia. Ale to nie był plan Ałbazina, tylko cmentarza z grobowcem Bełzaka i Dudy. Po powrocie do Polski, do owych Kamionek, zainteresujcie się tym grobowcem i być może wtedy odnajdziecie złoto. Myślę, że to będą złote ruble, bo wtedy niektórzy umieszczali w nich swój kapitał.

– Skąd wiecie, że będą złote?

– No, bo napisano na planie: „złoto”. Poza tym wiemy, że już po rewolucji Duda zakupił leśniczówkę i las. A po drugiej wojnie światowej wyposażył młodego Szulca. Papierowe ruble straciły wartość. A złotymi do dzisiaj się handluje.

– Anton Antonowicz, jesteście geniuszem, Sherlock Holmes może się schować przy waszej przenikliwości. Nie będąc nigdy w Polsce, w Kamionkach, jedynie na podstawie mojego opowiadania i kilku świstków rozwiązaliście kryminalną zagadkę sprzed kilkudziesięciu lat. Mało tego! Wskazaliście miejsce ukrycia skarbu. I to wszystko podczas podróży pociągiem przez Syberię. Anton Antonowicz, jestem pełen podziwu dla waszego talentu. Czy pozwolicie, żebym o was napisał w swej książce?

Anton poprawił okulary, jakby miał pozować do fotografii.

– Ależ oczywiście, zgadzam się, młody człowieku.

Następnego dnia ujrzałem z okna wagonu Ural w całej jego okazałości. Zachwyciło mnie piękno gór uralskich, porośłych wysmukłymi świerkami i modrzewiem.

### **Kungur**

Na stacji w Kungurze tłum pasażerów obiegnął trzy stoiska z kungurskimi wyrobami z przepięknych kamieni uralskich. Kupiłem malutką złotą rybkę zrobioną z przedziwnego kamienia, który przy wieczornym świetle opalizował tajemniczo srebrem i złotem.

Wręczyłem rybkę Antonowi.

– To na pamiątkę, drogi Antonie. Na pamiątkę naszej podróży – powiedziałem.

Lecz genialny umysł Antona nie przewidział jednego: pod Moskwą ja i on musieliśmy zjeść po listku surowej kapusty. Choć rozwiązaliśmy bowiem zagadkę starego Dudy, to jednak zostaliśmy „morskimi kozłami”.

## ZAKOŃCZENIE

W Moskwie było jesienne, deszczowo. Zamieszkałem znowu w Hotelu „Ukraina”, ale tym razem bardzo wysoko, na dwudziestym ósmym piętrze. Wypoczywałem po podróży, spałem do południa, potem jadłem obiad, czytałem, a przed wieczorem odwiedzał mnie Siergiej i zazwyczaj szliśmy razem do teatru. Nie śpieszyłem się z powrotem do kraju, miałem jeszcze trochę pieniędzy, a władze zezwoliły mi na pobyt w Moskwie do końca listopada. Lękałem się pytań, które oczekiwały mnie w redakcji: „Dotarłeś do Ałbazina? Jaki on jest? Co widziałeś?” Zapewne oczekiwali jakichś rewelacyjnych historii, a ja byłem w stanie ofiarować im tylko króciutką opowieść o jednej prawdziwej przygodzie przymusowym lądowaniu wśród Chorskich Gór. Zresztą, z powodu nieprawdopodobnego Yeti przygoda ta nie nadawała się do opowiadania. Bo któż by w nią uwierzył? Wkrótce wiedziałem już na pewno, że nie wolno mi mówić o przeżyciach w Chorskich Górach.

Pewnego dnia Siergiej przyprowadził do mnie swego przyjaciela, dziennikarza. Spędziliśmy we trójkę miły wieczór wypijając butelkę wina. Pod koniec wieczoru przyjaciel Siergieja opowiedział nam zabawną przygodę, jaka w ubiegłym roku zdarzyła mu się w Chabarowsku, dokąd pojechał po materiał do reportaży.

– Z Chabarowska postanowiłem polecieć do Komsomolska – opowiadał. – Dano mi malutki samolocik i pilota, bardzo miłego, wesołego chłopca. Polecieliśmy. Nagle maszyna zepsuła się w powietrzu i zaczęliśmy raptownie spadać w dół. A trzeba wam wiedzieć, że pod nogami było pasmo górskie

– Czy nie Chorskie Góry? – zapytałem, bo poczynało się we mnie wykluwać podejrzenie.

– Tak, Chorskie Góry. Dobrze się zapoznaliście z geografią. Otóż z nieprawdopodobną szybkością spadamy wprost na ostre szczyty skalne. Najadłem się potwornego strachu! Na szczęście, w ostatniej chwili pilot dostrzegł duży taras między górami i usiedliśmy bez najmniejszego szwanku.

– Tak – westchnąłem.

– I wyobraźcie sobie, jak się później dowiedziałem, ten łajdak pilot nabrał mnie. Okazało się, że taras między górami znał doskonale, lądował tam już wiele razy, dowożąc materiały i żywność dla geologów, którzy w pobliżu mieli swoje obozowisko. Nabrał mnie. Chciał mi napędzić strachu. Co za łajdak. Jak to on się nazywał?...



- Stiepan – odpowiedziałem.
- A tak. Właśnie Stiepan mu było na imię. A wy skąd wiecie?
- Miałem przyjemność go poznać.
- Gdzie?
- W Chorskich Górach.

I ściany hotelowego pokoiku aż zadrżały od gromkiego śmiechu.

Pod koniec listopada nastąpiły nagle dni wyjątkowo ciepłe, jakby wrześniowe. Włożyłem do kieszeni kamizelki malutki pieniążek kupiony w Chorskich Górach – talizman zapewniający powodzenie w miłości – i powędrowałem na Psi Placyk. Stała tam jeszcze ławeczka, gołębie siadały na asfaltowej jezdni. Nie zastałem jednak poczciwego staruszka, długo czekałem na młodą dziewczynę z marzącymi oczami i długim grubym warkoczem.

Tak jak przed miesiącem, miałem przy sobie tomik Błoka, myślałem o Pięknej Damie, powtarzałem sobie cicho:

*Z ludźmi w żadną nie wejdę rozmowę,  
Złękę się obmowy i pochwały;  
I jedynie przed Tobą odpowiem  
Za to, że przez żywot milczał cały.*

Kim była dziewczyna, na którą czekałem? Wspominałem jej spokojne, opanowane ruchy, uduchowioną twarz, marzące oczy i piękne ręce. Myślałem: „Może jest poetką?”

Gdy dojrzałem ją idącą wolniutko na Psi Placyk, o mało nie pośpieszyłem naprzeciw z radosnym powitaniem. Zauważyła mnie, skinęła uprzejmie głową.

- Byłem na Dalekim Wschodzie – rzekłem.

Uśmiechnęła się ciepło. A więc magia pieniążka poczęła działać?

- Odnalazł pan złote posągi?

– Nie. W Kraju Ussuryjskim, w Chorskich Górach, otrzymałem tę oto starą monetę. Podobno przynosi szczęście w miłości.

Podąłem jej pieniążek, obejrzała go bez zainteresowania. Przeczytałem tytuł książki, która leżała na jej kolanach: „Chirurgia złamań”.

- Pani studiuje medycynę? – zapytałem.

- Jestem chirurgiem.

Ta piękna, uduchowiona twarz pochyła się nad rozkrojonym brzuchem? Te marzycielskie oczy wypatrują schorzeń, ropnych guzów? Te piękne ręce kroją i zszywają? Ogarnęło mnie wielkie rozczarowanie. Nie mógłbym obejmować dziewczyny, która wie, jak wygląda wewnątrz mojego brzucha, moich płuc. Zawsze odczuwałem strach przed lekarzami, przed szpitalem, mdlałem czując zapach eteru.

Dziewczyna stawała się coraz bardziej rozmowna. Pytała mnie o podróż, o widoki Amuru, o wrażenia z lotu TU-104. Odpowiadałem krótko, pociągając nosem, bo wydawało mi się, że nawet jej płaszczyk jesienny o deseni podobnym do płatków śniegu – jest przesiąknięty zapachem narkozy.

Po chwili wstałem, ukloniłem się grzecznie i odszedłem w jesienny zmierzch. Byłem poważny, jakbym na cmentarz odprowadzał swą miłość.

W trzy dni później odjechałem do Polski. Przez dwa miesiące nie sprzątany pokój powitał mnie zapachem kurzu i ową charakterystyczną wonią poczekalni kolejowych. Wszystko było tu tak, jak w chwili mego wyjazdu – na biurku sterta książek, gazet i rękopisów, a na tym wszystkim rozłożona mapa Syberii. Na stoliczku koło tapczana leżała spłowiała kartka z zakreślonym zdaniem: „24 marca 1684 goda w Ałbazinie była połączona gramota napisana na mandżurskom, mongolskom i polskom jazykach”.

To od tej kartki wszystko się zaczęło A czym się skończyło?

Odwiedził mnie pan Ludwik P. i obwieścił z dumą o swych zwycięstwach w turniejach szachowych.

– Ja czułem, proszę pana, że ten Ałbazin przyniesie nam szczęście. Pan osiągnął Ałbazin, a mnie spotkała seria zwycięstw. To wspomniał, prawda?

– Tak, proszę pana.

– Bo najważniejsze, to uwierzyć w siebie. Najważniejsze wierzyć, że się zwycięży, prawda?

– Tak, proszę pana.

Potem przyszedł Robert. Był już moim sąsiadem. Przed tygodniem ożenił się z Kamilą. Na sekundę zajrzała także Kamila.

– Ach, jak pan źle wygląda. Mój Boże, to chyba męcząca jest tak daleka podróż? Czy przywiózł pan żywego lwa?

– Nie, proszę pani. Nie ma na świecie prawdziwych lwów. – I mówiąc to żartobliwe kłamstwo, podrzuciłem w dłoni malutki pieniążek z Chorskich Gór.

Kamila uśmiechnęła się i natychmiast wyszła. Robert westchnął:

– Ona teraz zupełnie nie ma czasu. Zapraszają ją na występy, otrzymuje w teatrze główne role. Nawet dla mnie nie ma chwili wolnej. Znowu jestem samotny, mój drogi przyjacielu.

Aż do późnego wieczoru rozmawialiśmy o poezji. Nazajutrz wraz z Marysią pojechaliśmy do Kamionek (po jakich też drogach jeździ teraz mój skuter?...).

Pan Antoni Szulc uważnie wysłuchał mojej opowieści o podróży i przygodach, jakich doznałem w drodze do Ałbazina. Pokazałem mu również wycinek z gazety, w którym Duda został sfotografowany z workiem złota w ręce.

– Nie ma już w Ałbazinie nawet okruszyny złotego skarbu – stwierdziłem na koniec. – Pan mi dał dwa plany: jeden, to zarys starej ałbazińskiej warowni. A drugi, wykonany prawdopodobnie ręką Dudy, dotyczy nie Ałbazinga, ale miejsca, które znajduje się tutaj, w Kamionkach. To tutaj należy szukać resztek skarbu, jaki Duda przekazał panu. Szkoda, że zmarł, zanim wyjaśnił, gdzie ukrył skarb, który przed wielu laty, zabiwszy Bełzaka, odnalazł w jego dworze.

– Szkoda, że przed śmiercią nie zdradził mi swej tajemnicy – zmartwił się Szulc. – Żona mi choruje, dziecko chciałbym wykształcić. Przydałaby się odrobina jego skarbu.

Wzruszyłem ramionami.

– Domyślam się, gdzie Duda ukrył złoto zabrane z dworu Bełzaka po dokonanych zabójstwie.

– Gdzie?

– W grobowcu na cmentarzu. Przecież sam murował ten grobowiec, a chyba nie pałał aż taką miłością do Bełzaka, aby mu fundować grobowiec.

Poszliśmy na stary cmentarz w Kamionkach. Jego wygląd był niemal identyczny z prymitywnym rysunkiem, jaki młodemu Szulcowi pozostawił Duda.

– Niech pan zwróci uwagę – powiedziałem do Szulca – że krzyż na planie i na grobowcu jest katolicki, a nie prawosławny. To jest najlepszy dowód, że nie chodzi o Ałbazinga, gdzie zresztą nie ma ani cerkwi, ani kapliczki, ani też grobowca.

Drzwi do grobowca Bełzaka i Dudy były zamknięte na tak przerdzewiałą kłódkę, że otworzyliśmy ją jednym szarpnięciem.

W grobowcu na niewielkim podwyższeniu stały dwie trumny. Jedna trumna była starsza, a druga młodsza. Tak więc ta starsza należała do Bełzaka, a ta druga kryła zwłoki Dudy.

– Jak pan myśli, czy w trumnie Bełzaka kryje się skarb ukryty tu przez Dudę? – zapytał mnie Szulc.

– Nie, tak nie sędzę. Wspomniał pan, że Duda osobiście nadzorował budowę grobowca, a niekiedy sam się tym zajmował. Dlaczego? Bo w tym czasie, gdy nie było tu żadnych robotników, zapewne murował coś w rodzaju skrytki ze skarbem, który potem zamierzał panu przekazać. Lecz niestety, nie zdążył tego uczynić.

Rozejrzałem się uważnie po starym grobowcu. Czas uczynił swoje, tu i ówdzie odpadł tynk, ukazując cegły, z jakich był zrobiony. Tylko w jednym miejscu cegłę zastąpiono dość dużym kamieniem.

– Niech pan przyniesie jakiś twardy przedmiot i spróbuje wyważyć ten kamień – doradziłem Szulcowi.

Przyniósł z domu żelazny łom. Kamień nie siedział mocno między cegłami, więc bez trudu wyrwał go ze ściany. A wtedy w mdłym świetle naszych latarek elektrycznych zobaczyliśmy w głębi za wyrwanym kamieniem przerdzewiałe pudełko blaszane, a w nim kilkanaście złotych monet, przeważnie złotych rubli.

– To jest skarb, który Duda zabrał Bełzakowi w noc, gdy go zabił – oświadczyłem.

Szulc pomyślał chwilę i wreszcie rzekł z ciężkim westchnieniem:

– Należy go chyba zwrócić państwu.

– To nie jest bezimienny skarb – powiedziałem. – Należy pamiętać, że jest to skarb, który Bełzak ukradł pańskiemu ojcu, mało tego, umierającego pozostawił na skałach nad Amurem. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że te złote monety należą do pana. Bełzak ukradł złoty piasek, należący do pańskiego ojca, a potem zamienił go na złote ruble.

– Ma pan chyba rację – przytaknął po chwili wahania. – Mój ojciec dużo przecierpiał przez ten skarb. Moja żona jest teraz chora i wymaga leczenia. Chciałbym też wykształcić swego syna, a także poprawić swój los.

– Tak. To jest pańska własność – oświadczyłem. – Myślę, że zrobi pan z niej dobry użytek.

To powiedziawszy opuściłem Szulca i wyszedłem z grobowca. Całą sprawę uznałem za zakończoną. Ja odnalazłem swój wymarzony i zagadkowy Ałbazin, a Szulc złoto, które kiedyś należało do jego ojca.

Wracając z cmentarza w Kamionkach, powiedziałem z goryczą do Marysi:

– Każdy z moich przyjaciół osiągnął swój Ałbazin: mistrz Ludwik miał serię zwycięstw, Robert ożenił się z Kamilą, Kamila nareszcie nie ma chwili wolnego czasu. A ja? A ja, który naprawdę byłem w Ałbazinie?

Zatrzymaliśmy się obok pozostałości wspaniałego pałacu Bełzaka. Ziemia już była ścięta grudniowym chłodem, to już drugi raz w tym roku oglądam nadejście zimy. Krzaki porastające wzgórki i doły, bezlistne i drapieżne, osłaniały resztki kamiennych schodów. Nad naszymi głowami wisiały smutne chmury, szarość i zgniła zieleń leżała na polach aż po bezbarwny horyzont i czarną smugę lasu. Jedyłą barwną plamę w tym niewesołym krajobrazie stanowiła Marysia w błękitnym palcie. Wydawało mi się, że podczas mej nieobecności wydorosła, spoważniała. Mówiła niewiele, ostrożnie, wołała słuchać, niż mówić. I chyba bardzo wyładniała.

Wolniutko wstąpiłem na kamienne schodki, prowadzące donikąd, na nie istniejące już pokoje i korytarze.

– Gdy znalazłem na podłodze kartkę z pierwszą wieścią o Ałbazinie, zostałem opętany myślą rozwiązania zagadki, dotarcia aż hen, nad Amur, po którym z chrzęstem płynęła biała kra, myślałem, że doznam rozczarowania i zostanę uwolniony z opętania. Nie przeżyłem jednak nic takiego. Powróciłem z tą samą chorobą, która mnie stąd wyгнаła. Sądziłem, że tutaj, w Kamionkach, czeka mnie uwolnienie. I znowu nic. Choroba moja jest nieuleczalna. Gdyby mi znowu przyszło powtórzyć tę podróż bez przyczyny i bez rezultatu, zrobiłbym to bez wahania. Czy nie ma dla mnie ratunku?

Marysia milczała. Wspięliśmy się na ostatni stopień schodów. Dalej już nic nie było, tylko przestwór błękitnego powietrza, a pod nogami bezlistne krzaki, zakrywające doły i rozbite cegły. A przecież ja widziałem korytarze pałacu, pokoje, gabinet, dokąd Duda wprowadził Karola Szulca. Słyszałem strzał, po którym w leśniczówce padł zabity pan Bełzak. Dotykałem palcami złotych krążków pieniędzy, jakimi Bełzak chciał opłacić zabicie Szulca. Byłem na brzegu rzeki, gdzie Bełzak i Boulain pozostawili rannego, widziałem na fotografii worek złota wykopany w Ałbazinie. Cały ten nie istniejący już świat odżył w mojej wyobraźni i wiedziałem, że się już nigdy od niego nie uwolnię.

Wepchnąłem pięści do kieszeni płaszcza. Dotykałem starej miedzianej monety z Chorskich Gór. Wyjąłem ją i podrzuciłem na otwartej dłoni.

– Podobno ma przynosić szczęście w miłości.

W dwa tygodnie po powrocie do Polski otrzymałem przesyłkę z Biblioteki im. Lenina w Moskwie. Był to mikrofilm książki Witsena *Noord en Oost Tartarye*, wydanej w Amsterdamie w 1692 roku.

Sprowadziłem do swego pokoju mały projektor filmowy i przez kilka następnych dni na próżno szukałem w swym mieście człowieka, który do tego stopnia miałby opanowaną znajomość języka holenderskiego, że podjąłby się przełożyć tekst pisany w staroholenderskim. Wreszcie, gdy już gotów byłem zrezygnować z poznania książki Witsena, jeden z mych przyjaciół przysłał mi pewnego staruszka. Ten podjął się tłumaczenia, zażądał jednak, abym z ponad pięciusetstronicowej księgi wybrał konkretne strony, dokonał ich fotograficznych odbitek i powiększeń!

Wkrótce przyniósł mi tłumaczenie. Lecz zamiast wyjaśnić – jeszcze bardziej zagmatwało ono sprawę Nicefora.

Nicolaes Witsen w swej geograficznej księdze o Syberii kilkakrotnie powołuje się na sprawozdania i opisy krajów, dokonane przez polskiego podróżnika „Nikipera” lub, jak pisze w innym miejscu, „Nicefora”. Nicefor ów w 1677 roku zwiedzał kraje syberyjskie aż po Chiny. Zbieżność imion, narodowości, a także dat (wszak w tym samym czasie, bo w 1675 roku, Nicefor Czernichowski na czele oddziału Kozaków wyruszył w głąb Mandżurii na pomoc tunguskiemu księciu Gantimur Ułan) każe sądzić, że „Niceforus” Witsena jest Niceforem, Polakiem, który zbudował ałbazińską warownię.

Słowa Witsena: „Zeker edelman, genaemt Nicephorus zieh nu ophoudende aen het hof van Polen, die door de noorder gewesten tot in Sina heest gereist” staruszek przetłumaczył następująco: „Szlachcic, wspomniany Nicefor, przebywający obecnie i osiadły w Polsce, który podróżował w roku 1677 i przez północne kraje dotarł do Siny (Chin), opowiada po powrocie...”

Nicefor powrócił do Polski? I tutaj napisał o swej podróży sprawozdania, które posłużyły Witsenowi do jego geograficznej księgi? I czyż nie jest to najdoskonalsze wyjaśnienie, dlaczego Nicefor, obdarzony łaską carską iznaczony na wojewodę Ałbazinga, wkrótce

ustąpił z tej funkcji wysłannikowi z Nerczyńska? Ustąpił nie na skutek intryg, jak sądził Dubiecki, nie na skutek starości, jak przypuszczałem, ale dlatego, że opuścił Ałbazin i powrócił do Polski.

Staruszek zastrzegł jednak, że choć zna holenderski i posługiwał się wieloma słownikami, nie był w stanie przetłumaczyć starego tekstu dosłownie. I tak nie rozpoznał znaczenia wyrazów: „aen” i „hof”, poprzedzających słowa „van Polen”.

A więc nie można z całą pewnością uważać, że Witsen pisze: „Nicefor przebywający obecnie w Polsce”. Równie dobrze zdanie to może brzmieć: „...przybywający obecnie z Polski...”.

Być może chodzi o to, że „Nicefor... z Polski” po powrocie ze swej podróży do granic Chin opisuje w swym sprawozdaniu itp.

Dokąd powrócił Nicefor ze swej podróży? Do Ałbazina?

Wątpliwe. Raczej do Moskwy, gdzie podobnie jak Chabarow złożył sprawozdanie ze swych wypraw. W oparciu o to sprawozdanie, powołując się na Nicefora, Nicolaes Witsen, holenderski geograf, opisuje jezioro Bajkał i Syberię na wschód od Leny. Jest więc Nicefor Czernichowski nie tylko budowniczym małego państewka nad Amurem, lecz także jednym z wielkich odkrywców ziem syberyjskich.

Zapewne znajdzie się lingwista, który zdoła dokładnie przetłumaczyć zdanie zawarte w księdze Witsena. Tymczasem jednak historia ostatnich lat życia Nicefora Czernichowskiego pozostaje zagadką, która czeka na wyjaśnienie.